

Anne Guiswinkowska

(imię, nazwisko i wiek chorego)

(adres chorego)

Płatne: bezpłatne - R, 10%, 30%, 100%

Taksacja



SZARY ODCIEN BIELI

Data... 13. 01. 1995

Podpis i pieczęć lekarza z adresem
oraz numerem statystycznym

Anna Gniewkowska

Szary odcień bieli



Oficina Wydawnicza
Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury

Białystok 1995

Redakcja:
Anna Kowalska,
Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

Projekt okładki:
Kazimierz Falkowski

Zdjęcie na okładce:
Maciej Religa

Korekta:
Dorota Lewczuk

© Copyright by Anna Gniewkowska 1995



Skład i łamanie:
Barbara Popławska

Druk i oprawa:

Zakład Poligraficzny
GoDRUK

ISBN 83-86641-05-3

Wydawca:
Oficyna Wydawnicza
Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury w Białymstoku

Wydawnictwo „Kresy BO” w Białymstoku

ul. ...
... ..

... ..
... ..

... ..
... ..

Wydawnictwo „Kresy BO” w Białymstoku

... ..

... ..

... ..

*Autorka dziękuje Józefowi Mozolewskiemu
oraz spółce „Kresy BO” w Białymstoku
za pomoc w wydaniu tej książki.*

... ..

... ..

... ..

... ..

Ludzkie losy. Zawsze mnie fascynowały i przerażały swoją zawilnością, nieoczekiwanymi zwrotami, tragedią. Myślę, że życie każdego z nas jest kawałkiem dobrej prozy literackiej, nie wykorzystanym i stłamszonym niejako przez codzienną i ogłupiającą walkę z rzeczywistością. Ludzkie losy... Ginią przytłoczone wielką historią. Może nieważne. A może wręcz odwrotnie.

Usiłuję wykrzesać z pamięci korowód postaci, które przewinięły się przez moją rzeczywistość, a których los był przez jakiś moment związany z moim własnym. Ludzie, wydarzenia, przedmioty... Pozwalam im swobodnie przepływać w moich myślach, bez koncepcji, bez myśli przewodniej, w pozornym chaosie...

Zdaję sobie sprawę, że świat, który opisuję, jest zniekształcony przez pryzmat moich emocji. Inni ludzie widzą go zapewne inaczej. I mnie również. Liczą się zatem tylko fakty i ludzie, którzy w nich uczestniczą. Zamykam oczy. Dominuje pod powiekami zielony kolor. Słyszę szum drzew, których pełno w ogrodzie. W trawie tarza się pies, zziębnięty i szczęśliwy. Słońce grzeje niemiłosiernie, zielony jest półmrok w altanie obrośniętej winoroślą. Czuję się tak, jakbym przez całe dziesięciolecie nie ruszyła się z tego miejsca. Nic się nie zmieniło oprócz tego, że jabłonie rodzą coraz mniejsze owoce. Za lasem, dalej w stronę miasta, przepływa czas zmieniając bieg wydarzeń, starzeją się ludzie, murszeją domy, zapadają w nicość całe dni i miesiące wypełnione po brzegi wydarzeniami i ludzkim losem.

"Czy taki los miałam wypisany na twarzy?" - pyta rozszalona poetka w liście do przyjaciela, już śmiertelnie, nieuleczalnie chora. Wspomnienia, coraz bardziej pozbawione kolorów, odsuwają się gdzieś dalej, poza linię horyzontu, kłębią się w chaosie, jak niepotrzebne rzeczy wepchnięte byle jak do worka. A jednak tworzą jakąś nie-

rozerwalną całość z rzeczywistością, w której istniejemy. Oglądałam w lustrze swoją twarz. Jaki los jest na niej wypisany?

*

Zawsze, kiedy przechodziłam tamtą kasztanową aleją, miałam nieodpartą potrzebę pochylenia się i odszukania pośród żółto-brązowych liści tych małych jędrnych kulek, tak przyjemnych w dotyku. Długo obracałam je w dłoni. Jakieś niesprecyzowane uczucia, niejasne i pogubione, przebijały się przez warstwę codzienności i umykały. Pozostawiając w ręce jako dowód rzeczowy te kasztany. Dowód swego niegdysiejszego istnienia...

Czy były godne zapamiętania, jeśli nie potrafiły wzbudzić niczego poza owym niejasnym, mglistym posmakiem zaledwie? Nie dającym się ująć nawet w słowa swoją nieokreślonością...

Z ulgą w końcu wynurzałam się z tej gmatwaniny, mieszaniny półtonów, półcieni, ledwie zaznaczonych, nad którymi biedził się umysł, żeby określić je i wydobyć na powierzchnię. Podnosiłam wzrok wyżej i już opadała mnie krystaliczna, podświetlona żółć koron drzew, miejscami kłująca oślepiającą białością w prześwitach. Spokój ciemnych konarów, przecinających park jak wykrzykniki, dawał ukojenie tej orgii kolorów, przywoływał jaki taki porządek myśli, napominał, że te drzewa są tu od lat, stoją nieruchomo - nieodmienny konkret istnienia. Uśmiechałam się do siebie - jakie śmieszne były te moje zapasy z Czasem, te usiłowania ujęcia w słowa spraw i rzeczy minionych. Dotykałam chropawej skóry pni i przeszywała mnie myśl, że przecież prawda leży jak zwykle na wyciągnięcie ręki, gdzieś obok, czy też zaraz pod powierzchnią. I że najtrudniej dlatego, a może pomimo tego, jest jej dotknąć.

*

Niewielkie pomieszczenie na poddaszu, zwane przez domowników spizarnią, było jednocześnie moją garderobą i pracownią malarską. Na sznurach od bielizny - bo była to okresowo suszarnia - wieszałam swoje żakiety i suknie, żeby odpoczęły od ciasnej szafy i rozprostowały rękawy. Na podłodze leżały w wiecznym nieładzie, czy też w wiecznym pogotowiu, przybory do malowania. Jeżyły się pędzle w wazoniku po kwiatkach i tuziny kolorowych kredek, a porozrzucane tubki z farbami zwijały się niecierpliwie. Nad tym wszystkim górował rozpierając się na sztalugach wiecznie niedokończony obraz. Lubiłam pasjami przesiadywać w tym niskim pokoju. Zwłaszcza kojąco wpływał na mnie widok pustego płótna, zapowiadający nieograniczone możliwości. Rozmyślania zaczynałam właśnie od wizji obrazu, który chciałam namalować, później myśli płynęły dalej i dalej, w zupełnie niekontrolowany sposób i nagle znajdowałam się w innym czasie i przestrzeni. Wiszące u sufitu żakiety wydzielają leciuteńką woń perfum, nasuwały skojarzenia z wydarzeniami dawno minionymi, przypominały jakieś spotkanie... Fragment wysuniętego zza kotary pantofelka wywoływał uśmiech, przypominając tamto szalone przyjęcie... Ubrania otaczały mnie coraz ciasniej, zamykały w kręgu wspomnień. Biel płótna na sztalugach sprowadzała mnie do właściwych wymiarów - do czasu, który nazywałam swoim.

*

Aparat telefoniczny zajmował ważne miejsce w moim życiu, ale teraz... Ogarnęło mnie przygnębienie - gdzie się podziały te wszystkie uniesienia pierwszej miłości, spacery po parku, obietnice? Wielki pan ordynator! Na obchodach zwraca głowy co ładniejszym stażystkom, a w domu

narzeka na dolegliwości gastryczne i wcale się nie przejmuję, kiedy głośno odbija mu się po jedzeniu. I to wieczne poczucie wyższości! Okropność. Dzwonię jednak. No tak, ogląda telewizję, zaraz zje kolację, w jego głosie słychać rozdrażnienie, więc kończę to zadawanie pytań. - Pa, kochanie. Przecież ja go nawet nie kocham, przyzwyczaiłam się tylko - konstatuuję smętnie. Należałoby coś z tym zrobić. Oczywiście decyzję spycham na jutro, czy na jakiś inny termin. Walczę z narastającym uczuciem niechęci do siebie i całego świata. Patrzę spod oka na stażystkę - gryzmoli coś w historii choroby, zaraz będę to musiała sprawdzić. Wracam do swoich rozważań. Kiedyś wydawało się, że wszystko będziemy przeżywać razem: i sprawy zawodowe, i wieczory nad jeziorem. Tymczasem po powrocie z pracy byłam tak zmordowana, że nie chciałam z nikim rozmawiać, on zresztą też. A letnie wieczory? Tych kilka wydartych pracy chwil on przesympiał z gazetą na twarzy. Każde z nas zamykało się coraz szczelniej w swoim świecie, a okruchy, które dawaliśmy sobie nawzajem - śmiechu warta namiastka tego, co miało być. W gmatwaniu godzin w spółdzielni, dyżurów, pracy w poradni trudno było nawet zamienić kilka słów. Początkowo narastał we mnie bunt, że skoro i tak żyjemy obok, to po co razem? Odkładałam jednak decydującą rozmowę na potem... i nie odbyłam jej do dzisiejszego dnia.

Kończę herbatę i pod pozorem umycia szklanki podchodzę do umywalki. Spoglądam na siebie w lustrze. Zawsze uważałam, że mam jedną z tych twarzy, która posiada możliwości. Nie jest w pełni skończona, zamknięta. Wpatruję się w swoje odbicie i widzę jeszcze inne oczy utkwione we mnie. To stażystka. Uśmiecham się do niej przyjaźnie, chociaż jej myszowata buzia wcale mi nie odpowiada. - Masz chłopaka? - pytam. - Mam - odpowiada zaskoczona. - To pewnie się kochacie - kontynuuję bez przekonania. - Chodzimy ze sobą - bąka wymijająco. Robi mi się jej żal, bo wyobrażam sobie, ile jeszcze będzie

musiała przejść, żeby osiągnąć mój stopień wtajemniczenia. Pozwalam jej odejść i podpisuję zaliczenie. Teraz chcę zostać sama, gdyż przeszywa mnie nagle nieodwracalność mojej decyzji. Rzucam się do telefonu. - Słuchaj - mówię nerwowo - przeprowadzam się do matki. Nie dzwoń, nie przyjeżdżaj, nie pisz. Słyszę potężne ziewnięcie. - Oszalałaś, wiesz, która godzina? Co mówisz? Do matki? Dobrze, zrób tylko większe zakupy i kup wodę mineralną. Na długo przeprowadzasz się do matki? - Na zawsze, idioto! Na zawsze! - prawie krzyczę do słuchawki.

W drzwiach ukazuje się twarz koleżanki z zaprzyjaźnionego oddziału. Uśmiecham się zapraszająco. Potrzebuję widowni. - Rzuciłam Marcina - mówię oczekując na efekt. - Aha - mruczy - masz papierosy? Rzucam w jej kierunku napoczętą paczkę. - Pacjent mi zmarł - mówi kłapiąc ciężko na fotel. - Trzy noce przy nim warowaliśmy. Zaciąga się papierosem. Widać, że jest wykończona. Nagle zauważa moją osobę. - Co mówiłaś? - pyta. Macham ręką. Nieważne.

*

Najbardziej nie lubiłam niedzielnych dyżurów w pogotowiu. Ale też wszyscy się o nie zabijali z powodu pieniędzy. Trzeba było przyjść na siódmą rano i kiedy wychodziłam z domu, zwłaszcza zimą, na dworze panował całkowity mrok, a i miasto wydawało się być uśpione. Zazdrościłam rodzinie pozostawionej w ciepłych łózkach i kolejny raz przyrzekałam, że to już ostatni, no, może przedostatni raz...

W pokoju lekarzy dyżurnych, oświetlonym jedną samotną, niczym nie osłoniętą żarówką zawieszoną u sufitu, panowało ożywienie. Jedni kończyli dyżur i zabierali swoje rzeczy, inni, tak jak ja, zaczynali pracę. Zawsze porażała mnie brzydota tego pokoju: rozstawione pod ścianami

tapczany ze skłębionymi nań brudno-szarymi kocami (i tak powinnam się cieszyć, jeśli uda się pod nimi trochę podrzemać), odrapany wiecznie zlew, wiecznie popsuty telewizor. Mijam w drzwiach kolegę z oddziału - ma ściągniętą, zmęczoną twarz. Chwilę rozmawiam z koleżanką i przechodzę do dyspozytorni. Na pulpicie leży kilka wezwań, przeglądam je: dziecko kaszle, od wczoraj boli je głowa, gorączkuje od tygodnia... itd. Ostatnio R-ka jeździła do bólu zęba. Mężczyzna w sile wieku, obrzęknięty z jednej strony twarzy, na pytanie dlaczego wezwał karetkę reanimacyjną, a nie zwykłą, powiedział: Panie doktorze, tak bolało, że myślałem - będę umierał. To co mi zwykła karetka pomoże?!

Co trzecie wezwanie jest nieuzasadnione. - Co mam sobie żałować i nie wezwać - powiedział w przystępie szczerości pacjent, kiedy wypisywałam receptę, lekko rozeźlona (od tygodnia kaszle) - pani doktor kochana, dwadzieścia złotych nie pieniądze. Czasami mam ochotę płakać, kiedy szczękając zębami w wyziębionej karetce, tłuczemy się po mieście z pijakiem, którego nie chce przyjąć żaden oddział. Izba wytrzeźwień - nasza ostatnia szansa - zapełniona jest po brzegi. Jedziemy pustymi ulicami, w oknach palą się światła, gdzieś tam siadają właśnie do rodzinnej kolacji. Nasz pacjent co chwila puszcza w naszym kierunku wiązki wyszukanych przekleństw ostrzegając: "zaraz będę rzygał". Sanitariusz ciężko wzdycha.

*

Katarzyna jest jak kolorowy ptak. Kiedy wpada do mojego gabinetu, odnoszę wrażenie, że włosy ma pełne wiatru, zawsze w biegu, niepokieszona, że nie może posiedzieć i poplotkować. Ręce ma pełne reklamówek z tajemniczą zawartością. Ma mnóstwo umówionych spotkań

i spraw do załatwienia. Kasia wiele jeździ za granicę, ale nie w celach turystycznych. Z tego zapewne powodu ma jakieś sensacje z sercem (nerwy, kochana, nerwy). Ale też bagatelizuje sprawę i sama się z tego śmieje. Badam ją i wypisuję receptę. Obie wiemy, że pewnie nie będzie zrealizowana. Patrzę na nią ciekawie - jest ode mnie dużo młodsza i doprawdy nie wiadomo, dlaczego czujemy do siebie taką sympatię - pociąga nas chyba zupełna odmienność światów, w których istniejemy. Jeszcze cmoknięcie w policzek, trzaśnięcie drzwiami i odchodzi...

Nasze spotkania nie są regularne - może za miesiąc, może za tydzień znowu pojawi się znieczeka, w ekstrawaganckich fatalaszkach (które mnie pociągają, ale których na pewno nigdy, z wielu powodów nie włożę), przynosząc ze sobą powiew dalekich krajów, niepokojących perfum, nie zawsze dobrego towarzystwa.

*

Jestem zachrypnięta i przeziębiona, ale przyjmuję, nie mam wyboru - zostałam sama w poradni. Pozostałe koleżanki są chore, panuje jakiś podły wirus, który zdziesiątkował personel. Niestety liczba pacjentów jest taka sama, albo nawet większa. Kończę badać pacjenta, kiedy drzwi otwierają się z impetem i wpada Emilka (dyspozytorka z pogotowia). Pod futerkiem ma biały fartuch, to znaczy, że jest w pracy. Wygląda fatalnie - podpuchnięte oczy, w garści miętosi chusteczkę. Oglądam jej gardło - okropne, początek ropnej anginy, wysoka temperatura. Wypisuję leki i zwolnienie. W międzyczasie Emilka opowiada o swoich przeżyciach z ostatniego dyżuru: ktoś wzywa karetkę, powód wezwania - depresja. Sumienna Emilka pyta o adres, nazwisko osoby wzywającej. W odpowiedzi słyszy: ty k...o, nie gadaj tyle, tylko przyślij lekarza. Ponieważ moja koleżanka nadal usiłuje ustalić przynajmniej adres

- słyszy: jeśli zaraz nie przyślesz karetki, to popamiętasz. Wreszcie udaje się jej zanotować nazwę ulicy i numer domu. W trakcie opowiadania na szyję dziewczyny wypełzają szpetne, czerwone plamy. Zwracam na to uwagę. - No widzisz - mówi Emilka - już samo wspomnienie tak na mnie działa. Wystanemu zespołowi otwiera drzwi zdumiona kobieta z dzieckiem na ręku - ona nie potrzebuje pomocy. Sprawa wreszcie wyjaśnia się. Jej mąż, wraz ze swoim kolegą (zresztą studentem medycyny), rozpoczęli picie alkoholu wczesnym rankiem. Z godziny na godzinę ich rozmowy stawały się coraz bardziej głośnie i wulgarne. Kobieta nie chcąc tego wysłuchiwać, zamknęła się w sąsiednim pokoju odmawiając wyjścia, co niedoszły lekarz uznał za objaw depresji i wezwał pogotowie, żądając przewiezienia pacjentki do szpitala psychiatrycznego.

Najbardziej zaskakujący jest finał całej sprawy. Lekarz, który tam pojechał, nie powiedział marnego słowa oblatanemu w medycynie studentowi. - No wiesz - mówi Emilka - teraz wszyscy się boją, jak coś się powie, zaraz piszą skargi. A kto weźmie w obronę lekarza? Właściwie rozumiem, przestaje mnie to dziwić.

*

Lucyna poczuła pierwsze ukłucie bólu i zapaliła światło. Należało zacząć działać, zanim nie będzie za późno. Tego najbardziej się bała - bólu i zniekształcenia fizycznego. Wyrok - w formie diagnozy - przyjęła spokojnie. I tak wiedziała, że prędzej czy później spotka ją coś takiego. Nie była też zbyt przywiązana do życia. Już nie. Dbała jednak patologicznie o to, by zachować spokój i godność w każdej sytuacji. Uważała, że jest na tyle opanowana, żeby nie dać się zaskoczyć w żadnej sytuacji, a jej opanowanie będzie swoistym murem między nią a wścibstwem znajomych. Koleżanki najpierw ze zdumieniem, a potem ze

zgrozą obserwowały jej pogodną, wykluczającą wszelkie współczucie twarz. Mając jej poniekąd za złe brak łez, zwierzeń po kątach i trzęsących się rąk. Potrafiły, popijając kawę, długo i smakowicie omawiać każdy atak woreczka żółciowego czy katar. Zachowanie Lucyny przechodziło ich zdolności pojmowania. Dały jej w końcu spokój, traktując nie tyle jak chorą, co niespełna rozumu. To jej odpowiadało. Zresztą była zbyt zajęta, żeby na takie detale zwracać uwagę. Nie porządkowała swego życia doczesnego, było jej obojętne, co się stanie z rzeczami materialnymi, które po sobie zostawiała. Czowała nawet lekko złośliwą satysfakcję, że stanie się pewnie na długie miesiące tematem sporów w rodzinie. - Przynajmniej raz w życiu będą zmuszeni o mnie rozmawiać - myślała.

Ale w sumie były to sprawy marginalne. Całą uwagę Lucyny zaprzętnęła walka z bólem. Przypominało jej to sceny z cyrku, gdzie była jako dziecko. Treserka - drobna blondynka i lew. Niechętny i szczerzący kły. I wystarczyła chwila nieuwagi... Ale ona poznała już wszystkie chwytty i sposoby, oczywiście na tym etapie choroby. Zwykle ból skradał się w nocy - jedno, dwa ostrzegawcze ukłucia. Należało wówczas działać szybko, nie pozwolić mu na rozprzestrzenienie, rozplątanie po całym ciele, bo wtedy nie pomagały już żadne tabletki. Pozostawało już tylko czekanie do rana, w męce, w drapaniu rąk do krwi - kiedy jak dzikie zwierzę, niechętnie wydając pomruki cofał się, odchodził, pozostawiając cierpki, metaliczny posmak na języku. I wyczerpanie...

Nauczyła się więc Lucyna poskramiać go w zarodku. Oprócz tabletek miała w zasięgu ręki przygotowany cały asortyment poduszek elektrycznych, kompresów, ziół. Starła się przy tym nie myśleć, jak długo jeszcze będzie wychodzić zwycięsko z nocnej walki, gdzie nad ranem tylko ściągnięte rysy twarzy i zmęczenie w oczach świadczyło o tym, co przeszła.

- W końcu przecież codzienność zabija wszystko, dla-

- To była banalna historia - powiedziała do siebie półgłosem, zamykając niejako tamto wydarzenie bez zakończenia. Ale później przyszło jej na myśl, że byłoby daleko bardziej banalne, gdyby posiadało dalszy ciąg. Zaraz, zaraz... więc jak to się właściwie zaczęło? Najpierw jechały z Halinką taksówką przez miasto. Upał i kurz wciskał się uchylonym oknem. Siostra, zapłakana, miętoszyła w ręku mokrą od łez chusteczkę. Kierowca zrzędził na przechodniów i brak deszczu, a ona gorączkowo myślała, że musi załatwić to miejsce w szpitalu, gdzie nie zna nikogo. Mury budynku szpitala, do którego dojeżdżały, wydawały się być twierdzą nie do zdobycia. Nie pamiętała, jak zapłaciła za taksówkę, ani jak dostała się przed drzwi gabinetu ordynatora. Chłód korytarza łagodził przyjemnie rozpalone ciało. Usiłowała opanować wewnętrzne drżenie i nawet nie zauważyła, kiedy stanął przed nią mężczyzna w białym fartuchu. - Pani do mnie? - zapytał zdziwiony. Skinęła głową. Wszedł za nią do pokoju pozostawiając niedomknięte drzwi. Przeciąg wydał firankę, a on nie zważając na to usiadł pod otwartym oknem, wskazując jej krzesło naprzeciw siebie. - Zamknę drzwi, przewieje pana - wybąkała nieoczekiwanie dla samej siebie. Przymknęła drzwi i poczuła, że zachowuje się co najmniej idiotycznie. Na szczęście on sprawiał wrażenie, że niczego nie zauważył. Zapalił papierosa i zaciągnął się łapczywie. - Słucham panią - powiedział uprzejmie. Pokazała skierowanie.

- Tak, ten przypadek powinien być hospitalizowany, dzisiaj dyżur ma szpital miejski - powiedział. - Chciałabym, żeby siostra leżała u pana na oddziale - wykrztusiła.

Spojrzał na nią, wydawało się, że jego szare, schowane za okularami oczy przypatrują się jej wnikliwie i badawczo. Pomyślała, że pewnie włosy ma w okropnym stanie i

rozmazany makijaż, co ją do reszty przygnębiło. Czekwała, kiedy odda jej skierowanie i uzna rozmowę za zakończoną. Oczami duszy już widziała, jak wlecze się przez zalane słońcem ulice do dyżurnego szpitala z pojękującą u boku Halinką. Nagle on wstał. - Proszę chwileczkę zaczekać - powiedział i wyszedł, zostawiając ją samą na dłuższą chwilę. Wrócił za kwadrans. - Niech pani siostra zgłosi się jutro na izbę przyjęć - powiedział - teraz ją zbadam, a pani niech już przestanie się tak zamartwiać.

Następnego dnia Hala leżała na oddziale i już to sprawiło, że poczuła się dużo lepiej. Niemniej jednak sprawy leczenia trochę się skomplikowały - siostra nie tolerowała niektórych leków, a te, którymi można byłoby je zastąpić, trzeba było zdobyć prywatnie, gdyż oddział nimi nie dysponował. W tym czasie kontaktowała się kilkakrotnie z ordynatorem. Zawsze zapraszał ją do swego gabinetu, ta chwila rozmowy była jej potrzebna, zwłaszcza jego życzliwość i spokój, którym emanował. Starła się rozmowę przedłużyć, ale nie aż tak bardzo, żeby to mogło się wydać podejrzanym. Przy którejś z kolejnych wizyt przeprosiła za natręctwo, na co on powiedział po prostu, że lubi jak ona przychodzi. Wydawało się, że jego spojrzenie zatrzymało się na niej tego dnia dłużej niż zwykle.

- Takiego mężczyzny potrzebujesz - podpowiadał jej tego wieczora jakiś wewnętrzny głos - spokojnego, zrównoważonego, pełnego ciepła. Rzeczywistość nic sobie jednak nie robiła z tych podszeptów.

Adam zapalił papierosa i usiadł w fotelu, popadając w ponure zamyślenie. Nawiedzało go coraz częściej i zupełnie wymykało się spod kontroli. Nagle usłyszał pukanie do drzwi. Zajrzała stażystka, wiatr wydał firankę w otwartym za jego plecami oknie. - Proszę zamknąć drzwi, bo mnie przewieje - powiedział półzartem. Przestraszona



dziewczyna zamknęła drzwi i już się nie pokazała. - Głupia gaska - pomyślał i przypomniał sobie tamten dzień sprzed kilku miesięcy. Wtedy wiatr też poruszył firanką. I jej troska o niego zachwyciła go i jednocześnie rozśmieszyła. Widział przecież, że przychodzi w jakiejś sprawie, że jest zdenerwowana, a jednak... Swoją drogą już dawno nikt się o niego nie troszczył. A poza tym zrobiła na nim duże wrażenie, chociaż uważał się za odpornego na kobiece wdzięki. Miała w oczach wyraz zagubienia i strachu, wydawało się, że nie jest świadoma uroku, jaki roztaczała wokół. Wzbudziła w nim uczucia opiekuńcze i Adam zdawał sobie sprawę z banalności całej sytuacji. Znał ten scenariusz na pamięć. - Pamiętaj stary, że najbardziej niebezpieczne są te, które budzą chęć opieki - powtarzał sobie. Ale właściwie cały czas czekał na te wizyty. Starał się wtedy zaprosić ją do gabinetu i przytrzymać jak najdłużej, nie tak długo jednak, żeby to wyglądało na zachętę z jego strony. Widać było, że dziewczyna odpręży się w jego towarzystwie i chętnie z nim rozmawia. Siedząc za biurkiem podczas ostatniej wizyty, kiedy przyszła podziękować za leczenie siostry, patrzył na nią zachłannie i poczuł w pewnej chwili, że serce wyprawia jakieś niezwykle harce w jego klatce piersiowej. - Muszę zrobić EKG - pomyślał, ale wiedział, że się oszukuje. Potem już jej nie widywał. Niepokój ustąpił, ale przerodził się w ponure zamyślenia. Już dawno żadna kobieta nie wywołała w nim czegoś takiego - mieszaniny uczuć składających się z tkliwości, czułości i czegoś jeszcze, czego nie potrafił i nie chciał nawet nazwać słowami.

Wywoływał w myślach widok jej ciemnych włosów, okalających miękkimi lokami twarz. - Mógłbym rozwieść się z Renatą - przychodziło mu czasem do głowy, ale zaraz strofował samego siebie. - Idioto! Po tylu latach, a poza tym zaczynać wszystko od nowa w moim wieku?! Aż się przestraszył tej wizji. Ujrzał przed sobą tęgawą postać żony z twarzą błyszczącą od kremu. Machnął ręką - prze-

cięż one wszystkie w końcu są takie same, przynajmniej po jakimś czasie. - A gdyby została moją kochanką - kombinował dalej - ostatecznie mógłbym spotykać się z nią u Staszka, który właśnie wyjechał do Stanów. Nie! Na taką konspirację był już za stary i zbyt zmęczony. Do licha - zdenerwował się - żeby tak mi zakłócić spokój. Zapalił kolejnego papierosa - a jednak coś w niej było, była inna niż kobiety, które spotykał do tej pory, a może to była ta, na którą czekał całe życie? Skrzywił się z niesmakiem - znowu banał.

A potem zadzwoniła Renata i przypomniała, że ma odebrać dziecko ze szkoły. Trzy dni później zrobił sobie EKG. - Serce masz jak dzwon - zaśmiał się kolega kardiolog.

*

Lato przemijało nieuchronnie, poczuła to owego gorącego, suchego popołudnia na głównej ulicy miasta. Po wyjściu ze sklepu uderzył ją w twarz podmuch wiatru, złowieszczy powiew, niosący jeszcze niekonkretną i ledwo uchwytną woń jesieni. Wyobrazila sobie pogięzione deszczem drzewa i ociążałe, namoknięte chmury. Przeszył ją nieprzyjemny dreszcz. Zdała sobie sprawę, że wakacje, na które tak czekała, które miały coś zmienić w jej życiu, dobiegły właśnie końca. Dokładnie nie wiedziała, jakie to miały być zmiany, nie zapowiadało się przecież na nic interesującego. A teraz lipiec i sierpień już były przeszłością, zanim zdążyła mrugnąć okiem, rozmieniły się na drobne, nic nie znaczące zajęcia. Kilkadziesiąt dni zlało się w jedną szarą, wielką bryłę gęstej masy. Skrzywiła się z obrzydzenia.

Namacalnie prawie czuła upływ czasu, który omijał ją jak kogoś, na kim się zawiódł. A przecież zawsze mogła na niego liczyć, jak najdalej sięgała pamięcią - w miarę potrzeb potrafił rozciągnąć swoje trwanie do granic możli-

wości. Kiedy wydawało się jej, że w natłoku zdarzeń nie zdąży, nie poradzi, nagle ze zdumieniem widziała, że jej przyjaciel wydłużał się i rozciągał tak, że zostawało go jeszcze na krótki odpoczynek, czytanie książek. Kiedy nie mogła się pogodzić z przemijaniem - zatrzymywał ją w starym ogrodzie, gdzie drzewa niezmiennie trwały od kilkudziesięciu lat. Obchodził się do tej pory z nią łaskawie. A jednak od pewnego czasu Julia zauważyła, że zaczyna przyśpieszać jak popsuty zegar, pędzi do przodu zyskując na każdej dobie po kilkanaście minut. Zaczynała być nerwowa i napięta. Badala swoją twarz w lustrze, gdzieś pędziła, załatwiała tysiące różnych spraw, których można było nie załatwić, bowiem nie zmieniały one porządku świata, a więc nie warte były uwagi. Tak przynajmniej mówiła Maria. - Dobre sobie - sarkała Julia i czuła, że już nie może się zatrzymać w tym pędzie, bo rozpadnie się na tysiące kawałków. Był w niej tylko chaos i katastrofa. W pośpiechu przemierzała ulice, wpadała do sklepów, kupowała książki, a stukający w głowie popsuty zegar wyliczał przyśpieszone minuty. - Dokąd pędzisz? - pytali napotkani znajomi, którzy jakoś znaleźli parę chwil, żeby założyć rodzinę i obrosnąć tłuszczem. Patrzyła na nich z pobłażliwym uśmiechem, jak na upośledzone umysłowo dziecko. Głupcy.

Zwalniała dopiero w obliczu starych drzew. Obawiała się ich ironicznej ciszy.

Miała teraz dużo czasu na myślenie, jak nigdy w życiu. Przez okno widać było wciąż ten sam kawałek muru, na którym kurczowo czepiając się występow usiłował egzystować fragment dzikiej winorośli. Pędy, wyszukując nieomylnie wszystkie nierówności ściany, pięły się z zapałem w górę, a nawet zupełnie gładka ściana stanowiła dlań pewne możliwości. - Ja odpadłabym przy pierwszym po-

dejsciu - pomyślała Julia. Niemniej jednak z upływem czasu zaczęła utożsamiać się z rośliną i teraz podziwiała jej heroiczną walkę z murem.

Na początku pobytu w szpitalu konieczny bezruch doprowadzał ją do obłędu. Potem stopniowo wyciszała się, zapachy szpitalnej kuchni już nie przyprawiały o torsje. Najgorsze były dwa, może trzy pierwsze dni - widok znękanymi chorobami kobiet z sali nr 7, które dla niej miały jedną, wspólną, zniekształconą przedwczesnymi zmarszczkami twarz. Zaduch i hałas odwiedzających powodowały przygnębienie i niemożliwy do zlokalizowania ucisk gdzieś w okolicy gardła, podchodzący do góry wielką, włochatą kulą. Nie dającą się ani przełknąć, ani zwymiotować. Później zobaczyła po raz pierwszy tę anemiczną winorośl i skrzywiła się z niesmakiem - przecież mogła sobie znaleźć lepsze miejsce do życia - pomyślała.

Teraz potrafiła godzinami siedzieć przy oknie i wpatrywać się w roślinę, było to jak wchodzenie w trans, potem przestawała zauważać cokolwiek. Ogarniała ją przestrzeń pełna ciszy, w której po prostu trwała.

Obiad, kolacja, śniadanie, obchód. Salowa od dłuższego czasu szarpała ją za ramię, mamrocząc bez złości coś o śpiących królewnach. Znowu trzeba iść na badania...

*

Sierpień

Po przyjeździe do Wiednia zaraz następnego dnia Profesor wręczył mi klucze od swego drugiego mieszkania, kilka przecznic dalej. Żeby nie czuła się skrępowana, jak powiedział. Ale i tak z wielu względów większość czasu, przynajmniej na początku, spędzałam w jego mieszkaniu, opowiadając mu o wszystkim, co dotyczyło naszego życia, grywając Chopina, którego uwielbiał. Później pociągnęło

mnie miasto. Przemierzałam je sama całymi dniami, zaglądałam do kościołów, parków, gapiłam się na ludzi. Wszystko było takie inne, czyste, pachnące. Nieopodal mojego mieszkania był taki mały skwerek, ot, kilka ławeczek i prześliczny kwietnik, tam często siadywałam na ławce, gapiąc się na ludzi. Zastanawiałam się, o czym myślą, kiedy tak nieśpiesznie przechodzą obok mnie, niosąc pogodne, życzliwe twarze. Wszystkiego im wtedy zazdrościłam, ale przede wszystkim tego spokoju...

Czasem chodziliśmy z Profesorem do ogródka Frau Trudi - takiej małej przestrzeni na tyłach kafejki, ogrodzonej ze wszystkich stron białym, kamiennym murem. Białe stoliki, jakieś pachnące krzewy i fontanna z amorkiem na postumencie. Piliśmy nieodmiennie szampana z wysmukłych kieliszków. Profesor palił cygaro, zapadał zmierzch i gospodyni zapalała lampy na stolikach, robiło się jeszcze bardziej przytulnie, zza wysokiego ogrodzenia ukazywał się księżyc. Powoli krok za krokiem wracaliśmy na Mollardgasse. Żegnałam Profesora przed drzwiami jego kamienicy i biegłam dalej, do siebie. Najpierw otwierałam największym kluczem wielką rzeźbioną bramę, później drzwi wejściowe, niezmiennie uderzał mnie widok nieskazitelnie czystej klatki schodowej - wnęka pod oknem wysłana była nawet dywanem. Stał tam maleńki stolik i foteliki. Wszędzie kwiaty w ozdobnych doniczkach. Przemykałam na piętro. Dwa pokoje w amfiladzie i mikroskopijna łazienka witały mnie ciszą. Po kąpieli zapadałam w miękkie łóżko, osobiście przygotowane przez Amelię - siostrę Profesora.

To właśnie ona codziennie dzwoniła do mnie punktualnie o ósmej rano i budziła na śniadanie. Profesor nie lubił spóźnień. Szybko wkładałam ubranie i pędziłam przez ulicę. To były prawdziwe uczyty - nigdy i nigdzie potem nie jadłam tak chrupiących bułeczek, takich serów i takich ciast. Rodzeństwo patrzyło na mnie dobrotliwie, przysuwając coraz to nowe półmiski. - Jedz dziecko -

mówił Profesor i wzdychał ciężko - przecież wiem, co się u was dzieje. Przez chwilę było mi wstyd za to, co się u nas dzieje i za własny apetyt. Ale szybko się rozgrzeszałam w duchu. Zostawiłam za sobą koszmar kolejek, puste półki i walkę o każdy ochłap. I nie spodziewałam się po powrocie zastać lepszą sytuację. Z tą myślą zatapiałam zęby w nowej bułeczce. Dużo później Amelia usiłowała wybadać, co też miałabym ochotę zjeść na obiad. Uśmiechałam się i odpowiadałam, że lubię wszystko. O tej godzinie zwykle Profesor drzemał, albo czytywał sobie, ja mogłam więc oddać się pasji zakupów. Zresztą mogłam sobie na nią pozwolić, gdyż dwa dni temu otrzymałam pieniądze za sprzedane akwarele. Kluczając bocznymi ulicami docierałam do ulicy, przy której mieściły się eleganckie sklepy. Nie chciałam i nie umiałam robić zakupów w małych sklepikach i na wyprzedażach, gdzie przecież można było kupić taniej. Nie chciałam ponadto spotykać moich rodaków, których w takich miejscach było pełno. Unikałam jak ognia Mexico Platz. Przyzwalałam na luksus obsługi przez eleganckie sprzedawczynie przy Kartnerstrasse. Odbijałam sobie za te puste, brudne supersamy. Syciłam oczy na zapas bogactwem kolorów i fasonów, wchłaniałam woń wytwornych perfum. Ale równie trudno było mi odebrać wzrok od witryn sklepów mięsnych.

Wracałam potem obładowana zakupami. Już w mieszkaniu na podłodze jeszcze raz oglądałam te wszystkie cudenka i nie mogłam się nimi nacieszyć. Z żalem odkładałam wszystko do plecaka. Przecież trzeba było w końcu iść spać. Jutro czekał mnie znowu Wiedeń.

*

"Świąteczne babki" dawały o sobie znać na kilka dni przed świętami. Stąd też nigdy tych przedświątecznych dyżurów nie lubiłam. Po pierwsze dlatego, że przygotowa-

nie własnych świąt wymagało karkołomnych wysiłków i zmarnowanego w kolejkach czasu, a po drugie... no właśnie. "Świąteczne babki". Wielu ludzi usiłowało w tym czasie pozbyć się starych i niedołącznych członków rodziny. Najlepszym miejscem był szpital. W tym celu wzywano karetkę. Powód wezwania brzmiał w takiej sytuacji odpowiednio dramatycznie. Po przyjeździe pogotowia rodzina, widząc moje zdumienie na widok niezłej formy babci, która rzekomo miała być prawie umierająca, zaczynała mnie przekonywać, że to tylko chwilowo, na widok lekarza tak się ożywiła. Naprawdę jest słaba, nic nie je, ma silne bóle serca i kto wie, czy to nie zawał. Tak że najlepiej byłoby zabrać ją do szpitala na gruntowne badania. Jeśli się opierałam, bywało, rodzina wpadała w gniew, usiłowała podważyć moje wykształcenie medyczne. Kończyło się różnie. Czasami zabierałam babcię ze względów czysto ludzkich. Pamiętam taki wyjazd, kiedy obie z babcią, słuchając pseudomedycznych rozważań syna, czułyśmy zażenowanie. Każda z innego powodu oczywiście. Bywały też inne rozwiązania tego problemu. Już nie bawiąc się we wzywanie karetki i dyskusje z lekarzem - niektórzy wystawiali starowinę na ulicę. Byłam raz w życiu na takim wyjeździe. Stan wojenny. Po ulicach kręciły się patrole ZOMO. To oni właśnie wezwali karetkę. Czterech roślących chłopaków nie wiedziało, co począć z babcią. Byli pewni, że pogotowie coś poradzi. Drobną, schludną staruszką jako jedyną zachowała spokój. Całkowicie pogodziła się z losem. Jak się później dowiedziałam - to nie był pierwszy raz. Średnio dwa razy do roku "wystawiał" ją na chodnik własny syn. Następnie zamykał drzwi wejściowe i oddalał się w niewiadomym kierunku, słusznie rozumując, że społeczeństwo powinno zareagować. I nie mylił się. Rokrocznie reagowało. Byłam początkowo tak zdruzgotana tym faktem, że nie wiedziałam co robić. Robiło się coraz zimniej i chłopcy z ZOMO patrzyli na mnie wyczekująco. Sanitariusz plastycznie opisywał, co zrobiłby z kochają-

cym synem, gdyby ten przypadkowo trafił w jego ręce. Nie było wyjścia. Modliłam się w duchu, wsiadając do karetki, żeby na izbie przyjęć dyżurowała któraś z moich koleżanek o miękkim sercu.

*

Życie obeszło się z piękną Emilią okrutnie. Bez skrupułów. Chociaż nic nie zapowiadało takiego obrotu sprawy. Nagle zasłabła w czasie dyżuru. Była śliczną dziewczyną. Pytanie - dlaczego właśnie ona - ma w tym wypadku niejaki uzasadnienie... i dowodzi wyjątkowej perfidii losu. Piszę - była śliczną dziewczyną, ale przecież Emilia nadal jest. Leczona dostępnymi w kraju metodami straciła całą swoją urodę. Jej życie osobiste, wbrew pozorom, nie było burzliwe. Chociaż wygląd i sposób bycia takie właśnie podejrzenia nasuwał. Ot, kilka znajomości z jakimiś nieudanymi egzemplarzami płci męskiej (w tej dziedzinie, trzeba przyznać, nie miała szczęścia). Ostatni wielbiciel postanowił dorobić się za granicą, a fakt choroby jego dziewczyny jeszcze ten wyjazd przyśpieszył. Została sama. Na studiach byłyśmy dosyć zżyte. Kułyśmy razem do egzaminów, a później do specjalizacji. Pracowałyśmy na tym samym oddziale. Kiedy podstępnie przyszła choroba, nikt z nas nie mógł początkowo uwierzyć. Pozostaliśmy w milczeniu, ogłuszeni straszną wiadomością. Nie wykonaliśmy też żadnego ruchu, kiedy Emilia rozpoczęła samotną walkę o miejsce na powierzchni. Zawsze była wesoła, znana ze specyficznego poczucia humoru, którym nie raz i nie dwa ratowała nasze kwaśne miny. Teraz stworzyła z niego mur, którym szczelnie się otoczyła i poza który nie chciała wyjść. Trwało to jakiś czas...

W końcu zrezygnowała. Zbyt wiele zwolnień lekarskich, zbyt wiele nieobecności. Odeszła sama, nie czekała, kiedy ją o to poproszą. Dla nas, wiecznie zaganianych,

biegnących z dyżuru na dyżur, tych kilka lat jej walki minęło jak jedna chwila. Dla niej były to całe wieki. Otrzymała rentę inwalidzką, a wraz z nią jakieś śmieszne pieniądze, umożliwiające tylko wegetację. Życie obeszło się okrutnie z piękną Emilią. Prawie nie wychodzi teraz ze swego zaniedbanego mieszkania. Przez licznych zapomniana. Odwiedza ją niewielu. Wypadła z układów, znajomości, możliwości. Czasem zwierza się, że nie choroba jest jej największą tragedią...

*

Czasami, kiedy wracałam z dalszych części ogrodu, gdzie rosły niezliczone ilości warzyw, uderzał mnie widok domu - szczególnie piękny w słoneczny dzień, kiedy jabłonie kładły się płataniną słońca i cienia na jego murach. Ten spokój, niezaprzeczalna namacalność istnienia, dawała mi poczucie bezpieczeństwa, pozwalające utrzymać się przy zdrowych zmysłach. A jednocześnie budziło się gdzieś ostrzeżenie, że oto wraz z jego upadkiem i ja pogrążę się w chaosie. Dom, otoczony puchatą zielenią i spokojem idącym od ściany lasu, wydawał się być jedyną oazą, w której mogłam jeszcze egzystować. Istnieją teorie, które twierdzą, że człowiek żyjąc i nabierając różnych doświadczeń staje się coraz twardszy i odporniejszy psychicznie. Ze mną działało się odwrotnie, co stwierdziłam z pewnym przerażeniem - moja odporność cofała się w rozwoju do tego stopnia, że stała się jak gdyby obnażonym nerwem. W rzeczywistości, jaką przyszło mi znieść, było to zupełną katastrofą.

*

Agata spojrzała na pokój. - Nienawidzę tego mieszkania - myślała. Dwa malutkie pokoiki w Domu Asystenta,

zapchane do granic wytrzymałości. Nawet jeśli ułożyłaby te wszystkie rzeczy we względnym porządku i tak sprawiałaby wrażenie chaosu. - Po prostu nic się nie da zrobić - mówiła. Teraz jeszcze ten pies, który również był przeciwko Agacie - bałaganił w sposób nadzwyczajny, jak gdyby nie chcąc dać się wyprzedzić pod tym względem reszcie domowników. W radiu pobrzmiewał walc Brahmsa i nagle zapragnęła odejść na czystej fali dźwięków jak najdalej od zagraconego mieszkania, od własnego zagraconego życia. - Tyle w nim przypadkowych ludzi i sprzętów - pomyślała zdziwiona własnym odkryciem. Chociażby Tomek - wieczny naukowiec. Wyszła za niego za mąż bez miłości, na złość tamtemu, co się w końcu zdarza. Ale tamten i tak zaraz zginął w wypadku samochodowym. Tomek, który obiecywał jej wiele, nie tylko, że nic nie robił, ale był nieużyteczny w każdej domowej sprawie. Iwonę urodziła w rok po ślubie, było to dziecko nieprzeciętnie chorowite. Właściwie Agata nie pamięta dnia, żeby małe coś nie dolegało. Katary, zapalenia oskrzeli, lamblie... potem pies, który też miewał rozliczne dolegliwości. W tym wszystkim miotła się Agata - poogryzane meble, kaszlące dziecko, kolejna ekspedycja naukowa Tomka, za ścianą ktoś bębni na pianinie, lodówka popsuta. W przedpokoju wisi lustro, gdzie widzi codziennie swoją wędną urodę. Ale nie to ją frapuje od kilku tygodni. Przemierzając tysiące razy w różnych kierunkach mieszkanie - zerka w okno.

Widać za nim bezkresną szaro-błękitną przestrzeń. Żadnych domów, ludzi, ani nawet drzew. Powietrze wydaje się być ciche, kojące. Czasem prześwieśla je ogromna kulka słońca. Agata ma wrażenie, że szczytem szczęścia byłoby ułożyć się w nim na chwilę, zamknąć w kokonie ciszy ponad pomrukami miasta, ponad tysiącem zepsutych lodówek i nieudolnych mężczyzn. - Mamo, kiedy będzie obiad - woła dziecko - mówię do ciebie już trzeci raz. - Nawet krzyczysz - odpowiada Agata. Rozparty w

fotelu mąż patrzy na nią ironicznie od dłuższego czasu. - Czekasz, aż urosną ci skrzydła? - pyta złośliwie. Agata kurczy się w sobie z obrzydzenia do niego, do siebie, do całego życia. Obiad jedzą w milczeniu, później Tomek wychodzi, ma do późnego wieczora zajęcia ze studentami. Agata mówi cicho: Tomek zrozum, ja się zaczynam dusić. Początkowo patrzy na nią nieprzytomnie, ale za chwilę rzuca: To wyjdź na powietrze. Śmieje się z własnego dowcipu.

Trzask drzwi. Agata zostaje sama. Pies objedzony i senny patrzy na nią bez zainteresowania.

Ten wieczór urzekł ją szczególnie ciepłem i ciszą powietrza leżącego nad miastem. Otuliło ją pieszczotliwie, kiedy stanęła w otwartym oknie.

- Jak dobrze byłoby poleżeć w takiej ciszy - pomyślała i nagle zdumiało ją, że przecież to takie proste. Odwróciła się w stronę mieszkania. Brzydota pokoju porażała ją za każdym razem. - Tyle lat, tak dużo zmarnowanego czasu - powiedziała do siebie. A w chwilę później wyszła w tę świetlistość tak po prostu, jak się wychodzi na zakupy.

*

Mój notes z adresami sukcesywnie pustoszeje, kolejne numery telefonów okazują się być nieaktualne. Co trzeci prawie ze znajomych jest w trakcie lub po załatwieniu wizy. W przychodni i na oddziale odbyło się w ostatnim półroczu kilka pożegnalnych imprez, które oprócz chwilowego poprawienia nastroju alkoholem nie miały w sobie nic radosnego. Nie cieszyli się ci, którzy wyjeżdżali, a tym, którzy pozostawali, też daleko było do euforii.

Barbarę pożegnałam z prawdziwym smutkiem, związane byłyśmy wieloma latami dyżurów w różnych instytucjach, a przedtem wspólną nauką. Basia dyżurowała prawie stale - początkowo na meble, potem na urządzenie

i wykańczanie nowego mieszkania. Mąż, nauczyciel, dokładał swoją mizerną pensyjkę. Zastanawiałam się, jak długo wytrzyma takie tempo. Ciągnęła tak przez kilka lat i w końcu uznała, że się poddaje. Podobno przed podjęciem decyzji przeplakała dwie noce.

Po trzech miesiącach napisała do mnie zza oceanu pełen goryczy i smutku list. Usiłowałam ją pocieszyć, że przecież najważniejsze w końcu realizuje - spłaca długi za meble i mieszkanie, może kupi samochód. Tutaj nawet gdyby pracowała na trzy etaty i dyżurowała codziennie - nie byłoby jej stać na takie luksusy. Pisałam podobne dyrdymałki i wysyłałam listy z nieczystym sumieniem. Znałam zbyt dobrze Barbarę i wiedziałam, że tym nie podniosę jej na duchu. Pamiętam jak na kilka miesięcy przed otrzymaniem wizy zdała trudną i rzadką w mieście specjalizację. Profesor był zachwycony jej znajomością tematu, nie szczędził komplementów i wróżył (o ironio) świetną przyszłość.

*

Budzi mnie głos dyspozytorki. Moja kolej do wyjazdu. Niechętnie wygrzebuje się z rozgrzanego legowiska. W ciemnościach z trudem trafiam na buty i palto. W pokoju lekarskim, gdzie oprócz mnie śpi jeszcze kilka osób, panuje zaduch i słychać odgłosy pochrapywania. Rozpaczliwie zamykają mi się oczy. Dochodzę wąskim korytarzykiem do dyspozytorni, na pulpicie leży wezwanie. Po chwili słychać człapanie z przeciwnej strony korytarza - to sanitariusz i kierowca. Pakujemy się do wyzębionej karetki. Cała nasza trójka szczęka zębami i walczy z sennością. Ulice są przeraźliwie puste o tej porze nocy, tylko gdzieniegdzie stoi radiowóz. Dojeżdżamy do miejsca wezwania. Między blokami, koło śmietnika, leży mężczyzna, na oko czterdziestoletni. Ubrany raczej dostatnio.

Wokół unosi się ostry zapach alkoholu. Badam ciśnienie, tętno, obrażeń nie stwierdzam. Pacjent nagle staje się rozmowny. Tłumaczę, że pojedziemy do izby wytrzeźwień, gdzie zostanie szczegółowo zbadany i gdzie spędzi noc. Sanitariusz stara się doprowadzić go do karetki. O epitetach, które sypią się na moją głowę nawet nie warto wspominać. Na szczęście dojeżdżamy. Po drodze mijamy ten sam radiowóz. Kierowca coś tam mamrocze pod nosem.

W izbie wytrzeźwień spory ruch. Zewsząd podniesione głosy, szarpanie, przekleństwa. Niebieskie mundury funkcjonariuszy MO przeplatają się z białymi fartuchami. Ktoś wchodzi, ktoś wychodzi. - Ty k...o, nie dotykaj mnie - mówi rosły osobnik do kobiety, która podtyka mu jakiś blankiet do podpisania. Patrzę na nią. Wzrusza ramionami. Normalka... Nasz pacjent (czekamy na swoją kolej) szarpie sanitariusza za ubranie. - Gnojku - mówi - nie wiesz, kto ja jestem. Z dalszej części pogroźek wynika, że jutro dostaniemy za swoje, ponieważ nie zdajemy sobie zupełnie sprawy, jakąż to osobistość sprofanowaliśmy. Spoglądamy na siebie z sanitariuszem i pomimo upiornej scenerii - uśmiechamy się. Ile już razy dane nam było to słyszeć. Chociaż zdarzało się, że rzekoma Osobistość okazywała się być nią naprawdę.

*

Zapadając w sen słyszała jeszcze, jak stary dom trzeszczy pod naporem wiatru i mrozu. Niektóre dźwięki wydawały się niepokojące - zupełnie jak gdyby jakaś żywa istota ocierała się o ściany. Znużenie jej ciała i umysłu było tak wielkie, że w duchu machnęła na to ręką. Niech się dzieje, co chce! Byle szybciej stracić na kilka godzin poczucie rzeczywistości.

W dni świąteczne budziła się bez żadnego przymusu, o wczesnej porze. Już sam widok oszronionych okien, nie

wspominając o lodowatej aurze panującej w pokoju, napa-
wał nie tylko wstrętem do wstawania, ale i do całego dnia,
który trzeba było przecież jakoś przepchnąć przez bezmiar
godzin, aż do bezpiecznej oazy wieczoru. Kulila się pod
kołdrą usiłując zaczepić o jakieś resztki snów, ale kiedy
okazywało się to niemożliwe, z niechęcią wracała myślami
do dzisiaj - straszącego wyziębionym pokojem, dymiącym
piecem, walką z utrzymaniem temperatury w mieszka-
niu. Byle jakoś przeżyć te mrozy - myślała z rozpaczą.

- Wiosną wezmę się w garść - pocieszała samą siebie -
wynajmę kogoś do naprawienia dachu, skopania ogródka.
Przydałby się też remont pokoju na dole, który stał od
śmierci matki nieużywany. Poczowała chwilowy przyływ
energii w miarę jak jej wyobraźnia podsuwała kuszący
widok zalanego słońcem trawnika. Tymczasem oczy bez-
wiednie wędrując po suficie napotkały znajomy zaciek,
który trwał od lat jak niemy wyrzut sumienia, przypomi-
nając, jak bezowocne są jej przykławy energii. Poczowała się
znowu starą, chorą kobietą, niezdolną do jakichkolwiek
poczyznań.

- Dlaczego ja tak głupio przeżyłam to życie - przyszło
jej nagle do głowy. - Jak to właściwie było - zaczęła
zastanawiać się zupełnie serio. Przecież cały czas było
jakieś czekanie, odpychanie rzeczywistości byle jak i na-
prędce, jak odrabianie uprzykrzonych lekcji, zadanych
przez nielubianą nauczycielkę. Byle jak, byle szybciej.
Cała skupiona była na tym wielkim czekaniu na prawdzi-
we życie, które czaiło się gdzieś tuż, prawie za następnym
zakrętem. Ciągłe nieuchwytnie. - Prawdziwe życie - skrzy-
wiła się z ironią.

*

Nie doceniałyśmy Franki. Zmyliła nas jej bezbarw-
ność. Była szara tą szarością polnych myszek, które

oprócz tego, że żyją i wypełniają w odpowiednim czasie zadania, które zleciła im Matka Przyroda, nie czynią innych wysiłków.

Frania uczyła się średnio. W odpowiednim czasie skończyła studia, następnie wyszła za mąż za człowieka, który mógłby uchodzić za jej brata, zarówno ze względu na podobieństwo fizyczne, jak i charakterologiczne. Małżeństwo wydawało się być udane. Oboje wystarali się o mieszkanie w typowym szarym mrówkowcu, zrobili specjalizacje i dwójkę spokojnych dzieci. Frania wykazywała spore zaangażowanie w kierunku, który sobie wybrała. Otrzymywała kolejne stopnie naukowe dosyć szybko. Wcześniej od innych zrobiła doktorat, co było chwilowym obiektem zawiści ze strony koleżanek. W końcu dziewczyny stwierdziły, że biedna Franusia, nie mając nic oprócz szarego męża, musi też mieć coś z życia. Niech więc będzie ten doktorat. One jeszcze zdążą. Uspokoiwszy sumienie wróciliśmy do swoich zajęć.

Świeżo upieczona doktorantka niewiele się zmieniła po osiągnięciu kolejnego szczebelka w swojej karierze. Nadal pilnie słuchała profesora stojąc tuż za nim na obchodzie, sumiennie badała chorych, dużo czasu poświęcała studentom i rzadko kiedy korzystała z przywileju wcześniejszego "pryśnięcia" do domu, kiedy nadarzała się okazja. Lubiłyśmy ją tak, jak się lubi przyjazny, domowy mebel, ale też nie poświęcałyśmy jej wiele uwagi i rzadko kiedy była zapraszana do udziału w naszych wyprawach i spiskach. Wydawało się nam, że Frania, nie grzesząca zbyt dużym poczuciem humoru, niczego nie rozumie i wszystko popsuje.

Najbardziej ożywiało się na oddziale, kiedy przyjeżdżali na szkolenie nasi koledzy z roku, którzy po studiach rozpoczęli pracę w terenie. Zaczynały się wspomnienia, plotki. Po pracy szliśmy całą gromadą do pobliskiej kawiarni na niekończące się rozmowy. Po miesiącu wszystko wracało do normy. Znajomi wyjeżdżali obiecując zadzwonić, napisać. Należało nadrabiać zaległości - historie chorób

piętrzyły się groźnie, świecąc bielą nie zapisanych obserwacji.

Któregoś z takich cichych, pracowitych dni, otworzyły się nagle drzwi pokoju lekarskiego i ku mojemu zdumieniu stanął w nich Zygmunt szczerząc radośnie zęby. Zналиśmy się od wielu lat. Był młodszy ode mnie, ale jakiś czas pracowaliśmy w tej samej poradni. Pamiętałam go również ze studiów, zawsze otoczonego dziewczynami, które zmieniał jak rękawiczki. Patrzyłam na niego z pobłażaniem, jak na młodszeo, niesfornego braciszka. Może dlatego, że akurat nie był w moim typie, chociaż wrażenie robił - niebywale przystojny, nadskakujący każdej, niezależnie od wieku. Ponadto miał specyficzny sposób patrzenia w oczy rozmówczyni, który u innych kobiet wywoływał rumieniec na policzkach, a u mnie - nie wiedzieć czemu - wybuch śmiechu. Wydawało mi się, że Zygmunt nieudolnie naśladował amantów kina niemego. Poza tym jego uprzejmość była nieco lepka i zalatywał fałszem. Jednak dosyć go lubiłam i traktowałam z tolerancją. On też poszedł mi na rękę i przestał zawieszać na mnie swoje słynne spojrzenie, tak, że współpraca w poradni układała się nam dobrze. W dni, kiedy byłam wykończona zbyt dużą ilością pacjentów czy też miałam po prostu chandrę, w drzwiach gabinetu zjawiał się mój przystojny kolega i patrząc groźnie na pacjenta mówił głosem nie znoszącym sprzeciwu: Pani doktor, pilny telefon z dyrekcji u mnie w gabinecie. Parę razy dałam złapać się na ten numer. Biegłam roztrącając pacjentów i gorączkowo myśląc, co też ta dyrekcja może ode mnie chcieć. - Zrób przerwę, wariatko - mówił uśmiechając się Zygmunt i stawiał przede mną filiżankę pachnącej kawy. Rzeczywiście, po paru łykach i chwili rozmowy o niczym czułam się o niebo lepiej i rzucając koleżdze dziękczynne spojrzenie leciałam dalej do pracy. Wszystko nie trwało dłużej niż 10 minut, ratowało mnie jednak na resztę dnia.

Tak więc kiedy zobaczyłam w drzwiach roześmianą gębę Zygmunta, ucieszyłam się szczerze. Zanim do pokoju

nadciągnęła chmara moich koleżanek, już zdążyliśmy sobie to i owo opowiedzieć. Zwłaszcza on: że był dwa lata w Stanach, że z żoną mu się nie układa itd. Nie wyglądało jednak, żeby te sprawy do reszty psuły mu humor. Przedstawiłam Zygmunta reszcie dziewczyn i Frani, która akurat weszła do pokoju. Następnego dnia Franka przyszła do pracy umalowana. Oniemiałyśmy ze zdumienia. Co prawda przedtem też podejmowała sporadyczne wysiłki, żeby coś zrobić ze swoim wyglądem, ale zwykle nieumiejętnie nałożony makijaż rozmazywał się gdzieś około południa. W końcu dała z tym spokój, stwierdziła, że nie ma czasu na bzdury i odtąd pojawiała się w pracy z wyblakłymi, nie umalowanymi oczami i byle jak przygładzoną fryzurą. Szarobure sukienki i własnoręcznie dziergane sweterki dopełniały całości. Nasze plotki o modzie zbywała machnięciem ręki. Nic dziwnego, że oniemiałyśmy, zanim powolutku zaczęło nam świtać w głowach. Zygmunt już był przy France i pomagał jej zdejmować płaszcz. - Omotał ją tymi swoimi spojrzeniami i komplementami, jak pająk muchę - szeptałyśmy po kątach. Szkolenie przecież kiedyś się skończy. - Ależ głupia ta Frania - mówiłyśmy do siebie i czekałyśmy w napięciu, patrząc na jej nagłe zamyślenia, roztargniony wzrok, którym nas coraz częściej obdarzała. Nikt nie zabierał głosu, w końcu nie była dzieckiem. Zresztą dla nas był to jeden szpitalny romans więcej. W ostatnim dniu szkolenia Zygmunt wniósł do pokoju tort, zaparzył kawę. Było sporo zamieszania i dlatego pewnie nikt nie spostrzegł, że tego dnia Franka nie przyszła do pracy. Nie przyszła też w ciągu następnych dwóch tygodni. Na oddziale wrzało. Ktoś zadzwonił do jej męża, który był wyraźnie niezadowolony z telefonu i nie chciał rozmawiać, wybąkał tylko coś o dłuższym zwolnieniu. Bomba wybuchła w kilka dni później. Okazało się, że Frania wyjechała z Zygmuntem! Nikt, począwszy od ordynatora, a skończywszy na naszej kuchence, nie spodziewał się po niej takiego szaleństwa. - Przecież on

ją rzuci, taką szarą mysz - biadała salowa po kątach. Po miesiącu sprawa przycichła i życie potoczyło się zwykłym trybem.

Minęło kilka lat. Rozpoczęłam pracę w Poradni Pediatricznej. Któregoś popołudnia, kiedy w gabinecie zapadał wczesny jesienny zmierzch, ktoś zapukał do drzwi. Nim zdążyłam odpowiedzieć, weszła kobieta. Zapaliłam światło, żeby się upewnić. Tak, to była Franka. Zmieniona nie do poznania, ale ona. Ubrana sportowo w drogie ciuchy, świeżo umyte włosy ułożone w modnie wystrzępioną fryzurę. Zaskakiwała wyglądem.

Nie doceniałyśmy naszej koleżanki. Ale okazuje się też, że nie znałam dostatecznie Zygmunta. To nie było tak, jak myśleli wszyscy na oddziale. To on ją namawiał do wyjazdu. Miłość od pierwszego spojrzenia i po wielu perypetiach pobrali się. Mają teraz dwie córki. Tutaj przyjechali w sprawie samochodu, który Frania rozbiła. - Przecież nie umiałaś prowadzić - powiedziałam zdumiona. Uśmiechnęła się. - Wiesz, Zygmunt jest taki nudny czasami i domator, muszę się rozerwać, a w okolicy mam mnóstwo znajomych.

Potem patrzyłam przez okno, jak szli ulicą. Widocznie mąż czekał na nią pod przychodnią. Tylko dlaczego nie chciał się ze mną przywitać - zachodziłam w głowę. Ale też i nie wyglądał dobrze przy swojej modnej małżonce - przydługie strąkowate włosy, niemodne już, poszerzane u dołu spodnie. Przecierałam ze zdumienia oczy, wyglądał szaro i nijako. Ciekawa byłam, jak z tym jego uwodzicielskim spojrzeniem. A może już z niego wyrósł?

*

Zwariowany dyżur. Na kilkanaście wezwań tylko jedno do naprawdę chorego. Następne wezwanie też trudno sprecyzować w kilku słowach, po dłuższej rozmowie z

wzywającym karetkę okazuje się, że trzeba zmusić do wyjścia z domu na wpół rozebranego mężczyznę, który zamknął się przed dwoma dniami w pokoju bez dachu. Mróz siarczasty od kilku dni. Moja kolej do wyjazdu. Zabieramy na wszelki wypadek kaftan bezpieczeństwa.

Wjeżdżamy w starą dzielnicę, przeznaczoną do całkowitego wyburzenia. Siedlisko melin i marginesu społecznego. Zajeżdżamy pod jeszcze istniejący adres. Z domu zostało niewiele. Po wiszących prawie w powietrzu schodach, które przedtem stanowiły prawdopodobnie wewnętrzny fragment budowali, wdrapujemy się na półpięterko, pod zamknięte na klucz, od wewnątrz odrapane, niebieskie drzwi. Pukamy, prosimy, obiecujemy. Robi się coraz zimniej. W końcu sanitariusz wyważa drzwi, które stawiają właściwie niewielki opór, żałujemy, że nie zrobiliśmy tego wcześniej. Wchodzimy. Człowiek, który do tej pory udzielał nam odmownych odpowiedzi, okazuje się być mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu lat, okutanym w nieprawdopodobną ilość szmat i gałganów. Nos fioletowo-czerwony. Może z zimna? Nieoczekiwanie zgodnie i potulnie schodzi z nami w dół, gdzie już zebrał się spory tłumek gapiów. Prawie wszyscy to jego sąsiedzi. Okazuje się, że nasz pacjent wyszedł przed kilku dniami ze szpitala psychiatrycznego. I tam zamierzamy go odwiedzić. Tymczasem nasz pasażer zaczyna monolog o końcu świata, a potem intonuje jakąś pieśń gromkim głosem, który wypełnia całą niewielką w końcu przestrzeń karetki i świdruje w uszach. Dojeżdżamy do rogatek miasta. Minęło kilka tygodni od wprowadzenia stanu wojennego i zatrzymuje nas milicja.

W tym momencie zdałam sobie sprawę, że nie mam przy sobie wymaganego dowodu osobistego, wysuwam więc głowę przez okno prosząc przedstawiciela władzy, żeby w tym wyjątkowym przypadku pozwolono nam szybciej odjechać i zaniechano kontroli pojazdu (wskazuję przy tym na śpiewającego). Funkcjonariusz zagląda z ciekawo-

ścią do karetki, ale i tak musimy wysiadać. My, to znaczy obsługa karetki, nie stawiamy oporu. Natomiast pacjent dopiero po dłuższej chwili daje się wyciągnąć na zewnątrz. Robi się coraz zimniej, a we mnie dojrzewa bunt.

Po pobieżnym sprawdzeniu zawartości karetki pan władza podchodzi do nas. Ogląda wezwanie, godzinę wyjazdu z bazy, dziwi się, że tak długo zajęło nam zabranie pacjenta. - To była wasza robota i ciekawe, ile by wam to zajęło? - mruczy półgłosem sanitariusz. Potem milicjant ogląda dowód osobisty kierowcy i sanitariusza, a ja zastanawiam się, co będzie dalej. Mój problem polega na tym, że pomimo ostrzeżeń nie zabieram tego dokumentu ze sobą. Kieszenie i tak mam szczelnie wypełnione przedmiotami, które są przy wyjeździe do chorego bardziej przydatne niż akurat dowód osobisty. Poza tym łatwo mogłabym go zgubić. Wolałam go zatem zostawiać w bazie. Poza wszystkim uważałam, że gdyby zaszła potrzeba ustalenia mojej tożsamości w czasie dyżuru, nie byłoby z tym trudności. Wystarczyło przez radiotelefon skontaktować się z dyspozytornią. Ale to było moje zdanie. Tak więc kiedy przedstawiciel władzy zbliżył się do mnie na wyciągnięcie ręki, uprzedziłam grzecznie, że dowodu osobistego nie posiadam przy sobie. - Lepiej poszukajcie w kieszeniach - warknął przedstawiciel. Zaczęłam więc wyciągać z nich wszystko, co tam było: aparat do mierzenia ciśnienia, bloczek recept, kwitariusz do wypisywania kwoty dwudziestu złotych, słuchawki, sporych rozmiarów portfeliki z narkotykami (którego należało strzec jak oka w głowie), pieczętkę lekarską... W trakcie tych czynności nasz pacjent przerwał swoje śpiewy i zaciekawiony zbliżył się do mnie; szczególnie zainteresowały go słuchawki. Sanitariusz i kierowca z trudem hamowali śmiech. W końcu zniecierpliwiony funkcjonariusz rzucił ostro: No, dosyć tych komedii. Wsiadajcie. Sprawdźmy. Tym razem nawet naszego pasażera nie trzeba było namawiać - w karetce było o parę stopni cieplej niż na dworze.

*

Są słowa i sytuacje, które należałoby jak najprędzej wymazać z pamięci. Notuję je z uporem wierząc, że przełane na papier tracą swoją złą moc. Oddane kartce, jak do przechowalni, przestają się tak czepiać pamięci. Wydają się być mniej złowrogie.

Rak. Tumor. Carcinoma. Krótkie, lapidarne określenie strasznego wyroku. Bo jest to wyrok zawsze. Mniej lub bardziej śmiertelny, ale zawsze skazujący na coś lub na kogoś. Pobiera się wycinek, wynik przychodzi za dziesięć dni i w tym czasie trzeba w miarę normalnie żyć - jeść, myć się, spać. Ubierać i rozbierać. Nikt, kto nie czekał, nie zdaje sobie sprawy, do jakich monstrualnych rozmiarów może rozciągać się czas.

Codziennie gdzieś u kogoś nastąpił koniec jego świata. Teraz już nikt i nic nie jest ważne. Od tej chwili wszystko będzie wyglądać inaczej. A pytanie - dlaczego właśnie ja - pozostanie bez odpowiedzi. Zacznie się wielka samotność umierania.

*

Najbardziej lubiła tę porę dnia, kiedy kończąc wszelkie zajęcia wchodziła po stromych schodach do swego pokoju na poddaszu i zatapiała się z przyjemnością w jego ciepłej, spokojnej atmosferze. Niewielka mansarda wypełniona była w większości zbytecznymi w reszcie domu meblami, które oddane tutaj na chwilę, rzecz by można "w komis", po chwilowym zamęcie mościły się wygodnie między ścianami, tworząc harmonię i przyjemny dla oka ład. Z upodobaniem patrzyła na całą paletę zgaszonych żółci i spłowiałych beżów. Kolorów przynoszących ulgę po całym dniu ostrych barw. Miękkie zasłony i krzywizna sufitu przechodząca łagodnie w okno z powieką białej firanki. Obrazy na ścianach wywoływały jakieś nieokreślone, ale

przyjemne odczucia. Powoli ogarniał ją spokój, leniwy bezwład podobny powolnemu nurtowi rzeki, płynącej nieśpiesznie w sobie tylko wiadomym kierunku. Starła się odepchnąć na brzeg świadomości wszystkie problemy. Patrzyła na poszczególne fragmenty pokoju, czuła jak narzucają jej własny klimat, zmieniają bieg myśli. Przeciągnęła dłonią po znajomych grzbietach książek. Ich bohaterowie stali obok - na wyciągnięcie ręki, gotowi wciągnąć ją w krąg swego świata. - Nie, nie dzisiaj - pomyślała. - Muszę wreszcie wszystko porządnie przemyśleć, coś postanowić. I nagle w środku zdania zmorzył ją sen.

Spojrzała na zegarek - dopiero trzecia nad ranem. Obudził ją ból i wiedziała, że już nie ustąpi, że będzie rósł i ogromniał w niej z minuty na minutę, osiągając rejony, kiedy nie patrząc na nic i na nikogo chce się po prostu krzyknąć. Sięgnęła po tabletki, potrafiła je łykać bez popijania wodą - byle szybciej. Na nocnym stoliku pod ręką miała szklanekę wody, ale jeśli ból dopadał ją w autobusie czy na ulicy... Rozluźniła mięśnie, czekając na działanie leku. Teraz przypominała sobie z politowaniem te wszystkie drobne sprawy, zdarzenia, które kiedyś składały się na jej rzeczywistość, a które ona w swojej niewiedzy czy głupocie nazywała nieszczęściami. Jawiły się jej dzisiaj jako niedogodność losu, przykre zaledwie przykrością, z jaką się reaguje na brzęczenie natrętnego owada. Te jej obsesje, lęki - jakie to było dziecinne i śmieszne. Pamięta, jak bała się przemijania i starości, ze strachem obserwowała każdą nową zmarszczkę na twarzy - jakby zwiastowała koniec świata. Potem przestała je liczyć, ale widziała niszczące działanie czasu. Dawało się zauważyć, że twarz wygląda dobrze już tylko w pewnych okolicznościach i w odpowiednim oświetleniu. - A więc to już się zaczęło - pomyślała ze ściśniętym sercem. Zaczęło się to obsuwanie w głęboki, ciemny wąwóz starości. Zaczęła się druga - gorsza część jej egzystencji. Mimo to czuła nadal oczekiwanie, które przepływało prawie pod skórą, nasączało

tkanki razem z krwią. Wiedziała, że życie wyciągnie z rękawa jeszcze jakąś niespodziankę. - No i masz - pomyślała złośliwie.

Przypominała sobie cały korowód znajomych, którym przytrafiło się to samo. Których spotkał podobny los. I wtedy pod maską współczucia, pod słowami, kryła się jednak ukrywana starannie ulga, że to jeszcze nie ja.

Teraz ktoś inny myśli podobnie. - Mam raka - powiedziała na głos.

*

Stefania panowała niepodzielnie na bloku operacyjnym. Była jego szefową i kilka podległych jej młodych instrumentariuszek bało się jej jak ognia. Faktem jest, że swoją pracę znała jak nikt - wszystko było na czas podane, a zestaw narzędzi przygotowany do zabiegu bez zarzutu. Jej władza nie ograniczała się tylko do zielonych kafelków sali operacyjnej, przedłużała się i miała pewien wpływ na życie obu punktów pielęgniarskich, sięgała nawet pokoju lekarskiego. Zwłaszcza młodzi lekarze i stażyści poddawali się jej tyranii. Ponieważ pracowała tu od trzydziestu pięciu lat, znała wszystkie tajemnice, zakulisowe ploteczki, dzieje wszystkich oddziałowych romansów. A i obecna rzeczywistość nie była w stanie ukryć się przed jej okiem. Niejeden i niejedna z nas, znając ostry język Stefanii, woleli żyć z nią w zgodzie. Chociaż nie było to proste.

Kiedy po raz pierwszy przyszedłam do pracy, uwagę moją zwróciła osoba, której w żaden sposób nie mogłam zaszukować w hierarchii oddziału. Była szczupłą, piękne włosy miała ściśnięte niedbale w duży kok. Twarz pomarszczona i złożona w dziwaczny grymas, ale ze śladami dawnej urody. Nosiała inny niż wszyscy fartuszek-sukienkę w kolorze różowym i do tego pastelowe podkolanówki w ażurowy wzorek. Wlepiłam wzrok w te podkolanówki

nie słysząc przez dobrą chwilę, co się do mnie mówi.
- Nowa - ni to stwierdziła, ni to zapytała zagadkowa osoba. Skinęłam głową. Byłam zbyt speszona, żeby normalnie wydobyć głos. To było moje pierwsze zetknięcie ze Stefanią. Później słyszałam, jak beszta szefa za zmianę kolejności zabiegów i jak on gęsto się jej tłumaczy. Sposób jej wystawiania był też dziwny - pieśczośliwie zdrabniała nazwy różnych narzędzi, nadając im męskie imiona, ale też zdrabniała imiona niektórych lekarzy, co sprawiało, że przez pewien czas nie bardzo wiedziałam, o kim czy o czym mówi. - Ona już taka jest - pocieszała mnie koleżanka - przyzwyczaisz się. Na przykład słowo Ziutek oznacza to oto narzędzie chirurgiczne i również tego tam kolegę stażystę - objaśniała dokładnie i z powagą.

Wkrótce i ja wchłonęłam wszystkie dziwaczności Stefanii. Dowiedziałam się też co nieco o jej przeszłości, opowiedziała mi o niej jedna z pielęgniarek pracujących najdłużej i dobrze znająca Stefę i jej rodzinę. Otóż nie zawsze była taka. Przede wszystkim była dziewczyną niezwyklej urody i powodzenie miała ogromne. Lubiła tańczyć i nie raz, nie dwa, po przetańczonej nocy szła prosto na dyżur. W mężczyznach przebierała jak w ulęgałkach. W końcu wyszła za mąż za przystojnego chłopaka, który od samego początku traktował ją źle. Dzieci nie mieli. Ale za to mąż, z czasem znany chirurg, miał liczne romanse. Jego perypetie sercowe były szeroko znane. Tymczasem Stefania powoli traciła urodę i dziwaczała coraz bardziej, ale nie dawała mu rozvodu. Kiedy ja przyszedłam do pracy, trafiłam na okres różowych fartuszków i ażurowych podkolanówek. Sala operacyjna była jej pierwszym i drugim domem. Tutaj było jej niekwestionowane królestwo. Zauważyłam, że polubiła mnie. Może dlatego, że jeszcze wtedy wyglądałam dość dziewczęco i nosiłam niemodny, długi warkocz. Podejrzewałam, że otoczyła mnie specyficzną opieką, która momentami była nie do wytrzymania. Zresztą nie było czasu na takie rozmy-

ślania. Dyżur gonił dyżur. Wypisy, zabiegi, opatrunki, zakupy, sprzątanie, dyżur. Po nocach śniłam osłonięte sterylnymi prześcieradłami pole operacyjne. Na urlopie nie zdążyłam odpocząć. Ktoś obchodził imieniny, komuś rodziło się dziecko... Specjalizacja, zebrania naukowe, referaty. Znowu dyżur... Po rannym obchodzie każdy zniknął w tylko sobie znanym miejscu, rzadko kiedy mieliśmy czas pobyć trochę razem i poplotkować o czymkolwiek. Czasem tylko w dyżurce przy gorączkowym robieniu wypisów wymienialiśmy szybkie uwagi, ale zaraz ktoś gdzieś leciał, kogoś innego wywoływał na korytarz pacjent lub jego rodzina. Reszta tkwiła przy stole operacyjnym. Czas prześlizgiwał się niedostrzegany przez nikogo. I przez nikogo niepostrzeżona zniknęła z naszego życia Stefania. Któregoś dnia nie przyszła do pracy. Minął tydzień. Okazało się, że leży na oddziale szpitala onkologicznego. Zamarliśmy ze zgrozy. Za chwilę zaszumiało... jak to, dlaczego? Potem każdy przycichł nad swoim wypisem i z przerażeniem pomyślał, że i nas to może kiedyś nagle dopaść, ot, któregoś dnia po prostu nie przyjdziemy do pracy. Gdzieś tam na dnie czaiła się brzydka ulga, że jeszcze nie tym razem, że jeszcze nie nasza kolej...

Oczywiście poszliśmy do niej wszyscy z szefem na czele. Z kwiatami, czekoladkami i słodkimi uśmiechami przyklejonymi do twarzy. I nie poznaliśmy w małej, skurczonej i poźółkłej istocie naszej Stefanii. Pytaliśmy o wszystko, o co wypada pytać w takiej sytuacji. Chwaliliśmy jej dobry wygląd. Jednak Stefania była zainteresowana wyłącznie stanem swego królestwa, zafrasowana faktem, czy nieskazitelna zieleń kafelków, która była jej obsesją, pozostanie taka do jej powrotu. Czepiała się chudymi patykami dłoni naszych fartuchów. Zaglądała w oczy. Gdzieś zniknęła jej cała dziwaczność i ten ptasio kwiatowy szczebiot. Pozostał przerażony człowiek, samotny ze swoją chorobą. Zapewnialiśmy ją wszyscy, że niebawem wróci do pracy, że czekamy i na pewno wszystko

przybierze pomyślny dla niej obrót. Żadne z nas, znając rozpoznanie, nie wierzyło w to, co mówi. Wiadomym było, że o ile Stefania w ogóle się z tego wygrzebie, to o żadnej pracy nie będzie mowy.

Mijały miesiące, zmieniały się twarze chorych na salach. Na bloku operacyjnym przestano wspominać Stefanię. Operacja za operacją. Na korytarzu potykaliśmy się co krok o dostawki. Któregoś dnia, był to początek ciepłej jesieni, do pokoju lekarskiego wsunęła się dziwaczna postać okutana w chusty. Przypominała wiejską babę udającą się w mroźny dzień na jarmark. Spoza tych zawojów ukazała się pomarszczona i postarzała twarz Stefanii. Zrobiło się zamieszanie - ktoś podawał jej krzesło, ktoś inny proponował herbatę. Stefa przysiadła skromniutko na brzegu wersalki. Co chwila przerywano nam rozmowę - a to telefon, a to pacjent. W końcu wszyscy gdzieś się rozproszyli, a ja musiałam iść do zabiegu operacyjnego. Asystowałam szefowi. Potem, kiedy usiedliśmy na chwilę przy herbacie, zreferowałam mu sprawę Stefanii: do pracy już nie wróci. To pewne. Jakoś z tego wyszła, ale nadal źle się czuje, chodzi na naświetlania. Najbardziej jest rozszalona z powodu renty - śmiesznie niskiej po tylu latach pracy. Kwota, którą mi podała, była rzeczywiście żenująca i nie do przeżycia dla osoby chorej, która nie tylko, że musi się leczyć drogimi specyfikami, to jeszcze dobrze odżywiać. Bynajmniej nie kaszanką. Było nam i przykro, i głupio. Niby nie nasza wina, ale zawsze... Szef nawet przebąkiwał, że może zebrać by jakieś pieniądze, ale też nie wiadomo, czy byłoby to dobrze przyjęte. W końcu nic dla Stefanii nie zrobiliśmy, ani tego, ani następnego dnia. Potem przyszła lawina, która zaległa moją salę. Te i inne problemy sprawiły, że przestałam o niej myśleć. Przyjęto nową pielęgniarkę na blok operacyjny. Kiedyś, podczas zabiegu spytałam jedną z młodszych sióstr czy wie, co słyhać u Stefanii. Odpowiedziała, że owszem, były kilka razy u niej w domu i przedtem w szpitalu, ale później już

nie, bo sama pani doktor wie, jak jest z tym czasem, niby człowiek ma wolne po dyżurze, ale pada z nóg, a i w domu jest o co ręce zaczepić... Zamyśliłam się, sama nie byłam lepsza... Tłukła mi się pod czaszką myśl, że przecież to nas nie usprawiedliwia. Ani zmęczenie, ani brak czasu.

*

Zapinam w biegu fartuch. Izba przyjęć pełna ludzi. Lekarze różnych specjalności uwijają się jak w ukropie. Dopiero około szóstej tłum się nieco przersedzi i będzie można pójść na kolację. Niewielka szpitalna stołówka i cerata w biało-niebieską kratę na stolikach. Chwila odpoczynku. Ale i tu trudno przestać mówić o nowych pacjentach. Jeszcze specyficzny smak szpitalnej herbaty i rozchodzimy się - każdy na swój oddział. Wieczorny obchód, zlecenia, wypełnianie nowych historii chorób, szczegółowy opis przypadku. Znowu telefon z izby przyjęć. Czuje, jak z godziny na godzinę (mimo wygodnych pantofli) puchną mi nogi.

Pamiętam jak kiedyś, przed każdym zejściem na izbę, poprawiałam fryzurę, makijaż, wyraz twarzy. Teraz wydaje się to śmieszno, nie wartą uwagi.

*

Nawet wtedy, kiedy było mi zupełnie dobrze, gdzieś w zakamarkach świadomości czaił się strach przed Złem, które chwilowo tylko niewidoczne, schowane pod pozornie spokojną powierzchnią dnia i nocy, zwyczajności, w której byłam zawieszona, mogło w każdej chwili ujawnić swoje wredne oblicze.

Bałam się wtedy gwałtowniejszych ruchów, żywszych uczuć, ba, nawet głębszych oddechów, żeby go nie obudzić.

Staralam się je ugłaskać jakąś pozorną sennością mojej egzystencji. Ten właśnie strach przed Złem zatruwał mi całe obszary mojego życia. Nigdy nie grzeszyłam odwagą, zawsze byłam Wielkim Tchórzem wobec samego faktu istnienia.

*

Teresa była kobietą bardzo piękną. Patrząc na nią nie chciało się zastanawiać, jaka jest naprawdę. Przychodziło co prawda do głowy, że musi mieć jakieś negatywne cechy charakteru, które równoważyłyby jakoś ten nadmiar dany jej przez naturę, ale były to myśli nieśmiałe i pozostawały niejako na marginesie ogólnego zauroczenia jej urodą. Włosy związywała gładziutko z tyłu głowy, wiedząc podświadomie, że nie potrzebuje dodatkowej oprawy.

Teresa studiowała medycynę - było to podtrzymywanie rodzinnej tradycji. Jej ojciec - stary, mądry doktor, znany w mieście - był rodzicem wyrozumiałym i tolerancyjnym, mogła zawsze na niego liczyć. Dziwnym się więc wydało, że upodobała sobie mężczyznę dużo od niej starszego, jak gdyby poszukiwała uczuć ojcowskich, których jej przecież nie szczędzono ani w dzieciństwie, ani później. A może poszukiwała kogoś, kto by jej ojca w przyszłości zastąpił? Chociaż stary doktor czuł się znakomicie i miał jeszcze szeroko zakrojone plany na przyszłość.

Narzeczony Teresy, były sportowiec, trudnił się dziennikarstwem i pisywał niewielkie artykuły do lokalnej prasy. Miał rozliczne pasje, do których oprócz sportu należał alkohol, bujne życie towarzyskie i prawdopodobnie kobiety, ale o tym Teresa jeszcze nie wiedziała. Miał też brata, zdeklarowanego alkoholika, który wegetował w porośniętej brudem kawalerce, zapijając się codziennie na umór. O tym też nikt jej nie mówił. Na razie zaliczała wszystkie egzaminy, a wieczorem, szczęśliwa i roześmia-

na, tańczyła w znanym lokalu z przystojnym redaktorem, którego podejrzenie dobrze znały wszystkie kelnerki, nie wspominając kobiet snujących się wokół baru, wchodzących i wychodzących w coraz to innym towarzystwie. Właściwie wszyscy ubolewali nad Teresą, ale powstała wokół niej jakaś zmowa milczenia. Nie wiadomo tylko, czy przyczyną tego była sympatia i chęć oszczędzenia jej przykrości, czy też zawiść i złośliwe oczekiwanie na skutki tej znajomości. Dziwnym też było, że stary doktor, w końcu znający to miasto i większość jego mieszkańców - też o niczym nie wiedział.

I właściwie to już wszystko. Każda opowiadka jest bowiem ciekawa tylko do jakiegoś momentu. Reszta, którą dopisuje życie, nie jest fascynująca. Teresa oczywiście powoli dowiedziała się o wszystkich tajemnicach swego męża, ale było już za późno. Miała o to żal do znajomych. Przestała się z nami kontaktować. Po ukończeniu studiów, zamiast podjąć pracę w dużym szpitalu, zaszła się gdzieś na peryferiach, w małej poradni rejonowej.

Mijały lata. Jej piękność przygasała gwałtownie. Rósł natomiast jej jedynak - podobny do niej jak dwie krople wody. Mąż pojawiał się i znikał. Ona pielęgnowała starego ojca i szwagra alkoholika. Często widywano ją, obarczoną za ciężkimi siatkami, na głównej ulicy. Szła wolno, czasami przystając obok jakiejś szyby wystawowej. Patrzyła długo na swoje odbicie, nie mogąc ukryć zdumienia. My zresztą też. Wszyscy żalowaliśmy, że życie pięknej Teresy potoczyło się właśnie tak, ale przecież to nie była nasza wina.

*

Zapowiadało się dobrze. Spokojny niedzielny dyżur, na który szłam z pewną nawet przyjemnością. Atmosfera w domu ostatnio nie była najlepsza. Wolałam ciche schronienie w gabinecie lekarskim. Zabrałam zaległą prasę.

Ale już na dole coś mnie tknęło. Zwykle w niedzielę rano czuło się pewne rozleniwienie i luz. Chorzy jakby mniej cierpiący, pielęgniarki nieco bardziej uśmiechnięte. A z oddziałowej kuchni mniej niż zwykle przykre zapachy. Tym razem wyraźnie czułam w powietrzu coś niepokojącego. Otworzyłam drzwi pokoju lekarskiego. Kolega, którego miałam zmienić, ledwie podniósł głowę znad raportu.

- Coś ty taki zapracowany - zaczęłam złośliwie - no mów wreszcie. Usiadłam, żeby przyjąć cios spokojnie.

- Zgon na ósemce - zaczął - na czwórce dwa ciężkie stany, na separacie po zawale, a dzisiaj, chociaż to tępy dyżur, obiecałem przyjąć jakiegoś protegowanego profesora N. Nasz szef o to prosił. To znaczy ty go przyjmiesz. - W jego głosie usłyszałam nieklamana radość.

- I mam nadzieję, że będziesz dla niego miła - dodał z naciskiem.

- A co mu jest? - zapytałam.

- Profesorowi? - zapytał inteligentnie Staszek, zapewne też już wybiegając w myślach z oddziału.

- Nie, temu protegowanemu - tłumaczyłam cierpliwie.

- Sama zobaczysz - powiedział enigmatycznie mój kolega wkładając w podejrzanym pośpiechu płaszcz. Nie było sensu indagować go dalej, widziałam jaki jest zmęczony. W końcu jeden protegowany więcej, jeden mniej, jakie to ma znaczenie.

Zostaję sama, ale tylko na chwilę. Zagląda siostra Marynia i idziemy na obchód, przeglądam zlecenia, nowe historie chorób, rozmawiam z nowymi pacjentami. Zaraz zaczną się odwiedziny. Pani Gienia - kuchenkowa - wnosi obiad na tacy. Przysiada na chwilę i przy okazji zwierza się ze swoich dolegliwości. Co chwila wsuwa ktoś głowę, prosząc o informacje o chorych. Wreszcie powoli gwar się ucisza, ostatni odwiedzający odchodzą. Mogę wypić kawę. Kiedy włączam wodę, rozlega się dosyć głośne pukanie. Podskakuję nerwowo, bo w ciszy gabinetu zabrzmiało co najmniej jak armatni wystrzał. Zanim kończę wymawiać

słowo - proszę - wchodzi mężczyzna. - To pewnie ten protegowany - przechodzi mi przez głowę. Z przekory postanawiam udawać, przynajmniej przez jakiś czas, że o niczym nie wiem. Mój gość zachowuje się - jakbym to określiła łagodnie - z niewymuszoną swobodą. - Moje nazwisko M. - rzuca. Ja również przedstawiam się. Proponuję krzesło. Siadamy. Zapada dosyć kłopotliwa cisza, ale nie dla mnie, raczej dla mojego gościa. Myślał, że nazwisko i protekcja z góry spowoduje określony sposób zachowania lekarza dyżurnego. Ja jednak mam prawo o niczym nie wiedzieć, do mnie w końcu profesor nie dzwonił, polityką nie muszę się interesować. Chociaż akurat to nazwisko i ta twarz nie jest mi zupełnie obca.

- Czy nazwisko profesora (tu wymienia) jest pani znane? - pyta M. - Miał dzwonić w mojej sprawie. Na moment mnie zatyka: nazwisko profesora, wybitnego specjalisty w swojej dziedzinie, jest ogólnie znane w mieście, a pytanie, czy ja jako lekarz je znam, jest tu co najmniej nie na miejscu. Facet coraz bardziej mi się nie podoba.

- Tak - odpowiadam chłodno - znam nazwisko profesora, ale nie dzwonił dzisiaj do mnie. Przynajmniej nie w pańskiej sprawie - dodaje nieco złośliwie.

Mężczyzna obrzuca mnie niechętnym wzrokiem, nie jest pewnie przyzwyczajony do takich sytuacji, kiedy on gra rolę petenta, tacy jak on zwykli wydawać polecenia i żądać. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjmuje skierowanie do szpitala i podaje mi. Czytam skreślone ręką profesora rozpoznanie. Jest typowe dla sześćdziesięciu procent ludzi w tym wieku. U dołu dopisek, że miejsce uzgodnione z doktorem (tu nazwisko mego kolegi Staszka).

- Niestety - mówię z łagodną słodyczą - kolega, z którym miejsce było uzgodnione, miał dyżur wczoraj. Dlaczego nie przyszedł pan na ostry dyżur?

- Miałem wczoraj ważnych gości na kolacji, rozumie pani, trochę wypiliśmy...

Co za bezczelność, myślę, żeby mi jeszcze opowiadać

take szczegóły. Wszystko jest jasne. Nic mu nie jest, ale i tak z jakichś powodów muszę go przyjąć. To nie moja sprawa. Wyciągam historię choroby i zaczynam rutynowy wywiad.

- Jakie dolegliwości pan zgłasza? - Facet kręci się na krześle.

- Profesor nie napisał? - pyta z nadzieją w głosie.

- Chcę to usłyszeć od pana - mówię twardo. Na tyle mogę sobie pozwolić. Rozkoszuję się widząc, jak zaczyna się pocić. Gdzie się podziała ta cała arogancja i buta, której zawsze był dla mnie uosobieniem? Nie słuchając jego niemrawo tym razem kleconych zdań, piszę rutynowy wywiad o typowych dla dobrze odżywionego pięćdziesięciolatka na wysokim stanowisku dolegliwościach. Robię to dla Staszka i profesora. Zlecam całą masę badań: EKG, RTG klatki piersiowej... Niech wie, że jest w szpitalu. Odsyłam do punktu pielęgniarskiego. Po godzinie pacjent łąduje na sali, gdzie oprócz niego leży jeszcze pięciu chorych. Nie będzie narzekał na brak towarzystwa.

- Zresztą po jakie лихо wybrał nasz szpital? - dziwię się w duchu. Jest przecież klinika. Nie odmawiam sobie obejrzenia go w przykrótkiej piżamie.

A zapowiadało się na miły, nie stresujący dyżur.

- Babcia spod trójki ma duszność - informuje pielęgniarka. Idziemy. Zanim duszność minie po podanych lekach, słycać brzęk naczyń i na korytarz wyjeżdża wózek z kolacją. Za pół godziny, jak chorzy zjedzą, zrobię wieczorny obchód.

- Nic panu nie dolega? - pytam pana M. Kątem oka widzę nietkniętą kolację. Pewnie w domu nie jada paszтетowej i dżemu.

- Dziękuję - cedzi - nie jestem głodny. Po chwili pyta, czy będzie mógł skorzystać z telefonu. Informuję go, z jakiego aparatu mogą korzystać pacjenci i zastanawiam się, czy będzie dzwonił do profesora ze skargą, że nie dostał separatki i kawioru na kolację. W pokoju lekarskim

włączam telewizor, ale i tak nie jest mi dane obejrzeć dziennika. Babcia ma znowu duszność. Idziemy na salę. Powoli oddech pacjentki wraca do normy, za to inne chore wybudziły się ze snu, każda przypomina sobie o swoich dolegliwościach. Jeszcze inne pytają mnie o jutrzejsze badania. W końcu pielęgniarka zagania kobiety do łóżek i gasi światło. Zaglądam jeszcze do separatki - słycać miarowy oddech. Cicho przymykam drzwi. Wracam do siebie. Telefon podrywa mnie na równe nogi - to Staszek.

- Zgłosił się ten od profesora? - pyta. Odpowiadam, że owszem i leży na siódmymce.

- Oszalałaś! - wrzeszczy do słuchawki - wiesz kto to jest?!

- Jakiś M. - mówię niewinnie - do tego strasznie nieprzyjemny facet. Że też profesor zadaje się z takim niemiłym typem - zastanawiam się do słuchawki.

- Ty idiotko, ty chyba gazet nie czytasz - pieni się mój kolega. Wyprowadza mnie z równowagi. Jestem poza tym zmęczona.

- Zamknij się - mówię zimno - przyszedł facet, pokazał skierowanie i przyjął go jak każdego innego pacjenta, zebrałam wywiad i położyłam tam, gdzie było wolne miejsce, zleciłam mnóstwo badań dodatkowych i zapytałam na obchodzie, czy coś mu nie dolega, bo kolacji nie zjadł, widać mu nie smakowała. Możesz mu przynieść kawioru, czy czegoś innego. Może zje. Masz coś do mnie jeszcze? - pytam rozwścieczona.

- No dobrze, dobrze - mówi Staszek i chichocze - swoją drogą cieszę się, że na ciebie trafił. Jutro pogadamy. No to cześć!

Odkładam słuchawkę. A miał być miły, spokojny dyżur. W nocy jeszcze raz wstaje do duszności. Rano dopijam kawę, kiedy wpada Stach; gębę ma roześmianą.

- Jak się ma nasz wspólny pacjent, czy zjadł śniadanko? - pyta. Ale nie mam ochoty na żarty.

*

Reklama była piękna. W tonacji złoto-brązowej. W takt starego wiedeńskiego walca tańczyła para - ona w pięknej sukni, on - we fraku. Oboje piękni, uśmiechnięci. Nierealny, szczęśliwy świat, w filiżance parowała kawa, której zapach nieomal czuła przez ekran, oglądając później owoc swojej pracy. Tylko ona wiedziała, ile ją kosztował ten uśmiech. Mężczyzna, z którym tańczyła, pachniał jakoś tak nieprzyjemnie. Może był to skutek niedobrej wody kolońskiej zmieszanej z wonią naftaliny, w której leżał frak. Usiłowała uśmiechać się najpiękniej jak umiała, chociaż jej partner winien był jej sporą kwotę pieniędzy, z oddaniem której zupełnie się nie kwapił. - Co za bezczelny typ - myślała, patrząc na piękne zęby i nieskazitelną fryzurę. Dziewczyny chyba za nim szaleją. Gdyby wiedziały, jaki jest nieodpowiedzialny i fałszywy. On - rozciągając wargi w uśmiechu myślał też o pieniądzach, które jest jej winien i które powinien oddać, ale na razie nie miał z czego i sam ten fakt czynił mu postać dziewczyny niemiłą. Ot, taki przesuwający się pod nosem wyrzut sumienia. Tymczasem sunęli w takt walca, reklamując odrobinę Wiednia w filiżance.

*

Często miewam sen o szpitalnym korytarzu, długim i lśniącym, który ciągnie się w nieskończoność. Idę, mijając kolejne drzwi, męczy mnie samotność i cisza tego białego tunelu. Takie sny miewam często na dyżurach, kiedy śpię czujnie, nasłuchując znajomego człapania sanitariuszy i pukania do drzwi.

Budzi mnie ból głowy. Wstaję potykając się w ciemności o krzesło i zapalam światło - muszę znaleźć tabletki od bólu głowy. Wychodzę na korytarz - ten na szczęście nie

jest taki długi jak w moich snach. Podłoga pokryta starym linoleum nie lśni, a zapach stęchlizny i lekarstw jest raczej swojski. Wchodzę cicho do dyżurki. Pielęgniarka wychyla się zza kotary - ma nieprzytomne spojrzenie, chyba zdrzemnęła się w fotelu. Wyjaśniam jej szeptem swoją obecność i biorę z szafki kilka tabletek. Jest trzecia nad ranem. Popijam tabletkę wstrętą, ciepłą wodą z kranu. W pokoju lekarskim sprawdzam, czy po łóżku nie łożą prusaki i kładę się w oczekiwaniu na zbawienne działanie proszków. Jakie to szczęście, że noc jest w miarę spokojna, myślę zasypiając.

*

Iwona jest pediatrą i pracuje w poradni rejonowej. Lubię ją, bo to człowiek niesłychanej dobroci. Niemniej jednak co jakiś czas buntuje się i wpada do mego gabinetu, głośno trzaskając drzwiami. Rzuca się na krzesło i zaczyna popłakiwać, że nie wytrzyma dłużej tego tempa, że przyjęła już 60 dzieciaków, a drugie tyle siedzi pod drzwiami gabinetu, że na pięciu lekarzy pracuje tylko ona i koleżanka, reszta jest chora, a na pomoc z innego rejonu nie ma co liczyć. I dalej: że mogliby chociaż stażystę przysłać, a telefony wciąż dzwonią i matki zamawiają wizyty domowe, żeby nie czekać w kolejce. - I kto pójdzie na te wizyty, bo ja naprawdę już nie mam siły - pyta zrozpaczona Iwonka.

Nic nie odpowiadam, bo wiem, że moja koleżanka jest dziewczyną zdrową i silną, jak trzeba potrafi pracować z temperaturą 39° (sama widziałam). Więc pójdzie na te wizyty i będzie je załatwiać poza godzinami pracy.

Tak więc, kiedy moja przyjaciółka wpada do mnie i żali się, że dalej nie da rady - nie potrafię jej pocieszyć. Zresztą... zanim zdążę otworzyć usta już wbiega siostra i woła: Pani doktor, matki się niecierpliwią. Chociaż jest u mnie zaledwie 10 minut.

*

Lipiec

W dalszych częściach ogrodu, prawie pod lasem, mieści się warzywnik. Spora połać ziemi pocięta grzędami, z których wylewają się w swoim apogeum najrozmaitsze warzywa: zmierzwiona nać marchwi, rozłożyste kapusty, jędrne, mleczno-białe kalafiory. Wszystko nieustannie wielkim głosem woła o pielęgnację. Ileż tu jest pracy! Ale za to w ciepłym lipcowym słońcu można stanąć w środku tego jarzynowego rajy i wdychać do woli zapach kopru, wgryzać się w świeżo wyrwaną z ziemi marchew, soczystą i słodką. Nieco dalej szpaler starych jabłoni. Wystarczyło trochę unieść twarz znad grzędy z pietruszką, żeby stanąć twarzą w twarz z gałęzią obsypaną jabłkami. Białe, prawie dojrzałe papierówki wydzielały niepowtarzalny aromat. Były takie piękne i takie nietrwałe. Spadały później całymi stadami na ziemię, ich ciała pokrywały się brunatnymi plamami. Nikła gwałtownie ich jędrna uroda. W końcu zmieniały się w brązowy, miękki zewłok, który nikogo już nie zachwycał. Z warzywnika przynosiło się codziennie stopy jarzyn do zup i surówek. A później do zapasów na zimę. Pokrojona w talarki marchew i pietruszka, jasnozielone plastry ogórka, fasolka szparagowa - wszystko to miało czekać uspione i zamarznęte, żeby któregoś dnia, przyniesione ze spiżarni gdzieś w grudniu czy styczniu, wybuchnąć na krótką chwilę zapachami lipca i sierpnia.

Wrzesień

Lato cofnęło się nagle i przysiadło na ławce, na kilka dni przed odejściem. Zaskoczyły nas te niespodziewane upały. Wyciągam schowany już na zimę leżak i ustawiam w słońcu. Na klombie wybuchły w kolorowym paroksy-

zmie astry. Powietrze jest nieruchome, wieczorem przesiąka delikatną wonią dymu płynącego z dalekich, niewidzialnych ognisk. Szeroko otwarte drzwi wejściowe... Lekko się ściemnia. Na gałęziach bieleją jesienne jabłka. Między drzewami leży syta, obrzmiała cisza.

Październik

W nocy śnię jakoś nieprzyjemnie, męcząco - uciekam gdzieś, przed jakimś niewidocznym przeciwnikiem. Nogi mam jak z ołowiu, narasta we mnie ogromny strach... i nagle budzę się, prosto w wielką jasność i odgłos dzwonów z naszego kościołka. Mój pokój na poddaszu zalany jest po brzegi słońcem. Jest niedziela. Przeciagam się w pościeli i nagle jakoś tak głupio i bez przyczyny czuję się ogromnie szczęśliwa.

*

Często dyżurowałam z Natalią i wtedy zbliżyłyśmy się do siebie. Był to okres, kiedy ona przeżywała najpełniejszy rozkwit swoich możliwości zawodowych i pełnię rozkwitu kobiecości. Obserwowałam ją z zapartym tchem. Nigdy nie widziałam dziewczyny jednocześnie tak kobiecej i posiadającej tak twarde, rzecz można, męski charakter. Nie stroniła od rzeczy, o których ja bałam się nawet pomyśleć, sięgała ręką po wszystko, nie bacząc na skutki. Podziwiałam jej odwagę. Często opowiadała mi o swoich przeżyciach, po których każda powinna wyjść z nerwicą i zmiętą twarzą. I znów musiałam ze zdumieniem patrzeć na gładką twarz Natalii i błyszczące, wielkie oczy. - Jak ty to robisz? - jęczały dziewczyny z zazdrością. Natalka unosiła brwi do góry i wzruszała ramionami. Później poznałam jej tajemnicę. Na pozór jej ruchy wydawały się precyzyjne i spokojne. Zawsze była czymś zajęta, rzadko

kiedy siedziała beczynn timer w pokoju lekarskim. Interesowała się wszystkim, nigdy nie znużona. Kiedy miałam gorsze dni, nie mogłam sobie poradzić z własnymi problemami i narastającym napięciem psychicznym, starałam się znaleźć w orbicie Natalii. Wiele osób zresztą tak robiło. Jej zewnętrzny spokój promieniował na nas wszystkich.

Na dyżurach, w wolnych od pracy chwilach, często rozmawiałyśmy o swoich sprawach i okazało się, że moja koleżanka żyje w stałym napięciu, które dodaje blasku jej oczom i zabarwia rumieńcem twarz. - A potem przychodzą dni, kiedy nie mam ochoty na nic, kiedy mogłabym przesiadzieć nad ostygłą filiżanką kawy cały dzień ze zwieszoną głową i opadającymi na twarz strakami włosów. Tak mówiła Natalia, ja słuchałam z niedowierzaniem patrząc na ten wulkan energii i doskonale przycięte, lśniące włosy. W kilka miesięcy później namalowałam jej na imiennym portret z opuszczoną głową, opadającymi włosami, nad filiżanką kawy. Patrzyła z niechęcią na swoje odbicie. Nie sądzę, żeby go powiesiła na ścianie, chociaż lubiła moje obrazy. Zresztą wkrótce potem wyjechała do innego miasta.

*

Lipiec

Niesamowity upał. Pacjentów mniej niż zwykle. W moim gabinecie skwar. Okna nie mogę otworzyć, bo kiedy wchodzi pacjent, robi się okropny przeciąg, który zwiewa mi z biurka wszystkie druki i historie chorób. Dzieci wyjątkowo dzisiaj krzyczą przy badaniu. Oblewam się potem, boli mnie głowa i jestem nieludzko zmęczona. To przez ten wczorajszy dyżur! Znowu obiecuję sobie, że to już koniec, jeszcze ten miesiąc i kończę z dyżurami. Z góry wiem, że to nieprawda. Wystarczy, że w połowie miesiąca zabraknie mi pieniędzy. Przypominam sobie wczorajszą

noc - do dwunastej na nogach, a o trzeciej nad ranem pilna tracheotomia na ortopedii (pacjent dwudziestoczteroletni, porażenie czterech kończyn po skoku do wody w stanie nietrzeźwym). Kończymy o czwartej, właśnie wschodzi oślepiająca pomarańczowa kula słońca. Patrząc na twarz tego chłopaka, który może już nigdy nie będzie chodził... Zapowiada się kolejny upalny dzień. Pacjenta zwożą na oddział reanimacji, a my z kolegą wlecemy się wolno do siebie. Nie zasną już do rana. Zrobię sobie kawę i przysnic, który i tak nie przynosi ulgi. Obliczam w myślach, że pieniądze za dyżury powinny wystarczyć na kupno zimowego płaszcza. Przed ósmą idę do poradni. Po drodze mijam tych, którzy idą do pracy na oddziale. Wymieniamy zdawkowe uwagi o pogodzie. Boli mnie głowa. Jestem zmęczona.

Sierpień

Przed południem niewielu pacjentów, dzisiaj jest dzień targowy. Przyzwyczajeni do przyjmowania większych ilości - nie wiemy co ze sobą począć. Z ulicy, przez otwarte okno, wpycha się śmierdzące asfaltem, rozgrzane powietrze. Trwa strajk lekarzy. Na trawniku, przed widocznym z naszych okien sklepem mięsnym, koczuje nieustannie spory tłum ludzi. Upał. Pijemy napar z mięty, herbata już się skończyła. Wszyscy snujemy się jak muchy. Można by było wyskoczyć do sklepu, ale właściwie po co? Jeden w remoncie, a drugi świeci pustkami. Na koczowanie przed mięsnym żadna z nas nie ma ochoty. Wracam myślami do tych pieniędzy za dyżury. Razem z poborami powinno starczyć na palto i buty. Na jedzenie pożyczę od rodziców.

*

Urszula leżała na łóżku pod oknem i była wyraźnie ucieszona, kiedy zajęłam jedyne wolne łóżko, właśnie

obok niej. - Przynajmniej będzie do kogo usta otworzyć - powiedziała. Uśmiechnęłam się z przymusem, nie zależało mi w tej chwili na rozmowie z kimkolwiek. Mój świat zawalił się w ciągu ostatnich dni i nie mogłam dojść do siebie ze zdumienia, jakie kruche w istocie były jego podstawy. Ułożyłam niezbędne rzeczy w szufladach szpitalnej szafki i wyciągnęłam się na łóżku. Tysiące myśli gnieździło się pod czaszką i wymagało jakiego takiego uporządkowania.

- Pani wie - dobiegł mnie szept z sąsiedniego łóżka - ja tu leżę już piąty tydzień, można się przyzwyczać.

- Do wszystkiego można - burknęłam i odwróciłam głowę, zdecydowana nie kontynuować rozmowy. Nie było to jednak takie proste. Mojej sąsiadce nie zamykały się usta. Mówiła chrypliwym głosem, polykając końcówki. Jej oddech czuć było nikotyną. Wyglądała na sześćdziesiąt lat, ale jak się okazało później miała tylko czterdzieści. Zdziwiłam się.

- To nie - powiedziała mrużąc jedno oko - mój kochanek ma czterdzieści, a wygląda na siedemdziesiąt.

- Jak to możliwe? - zapytałam.

- A co, kochaniutka, jak się pali dwie paczki dziennie i flaszkę z kumplami dzień w dzień obciągnie, to jak ma wyglądać? A i nerwy też skołatane, bo bez pracy siedzi. Od pół roku nijakiej roboty nie ma!

- To za co pije? - zapytałam przytomnie.

Machnęła ręką w odpowiedzi. Zamilkła na jakiś czas, chyba urażona, co mi w jakiś sposób odpowiadało. Prawie z ulgą myślałam o zanurzeniu się w szpitalną ciszę, po-brzękującą naczyniami i pachnącą środkami dezynfekującymi. Tyle miałam do przemyślenia...

- Pani wie - zachrypiało spod okna - jak straciłam to oko?

Faktycznie, nawet nie zapytałam. A przecież rozmowa o dolegliwościach i objawach chorobowych należała do swoistego kodeksu towarzyskiego miejsca, gdzie się zna-

lazłam. Odwróciłam niechętnie głowę.

- Rzeczywiście nie wiem - powiedziałam przeprasza-
co, trzeba było mieć to za sobą - ale tyle spraw mam na
głowie, czuję się trochę zagubiona.

- Nie szkodzi - wyrozumiale machnęła ręką - najgorzej
pierwszy raz. Poprawiła się na łóżku, widocznie szykując
się do dłuższego opowiadania. Chcąc nie chcąc zrobiłam
to samo.

- Ten pies, com mu wodę nosiła, siedział tam już kilka
dni, smutny był jakiś i prawie się nie ruszał. Chłopaki z
podwórka już nawet przestały mu dokuczać. Tak miarko-
wałam, że musiał być bardzo chory. Jeść nic nie chciał, to
zem mu wodę w miseczce nosiła. Pił, nie powiem. Tamtego
dnia, środa była, nie, czwartek, dobrze mówię, czwartek,
deszcz padał, wyszłam do niego w samych kapciach i Bóg
mnie chyba za to pokarał, zem tych butów nie włożyła.
Podeszwy śliskie i wyrznęłam głową w krawężnik. Krwią
się kochaniutka zalałam, miska poleciała gdzieś, nawet
jej nie szukałam, tak bolało. A te durne chłopaczyska
śmiały się, że stara upadła, pani kochana, co za naród,
piekła na nich nie ma.

Zamilkła na chwilę. Uniosłam głowę.

- Co było dalej? - zapytałam autentycznie zaciekawio-
na, bo w sumie było to lepsze niż nurzanie się w swoich
niewesołych rozmyślaniach.

- Dalej to polecałam do domu przyłożyć sobie jakiś
okład i zatamować tę krew. Położyłam na to oko zimny
kompres i jeszcze chustką zawiązałam, a potem z powro-
tem na ten parking, bo na mój gust ten pies był w większej
potrzebie niż ja. Zawiązałam go w stary koc, com go z
domu wzięła, nawet się nie sprzeciwił niebożątko. Szczę-
ściem sąsiad, co na taryfie jeździ, w domu był i obiad
akurat jadł. Dobry człowiek - nawet nie musiałam długo
prosić - zawiózł nas do weterynarza. Niedaleko to w sumie
było, ale sama bym nie poradziła. Tam popatrzyli na psa,
posłuchali i mówią - uspić trzeba, nic z niego nie będzie.

Zapalenie płuc, czy co. A mnie wtenczas już całkiem słabo się zrobiło... Weterynarz, ludzki taki był, szklanekę wody podał i wezwał karetkę. Zaraz mnie tu przywieźli. Urszula ponownie popadła w ponure zamyślenie.

- A co z okiem?

- Ano chyba na zmarnowanie - odpowiedziała po dłuższym czasie.

Poczułam nagle piekące łzy pod powiekami. Sama nie wiem, czy był to wynik całodniowego stresu, czy płakałam nad losem Urszuli, czy nad śmiercią tamtego psa.

- Co pani, kochaniutka?! - przeraziła się Urszula - tfu, ten mój jęzor przeklęty, może wody podam, albo siostrę zawołam...

*

Ulica Nadrzeczna ciągnęła się w nieskończoność, rozpoczynając się przy niewielkim ryneczku stanowiącym centrum miasta. Jej asfalt srebrzył się po wielkomiejsku. Po obu stronach liche drewniane domeczki przeplatały się z nowobogackimi willami. Za ostatnim zakrętem ulica układała się prosto, szeroko i wygodnie, żeby nieoczekiwanie przejść w piaszczystą, wiejską dróżkę, która z kolei przeobrażała się bez żadnego wstępu w trawą porośniętą nabrzeża jeziora. W gorące, leniwe, sierpniowe popołudnia wałęsały się po ulicy Nadrzecznej bezpańskie kundle. Na krawężniku wąskiego chodnika drzemał staruszek z długą siwą brodą, wystawiając blade, upstrzone starczyimi przebarwieniami plecy do słońca. Spotkałam tam któregoś takiego popołudnia, kiedy zdarzają się rzeczy dziwne i niepojęte, tę dziewczynkę z białym szczurem na ramieniu. Początkowo niezauważony przeze mnie wychynał nagle z gęstwiny jej włosów. Wzdrygnęłam się ze strachu. Dziewczynka przełożyła go na drugie ramię. Paznokcie miała niezbyt czyste i poogryzane. Trzynaście,

lub czternaście lat - kiedy dziecko mocuje się z pierwszymi objawami kobiecy. Taksowała uważnie mój ubiór. Sły-
śmy obok siebie w milczeniu. Widocznie zyskałam apro-
batę w jej oczach, bo w pewnej chwili zapytała, czy chcę
potrzymać Florka. Spoglądał na mnie bystrzymi oczkami,
różowy pyszczyk był w nieustannym ruchu. I już nie
wydawał się taki obrzydliwy.

*

Mam za sobą ciężki dzień. Oddział do ostatniego miej-
sca założono nowo przyjętymi pacjentami. Do południa
zbierałam wywiady, pisałam obserwacje, ustalałam zle-
cenia na swoich salach. Potem schodzę do poradni. Przed
gabinetem spory tłum. Przeważnie te same twarze. Po
piętnastej wychodzę na ulicę. Oczywiście z bólem głowy.
Wtapiam się w tłum przechodniów. W sklepach kolejki,
szkoda mi na nie czasu, więc znowu usmażę sobie jajka.
Jeszcze tylko dwa piętra śmierdzącej klatki schodowej i
jestem u siebie. Nie mam ochoty nikogo widzieć i z nikim
rozmawiać.

Później...

Jestem zbyt zmęczona, żeby odpocząć. Pod powiekami
przesuwają się natrętnie obrazy, urywki zdań, fragmenty
rozmów prowadzonych na oddziale. Usiłuję sobie przypo-
mnąć, czy wpisałam wszystkie zlecenia. Pamiętam, że na
początku mojej pracy, targana niepewnością - wpisałam
czy nie - potrafiłam lecieć wieczorową porą na oddział, żeby
sprawdzić. Po prawej głuchy sąsiad z uporem słucha radia.

Jeszcze później...

Kiedy już zasypiałam, wpadła sąsiadka żeby zmierzyć
ciśnienie - bo w rejonie kolejki. Głowa ją boli od kilku dni.

Staram się zbagatelizować objawy i mówię, że pewnie od fatalnej pogody, bo ciśnienie ma dobre. Ale patrzy na mnie z wyższością - niby doktor, a nie wie. I robi mi cały wykład o przyczynach bólów głowy. Na deser dokłada ostatnie wiadomości z Kliniki Zdrowego Człowieka. Tym razem mnie zaczyna boleć gdzieś w okolicy skroni. Tymczasem ona bagatelizuje - ot, poleży pani doktor chwilkę, to przejdzie - mówi łaskawie. Niestety nie zamierza jeszcze wyjść. Ma całą listę leków do wypisania.

Dużo później...

Ta sama sąsiadka. Tym razem wnuczek włożył fasolę do nosa. I to dosyć głęboko. Boję się manewrować bez narzędzi. Odsyłam ją na oddział do szpitala dyżurującego. Po sposobie zamknięcia drzwi wnioskuję, że nie jest zadowolona z takiego obrotu sprawy.

*

Iwone Śmielak

Magdalena istniała w moim życiu od wielu lat. Widywałyśmy się sporadycznie, ale świadomość, że jest, podnosiła mnie na duchu. Była typem organizatorki i animatorki. Potrafiła przeprowadzić najbardziej karkołomne przedsięwzięcia wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi i licznym przeciwnościom. Przeważnie z dobrym rezultatem. Nosiła się oryginalnie i niezgodnie z modą. Sama ją kreowała, dla własnych potrzeb, a może z przekory. Wszystkiego było w niej w nadmiarze: ciała, energii, żywotności. Towarzystwo, w którym się znienacka zjawiała energicznie otwierając drzwi, momentalnie ożywiało się.

Jak wszyscy miewała swoje złe dni, depresje, frustracje. Zamykała się wtedy w domu i gotowała dużo dobrych rzeczy do jedzenia. Wpadałam często do gmachu, gdzie na

trzecim piętrze miała pokój czy też gabinet. Siedziała tam, nie mając co począć ze swoją energią. Wokół panował coraz większy nieład, na stoliku piętrzyły się niepotrzebne ołówki, zapisane do połowy kartki z nieaktualnymi numerami telefonów. Siadam na wytartym fotelu, a ona wstaje ciężko, żeby zrobić mi kawę. Wokół płaczą się ludzie, co chwila ktoś puka do pokoju. Jakieś obce twarze z przyklepioną etykietką - jest interes do zrobienia. Kiedy więc moja przyjaciółka jest zajęta parzeniem kawy, ja siadam na jej miejscu za biurkiem i otwieram po kolei szuflady. Wieje z nich kurzem, pełne są papierów - wspomnień po niegdyśszych imprezach, spotkaniach, dyskusjach. Ktoś puka do drzwi. - Broń palna piętro wyżej - mówi nie odwracając głowy Magdalena.

*

Paweł był niewielki, chudy, z pokaźną łysiną i nie było w nim żadnego szczegółu, który można by podziwiać. Nawet wzrok miał starannie schowany za okularami. A poza tym nie należał do tego typu mężczyzn, którym kobiety zaglądały w oczy. Nie Henryka w każdym razie.

Ona traktowała go jak stary, domowy ciuch, nie bardzo nadający się do wyjścia, niezbędny jednak w zimowy, chłodny dzień. W pozostałe - słoneczne, ta część garderoby stawała się zbyteczna i wegetowała niewidzialna gdzieś za oparciem starego fotela czy też zalegając dno szafy. Biada jednak, kiedy Henryka, wracając ze swoich eskapad, nie zastawała jej na właściwym miejscu. Robiła się wtedy kolosalna wręcz awantura. Stary sweter czy szal, urastał do miary rzeczy niezbędnej i koniecznej.

Tak też się miała sprawa z Pawłem - zaniedbany całymi tygodniami, musiał być na miejscu i pod ręką. I było źle, jeśli zapodział się gdzieś w czytelni, czy w ogonku. Trzeba wspomnieć w tym miejscu, że cichą namiętnością

Pawła było spędzanie długich godzin w bibliotece, której kojąca cisza, jakieś uporządkowane milczenie i zdyscyplinowana atmosfera poprawiały mu samopoczucie. Była to instytucja bezpłatna, co było również niebagatelną sprawą. Bowiem Henryka nie pozostawiała mu zbyt wielkiej swobody finansowej, co rzecz jasna hamowało znacznie rozwój jakichkolwiek zainteresowań. Paweł wzdychał przeglądając stare roczniki, wchłaniał z nich, oprócz kurzu, zapach tamtych czasów, zdarzeń, przypominał młodość i wiek męski. Potem, już w domu - o ile akurat nie musiał gotować obiadu - idąc na fali tych wspomnień przeglądał nieliczne, ocalałe fotografie. I wzdychał. Ot, chociażby to zdjęcie, gdzie go dekorują. Albo tamto - pochodź pierwszomajowy, on na trybunie w otoczeniu towarzyszy. Swoją drogą jaki był z niego kawał chłopca! A tamto - czyn partyjny. Sadzili wtedy jakieś drzewka, a potem była niezła popijawa. Wzdycha Paweł, a zupa przypala się w garnku. No, niechby teraz Henryka weszła do domu. Na jej wspomnienie kurczy się starszy pan w sobie.

Chociaż nie powinien narzekać, gdyż w jego przypadku śmiało można powiedzieć - sam sobie zgotował taki los. Skusiło go wielkie ciało Henryki i jej domniemane pieniądze. On, szeregowy działacz z niewielką emeryturką, wdowiec. Dzieci porozjeżdżały się po świecie. Myślał, że uściele sobie wygodne gniazdko przy tej energicznej kobiecie. Nie przypuszczał tylko, że to wielkie ciało okaże się dlań za wielkie, że go przytłoczy, zmiążdży i w końcu podetnie skrzydła.

A pieniądze? Cóż, pewnie były, ale nie dla niego. Wszystko bowiem, co zarobiła Henryka, dostawał ten jej nieudacznik synalek. Chuchro, wiecznie niedomyte, wiecznie głodne i jak przypuszczał Paweł - konspiracyjne. Kątem oka widział czasami jakieś gazetki, ulotki. Faj! Paweł skrzywił się z obrzydzenia. Wyhodowaliśmy źmije na własnym łonie - myśli o synalku i jemu podobnych. Potem postępując wstaje i idzie do kuchni. Cholera! Zupa się

przypaliła. Nieszczęście gotowe, zwłaszcza, że w drzwiach wejściowych chrobocze klucz. - Cóż to za smród - piekli się Henryka, zirytowana i zmęczona. Wchodzi z impetem do pokoju i rzuca torebkę na fotel, zdejmuje z ulgą pantofle z obolałych nóg - co za rozkosz! Ale za chwilę oblewa ją fala irytacji - przecież tylko miał odgrzać zrobioną przez nią wczoraj zupę. - Co za niezguła, co za dureń - wymyśla pod nosem - i po co mi to było na stare lata? Wyobrażała sobie, że będzie jej podporą i prawą ręką w interesie, wyglądał przecież na obrotnego. A jak się chwalił znajomościami! Opowiadał chętnie, ileż to on różnych spraw ludziom pomógł załatwić. Może zbyt chętnie. Już to powinno dać jej do myślenia. Ale cóż, dała się Henryka omamić, wpadła w misternie utkaną sieć pochlebstw. Ugrzęzła w słodkich słówkach. Uśmiechnęła się do siebie zgryźliwie, że jednak nie do końca. Szybko zorientowała się w realnych możliwościach Pawła i zawiodła się srodze. - Trzydaniowych obiadków nie będzie - oznajmiła któregoś dnia krótko. Jest kobietą interesu i ma swoją pracę. Tym samym dała do zrozumienia, że miesiąc miodowy uległ zakończeniu i nastanie szara rzeczywistość. Paweł aż wzdrygnął się na wspomnienie. Ciepła, duża kobieta z talentem kulinarnym przestała istnieć, wizja przytulnego gniazdka uległa zniszczeniu. Od tej chwili pozostała władca jejmość, która całymi dniami przebywała poza domem, a która wkraczając wieczorową porą w pielesze, gromkim głosem domagała się obiadu. Krociowe zyski, jakie przynosił tak zwany interes, też omijały Pawła. Część z nich topiła w tym nieudaczniku, a część w jakichś inwestycjach, o których nie zamierzała go informować. Co jasno i dobitnie dała kiedyś do zrozumienia. - Tak oto rozwiewają się wszelkie iluzje - pomyśleli oboje patrząc na siebie. On - widząc jak siedzi rozwalona w fotelu z tym swoim ironicznym grymasem na ustach. Ona - widząc jak szura filcowymi kapciami, wnosząc do pokoju drugie danie, bo pierwsze - fujara - przypalił. Siedzą naprzeciwko

siebie, każde otoczone wrogimi myślami jak chmurą. Ona дума, ile ją ten fajtłapa kosztuje; ten darmożjad, który niczego nie umie załatwić, nie licząc, ile nerwów jej zszarpał. On ubolewa po raz któryś z kolei, że porzucił samotny żywot na rzecz trzydaniowych obiadów, a raczej ich wizji. Oboje patrzą na siebie z żalem i złością.

*

24 grudzień. Wigilia.

Tego dnia nawet moi podopieczni w zakładzie poprawczym, gdzie mam godziny, są mniej uciążliwi niż zwykle. Myśli ich są zaprzątnięte przygotowywaną przez kucharki wieczerzą wigilijną, której zapowiedź w postaci smakowitych zapachów snuje się po wypastowanych korytarzach. Robimy z pielęgniarką szybki obchód po oddziałach. Nikt na szczęście nie zgłaszał większych dolegliwości. Żadnych "połyków" i samookaleczeń. Raport tego dnia jest krótki. Izba chorych świeci pustkami. Cały personel, oprócz oczywiście tych, którzy mają dyżur, chce jak najszybciej znaleźć się w domu. Na dworze jest niesamowicie zimno. Na szczęście nadjeżdża autobus. W centrum złapię taksówkę. Niestety, na postoju jest sporo ludzi. Nagle na początku kolejki pojawia się nie wiadomo skąd mocno podpity jegomość i bełkocze w naszym kierunku, że właśnie spieszy się do domu na Wigilię. Ponieważ jest w otoczeniu jeszcze kilku kolegów w takim samym stanie - nikt nie ośmiela się zaprotestować. Ustawiają się bezczelnie na początku i całe towarzystwo chwiejąc się na nogach zaczyna głośno opowiadać sobie szczegóły z ostatniej libacji, przeplatając je głośnymi przekleństwami. Ludzie mamroczą coś do siebie, ale cicho. Jestem głodna i zziębnięta. Chce mi się płakać z bezsilnej złości, a w duszy zalegają uczucia dalekie od wzniosłych.

*

Maria pisze. Siedzę naprzeciwko i obserwuję ją spod oka. Widzę jak usiłuje przełamać niewidzialną barierę strachu przed słowem napisanym. Wygrzebuje z pamięci inne Marie. Tamtą ze szpitala, bladą i jeszcze niezbyt przytomną po narkozie. Moje nieudolne próby dodania jej otuchy. Potem tę Marię prowadzącą dom - ogłupiałą od jednostajnej codzienności, upokorzoną kolejkami, a mimo to niepokorną. Zaciskając pięści przeciwko ludzkiej głupocie. I te nasze niekończące się rozmowy, które nie zmieniały porządku świata. Ostatnie wcielenie Marii najbardziej mi się podoba - pełna temperamentu, szalonych pomysłów, organizująca imprezy, na które potem wciska mi zaproszenia. - Masz przyjść - mówi groźnie. Otrząsam się z melancholii i przychodzę. Niezawodna Maria, ratująca mnie z wielu opresji. Obserwuję ją spod oka. Chowa twarz za okularami.

*

To była ta dziewczyna - siostra najbardziej nielubianego przez nią chłopaka w klasie, brzydkiego i rudego. Targał ją boleśnie za warkocze i wtedy widziała w jego oczach złą, mściwą radość. Prześladował ją zresztą nie tylko na przerwach, ale w każdym dostępnym miejscu, wzbudzając śmiech męskiej części klasy. Nienawidziła go.

Kiedy przechodził - dziewczynki, poszturchując się znacząco w bok, szeptały o jego siostrze. Robił się czerwony jak burak. Siostra miała na imię Paulina - rzadkie i niespotykane imię jak na tak małe miasteczko. Już samo to stawiało ją w rzędzie osób niezwykłych. I jeszcze to szeptanie po kątach, te plotki... Nawet nie usiłowała dowiedzieć się, o co chodzi. Niejasny, cierpki i podniecający smak tej tajemnicy wystarczał, żeby ją smakować jak

cukierek - ostrożnie, nie nagryzając wnętrza.

To była na pewno ta dziewczyna. Siedziała naprzeciwko niej, w autobusie. Patrzyła przez okno ciemnymi oczami, nie zwracając uwagi na otoczenie. Zagapiła się na nią. Z zazdrością oglądała każdy szczegół garderoby - porzucaną na kolanach torebkę, niedbale ułożone fałdy spódnicy. Takiej spódnicy! Popatrzyła z niechęcią na własne kolana obciążone zwykłymi bawełnianymi pończochami w prążki. Okropność. Starła się schować jak najdalej pod ławkę nogi w zbyt dużych bucikach. Pomyślała nagle o małej, ciasnej dzielnicy, drewnianych domkach, szarej rzeczywistości, która skazuje ją na noszenie tych strasznych pończoch i butów. Poczowała jak wilgotnieją jej dłonie, pewnie zostawią ślad na świeżo obłożonych w lśniący papier nutach. Niech tam - pomyślała z determinacją - niech tam. Jakże nieważna, śmieszna i nic nie warta wydała się jej ta mała egzystencja - pracowicie zbierane fotosy gwiazd, pamiątniki z zasuszonymi kwiatkami, lekcje gry u starej panny Bronisławy, która miała meszek nad górną wargą i humory. Pelargonie na parapecie okiennym i kurz. Jakże nieważne wydało się to wobec tej niedbale ułożonej spódnicy. Ciemne oczy dziewczyny przesunęły się po niej obojętnie.

Tego dnia grała gorzej niż zwykle, a włoski nad górną wargą panny Broni były bardziej widoczne. Chciała jak najszybciej skończyć i wyjść, wybiec gdzieś poza zakurzone ulice, na łąki i dalej, nad rzekę.

*

Marzec

Wszystko zieleni się nie bacząc na temperaturę poniżej zera w nocy. W poradni walczę sama z tłumem pacjentów. Poczekalnia przepelniona ludźmi i ciężkim zapachem nie-

wietrzonego pomieszczenia. Pielęgniarka wnosi stos nowych skierowań. Zastanawiam się, ilu pacjentów dzisiaj przyjął i według moich obliczeń wychodzi, że około sześćdziesięciu. Sama się dziwię, że mój mózg jeszcze dosyć sprawnie działa. Dochodzi trzecia. Zdobywam się na bohaterstwo i postanawiam odesłać do innej poradni mniej cierpiących, a innych umówić na następny dzień. Oczywiście towarzyszą temu pogrozki, złorzeczenia nawet ze strony tych, którzy przyszli tylko powtórzyć leki. Niektórzy obiecują napisać skargę, że co to za lekarz, który ośmiela się o trzeciej kończyć pracę, kiedy jeszcze ludzie siedzą na korytarzu. Fakt, że ja też chciałabym odpocząć i że moje godziny pracy już się skończyły, zdaje się obchodzić tylko mnie. Pielęgniarka ucieka do zabiegowego. A mnie już jest wszystko jedno - wczorajszy dyżur nie był najłżejszy, szumi mi w uszach ze zmęczenia, a to, że jeszcze funkcjonuję, zawdzięczam nadmiernym ilościom kawy.

*

Jeden z tych dni, kiedy załatwiam sto tysięcy swoich i nie swoich spraw. Dzwonię i do mnie dzwonią. Pod gabinetem ciągle pacjenci. Podpisuję kolejne zwolnienie. Wpada Maria. Przypominam sobie, że miałam pomóc umieścić jej siostrę na zaprzyjaźnionym oddziale. Mam wyrzuty sumienia, że do tej pory tego nie załatwiłam, gdyż Maria jest osobą, której wiele zawdzięczam. Szukam właśnie numeru telefonu, kiedy w drzwiach staje ordynator tegoż oddziału. Lepiej nie mogło się złożyć! Chociaż jest to człowiek łagodny i miły, dostaję wypieków i usiłuję zorganizować herbatę w naszym ciasnym pokoju socjalnym. Rozmawiamy chwilę o sprawach bieżących, a potem przedstawiam Marię i jej problem. W sumie wizyta udaje

się i wszystkie strony są zadowolone. Zbliża się pierwsza i tłum pod drzwiami trochę się przerzedza. Postanawiam zrobić sobie dzisiaj jakąś przyjemność i wydać resztę pieniędzy. Dostajemy ostatnio tak śmieszne sumy, które nie wystarczają na kupienie jednej porządnej, większej sztuki garderoby, zatem wydaję je zupełnie beztrzesko. Około piątego zostaję przeważnie bez grosza. Staram się wtedy nie zbaczyć z drogi prowadzącej do przystanku autobusowego, żeby nie ulegać pokusom.

*

Las odgrywał w moim życiu zawsze wielką rolę, jego dwa ramiona, które obejmowały naszą dzielnicę, skutecznie chroniły i separowały od smrodliwego oddechu miasta. Zielona ściana, która wraz z gęstniejącym mrokiem robiła się coraz bardziej ciemna, napawała mnie w dzieciństwie strachem. Bałam się spojrzeć wieczorem w jego stronę. Ale wiedziałam, że on patrzy na mnie. Mama znała mój lęk i rozumiała go. Często brała mnie za rękę i zwracając się w stronę najbardziej ciemnych i wysokich drzew mówiła - patrz i nie bój się, one ci nic nie zrobią. Ja posłusznie podnosiłam wzrok, a serce biło mi jak oszalałe.

Te lęki minęły z czasem. Las był mi coraz bardziej przyjacielem, powiernikiem, modelem. Ale też i tyranem, który mieszał się w moje życie uczuciowe i towarzyskie.

*

- Wyjdź za mnie za mąż - powiedział Lesio nagle. Patrzył przy tym na mnie badawczo. Na szczęście przy stole panował taki gwar, że nikt na pewno nie słyszał naszej rozmowy. Lesio - główna gwiazda dzisiejszego przyjęcia - pisarz, podróżnik, po latach przebywania za granicą odwiedził rodzinne miasteczko. No cóż, mają pra-

wo trzymać się go żarty - pomyślałam. Na wszelki wypadek posłałam mu promienny uśmiech zamiast odpowiedzi - niech sobie myśli, co chce. Jeszcze raz spojrzałam w jego kierunku, ale już był zajęty kim innym. Kiedyś podobno podkochiwał się we mnie, tak przynajmniej mówiła Ewa, gospodyni przyjęcia, której jakoby się zwierzał. Trochę mnie zdziwiło, że akurat jej, nie mnie - nie należał przecież do nieśmiałych. Zresztą nieważne. Musiałam prze-rwać swój monolog, bowiem usłyszałam głos Lesia, który opowiadał jakieś fragmenty swoich przygód i trzeba przyznać, że robił to zajmująco. Uświadomiłam sobie nagle szarość mojej egzystencji w zetknięciu z jego barwną biografią. Aktorka prowincjonalna - jak to banalnie brzmi, kilka ról w miejscowym teatrze, próby napisania sztuki dla kółka teatralnego lokalnego liceum, pokój w starej kamienicy. Niewiele tego było. Spojrzałam znowu na mojego kolegę - był przystojny, czas wyraźnie działał na jego korzyść. Zaraz też wróciłam do swoich rozważań. Cóż, właściwie ja lubiłam swoje bytowanie, to małe miasto, stary rynek, nawet okropnego starszego pana z przeci-wka. I pajaca z gałganów, który przeżył ze mną szmat życia i z którym prowadziłam długie dyskusje. Przywią-zywałam się łatwo do rzeczy martwych, gdyż one rzadko kiedy mnie zawodziły, w przeciwieństwie do ludzi.

Przyjazd Lesia i propozycja dzisiejszego przyjęcia na jego cześć naruszyła plan mojego popołudnia i zburzyła jego porządek. Miałam do rozwiązania zawiłą kwestię erotyczną pomiędzy bohaterami mojej sztuki. Przymie-rzałam się do kilku posunięć, układałam w myślach kwe-stie, nawet przyłapałam się na tym, że mówię do siebie. - Powtarza pani rolę - ni to potwierdziła, ni to zapytała sąsiadka, którą spotkałam na półpiętrze mojej kamienicy. Uśmiechnęła się do mnie życzliwie. Byłam tu lubiana.

Naprawdę nie miałam ochoty na tę imprezę. Poza tym Lesio był niepokojąco przystojny. Odprowadził mnie do domu przez rynecek, na którym paliły się latarnie. Za-

trzymał mnie w kręgu światła jednej z nich i powiedział: Ela, ja nie żartowałem, pytałem poważnie. Wyjdiesz za mnie za męża? Odskokczyłam oburzona i wściekła. Ale nie pozwolił mi dojść do słowa.

- Nic nie mów, ja wiem, pewnie jesteś zaskoczona, sam nie umiem tego wytłumaczyć, ale kiedy cię ujrzałem, to było tak, jak gdyby nie minęło tych kilkanaście lat. Przecież zawsze byłem w tobie zakochany. Teraz dopiero poczułem, że jestem na właściwym miejscu - bo ty tu jesteś.

Wzruszyłam ramionami, co za kiczowata historia, nawet nie miałam ochoty go pytać, dlaczego niby kochając mnie cały czas nie pisał ani nie był zainteresowany moją osobą. Odwróciłam się na pięcie i poszłam w stronę mojej kamienicy. Dobrze, że chociaż była to najładniejsza budowla na tej ulicy. Kiedy wyjmowałam klucz z torebki, poczułam na ramieniu rękę Lesia.

- Ela, ja mówię poważnie. Przez tych kilkanaście lat tkwiłaś we mnie. Nie pozwolę ci odejść. Może dlatego wróciłem.

Wyrwałam się energicznie, doprawdy za wiele jak na jeden wieczór.

- Lesiu, pożegnajmy się, bo zaczynam już tracić cierpliwość - powiedziałam chłodno.

- A może zaprosisz mnie na górę? - zapytał. Wydawało mi się, że widzę w jego oczach kpinę. Trzasnęłam mu drzwiami przed nosem.

Prawie za ulgą ogarnęłam wzrokiem brzydotę pokoju. Stosy czasopism, przeczytanych, a właściwie zaczytanych na śmierć książek, zniszczona narzuta na łóżku. Ale to było przynajmniej znajome i bliskie, działało kojąco jak ciepła kąpiel. Wyciągnęłam się na tapczanie zrzucając pantofle. - Ten Lesio musi mieć szalone powodzenie u kobiet, znakomicie mu z opalenizną, no i świetnie opowiada - myślałam leniwie. Nagle perypetie moich scenicznych bohaterów wydały się być mdłe i bezbarwne. Postanowiłam zacząć sztukę od początku.

Minęło kilkanaście dni, które były niezmiernie pracowite. Próby, telefony, zakupy, wieczorami ślęczała nad sztuką. Główny bohater zaczynał niebezpiecznie przypominać Lesia. Nie wzbraniała się przed tym, wcielając się w rolę kobiety. Oczywiście finał będzie tragiczny, ona pozostaje samotna, on wyjeżdża w świat, gdzie czekają go inne kobiety, nowe przygody. Jej pozostaje nuda miasteczka, plotki, które zatrują życie, może próba samobójstwa. Zdawała sobie sprawę, że jest to dość banalne, ale w końcu - samo życie, ludzie uwielbiają takie kawałki.

Zastanawiała się nad zmianą zakończenia na bardziej optymistyczne, chociaż czy to mogło się dobrze skończyć? Na pewno nie z takim mężczyzną jak Lesio. Przeszył ją dreszcz zgrozy, nie chciałaby się znaleźć na miejscu swojej bohaterki. Jeszcze kawa, papieros. Musi dzisiaj to skończyć.

Parząc mocny, brązowy płyn popatrzyła w lustro. - Starzejesz się moja miła. Tylko te włosy. Potrząsa rudą burzą. Jest na co popatrzeć. Cała reszta - zbyt blada, zbyt anemiczna. Trzeba amatora na taką wypłowiałą akwarelę. Odwróciła się z niechęcią. Dzwonek do drzwi. Psiakrew - zaklęła otulając się szczelniej szlafrokiem - kto to może być? Otworzyła - najpierw wpadła jej w ręce ogromna wiązanka kwiatów, za którą już tylko domyśliła się Lesia.

- Wiem - mówi uprzedzając jej wymówki - wiem, że jest późno, ale miałem sto tysięcy spraw do załatwienia. Czy w przyszłym tygodniu będziesz miała chwilę czasu? I nie czekając na jej odpowiedź mówi dalej. - Chcę żebyśmy wzięli ślub właśnie w następnym tygodniu, bo za dziesięć dni muszę być w Paryżu, przy okazji zrobimy sobie podróż poślubną. Co ty na to?

Elżbieta oparła się o framugę drzwi, chociaż właściwie miała ochotę osunąć się na podłogę. Nawet własny pokój wydawał się jej nierzeczywisty. - Jak zła dekoracja do jeszcze marniejszej sztuki - przepłynęło jej przez głowę. Tylko ten człowiek przed nią. Taki pełen energii, zadowolony z siebie.

- Coś taka blada? Nie wiedziałem, że robię takie wrażenie na kobietach - dorzuca mrużąc oczy z wyraźną kpina.

- Wyjdź stąd - mówi spokojnie Elżbieta - mam dużo pracy.

Zamyka za nim drzwi. I nagle ma wrażenie, że to był sen. Po prostu zasnęła nad swoją sztuką. Tylko ten pęk kwiatów. Co on powiedział wychodząc? Ach, tak. Zapytał, jak można mieszkać w tak okropnym pokoju.

Zapaliła papierosa. Zaraz dojdzie do siebie. To prawda, że przez chwilę miała ochotę opuścić ten pokój, to życie razem z Lesiem. Ale to był moment. Chociaż z drugiej strony... okresowo jakaś lepsza rola, pisanie sztuk dla kółka, kawałek mięsa u rzeźnika, który jest jej wielbicielem. I to już naprawdę wszystko!

- Pewnie, że wszystko - skrzywił się pajac z urwaną nogą. - Ale przynajmniej to jest pewne. Nie jesteś stworzona do ryzyka... A co, może pokój przestał ci się podobać?! To go odmaluj, kup ładniejsze meble, zamiast wykupywać fatałaszkę. Kogo chcesz oczarować, swego rzeźnika?

- Dobrze już, dobrze, masz rację - odpowiedziała. Ale nie poczuła się lepiej. Zaczęła się zastanawiać nad tym, że jeśli Lesio mówi poważnie, to może warto zaryzykować, przynajmniej Paryż. Potem... potem i tak się źle skończy. Ale Paryż...

- Nie podejrzewałem cię o takie wyrachowanie - mruczy pajac.

- Zrozum, to nie jest wyrachowanie - zaczęła usprawiedliwiać własne sumienie - czy ty wiesz, co dla mnie znaczy zobaczyć to miasto? Przecież inaczej nigdy tam nie pojedę. A Lesio? No cóż, jest taki przystojny, interesujący, nie wierzysz chyba, że zapragnął prowincjonalnej aktoreczki. A jeśli chwilowo ma kaprys i chce się ze mną ożenić, dobrze, przynajmniej to wykorzystam.

- Rób jak uważasz - odburknął pajac wyraźnie obrażony.

- Taki jesteś zawsze przemądrzały, więc poradź, co

mam robić?! - zawołała w jego stronę, ale milczał z ironicznym grymasem na twarzy.

- A właśnie pojedę do Paryża - przysięgała sobie.

Potem już wszystko potoczyło się bez jej udziału. Lesio świetnie wszystko zorganizował, przyjęcie, ślub, bilety już były kupione. A ona uśmiechając się łagodnie przyjmowała gratulacje od koleżanek. Nie opuszczała jej ani na chwilę świadomość, że zaraz opadnie kurtyna, rozlegną się oklaski. Koniec spektaklu... Raz tylko omal nie wypadła z roli, kiedy w recepcji paryskiego hotelu Lesio po załatwieniu formalności powiedział, patrząc na nią swoją nową twarzą, którą u niego z pewnym zdziwieniem odkryła: Ela, jak ja mogłem przeżyć bez ciebie tyle lat? Wtedy, raz tylko, poczuła się bezgranicznie szczęśliwa.

A potem nastąpił powrót do znajomej brzydoty miasteczka. - Teraz zaczną się problemy - pomyślała Ela - nie wytrzyma tej vegetacji. Ale Lesio zabrał się energicznie do pracy - remontował mieszkanie odziedziczone po matce, założył spółkę, która z miejsca zaczęła dobrze prosperować; przyjeżdżający co dwa tygodnie francuski wspólnik był zadowolony. Po tym wszystkim jej mąż zaczął spisywać wspomnienia z podróży, które budziły sensację w miejscowej gazecie. Czekwała z dnia na dzień, kiedy powie jej o wyjeździe... ale nic takiego nie następowało, wydało się, że Lesio zasmakował w życiu tego miasta.

Kiedyś napomknął coś o dziecku, ale Elżbieta ucięła krótko, że w jej wieku to już nie wypada.

- Zresztą wiesz, co znaczy być ojcem - dodała perfidnie (Lesio miał syna z poprzedniego małżeństwa).

- Dobrze - zgodził się potulnie i przytulił ją do siebie. -Będiesz więc również moim dzieckiem.

- Nie, to niemożliwe, to niesamowite - gorączkowała się Elżbieta - to przecież nie może tak trwać, musi mieć jakieś zakończenie.

Ale To trwało. Co gorsza zamiast ją cieszyć, doprowadzało do szaleństwa. Zaczęła często przebywać poza do-

mem, wynajdując sobie dodatkowe zajęcia w mieście. Liczyła, że jeśli nastąpi krach, łatwiej to przyjmie między ludźmi. Prawie z niecierpliwością czekała na anonimowy telefon. - Czy pani wie, że mąż pani... W zaprzyjaźnionym towarzystwie zaczęła bywać młoda, przystojna lekarka. Ale nic się nie działo. Lesio wydawał się być zainteresowany tylko swoją żoną.

- Czy ty się nie nudzisz? - zapytała go kiedyś przy kolacji. Podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Ależ Elu, tak rzadko się widzimy, a poza tym, czy z tobą można się nudzić?

- Coś się za tym kryje - kombinowała - to się musi źle skończyć.

Któregoś dnia spotkała Tadzia, ucieszył się.

- Dobrze, że cię widzę Elka. Organizuję zespół, wyjeżdżamy pojutrze do Warszawy. Możesz tam mieszkać w mieszkaniu mojej ciotki. Potem jedziemy z objazdem. No co, odpowiada?

Wydawało się, że los sam podsunął jej rozwiązanie. Zostawiła na stole kartkę: "Już nigdy mnie nie szukaj. Dziękuję za Paryż".

Pół roku później, już w Warszawie, odwiedziła ją Ewka, do której dopiero teraz napisała. Podobno Lesio szalał, szukał jej wszędzie, później zaczął pić, kręciły się wokół niego jakieś kobiety. Mówiono, że wpadł w podejrzanę towarzystwo. Słuchając tego Elżbieta patrzyła przez okno.

- Mówiłam przecież, że to się nie może dobrze skończyć - powiedziała ni to do siebie, ni do Ewy.

*

Kiedy oglądam się wstecz, wydarzenia, im bliżej choryzontu, piętrzą się, kumulują: Ale przecież wiadomo, że bywały dni, nawet całe kwartały życia, uśpione i jakieś

nieistotne. Budzące teraz niesmak i poczucie straconego czasu. Co się wtedy robiło i myślało? Z jakimi ludźmi było? I jakie nieprzyjemne zegary liczyły mi wtedy czas...

*

Stanowczo za mało nad sobą pracuję - biczowałam się w myślach, starając się nie otwierać oczu. Nie zrobiłam nic, żeby jakoś zmienić moje życie, poddawałam się biernie temu, co przynosił los. Rano praca, po południu z siatkami do domu. Okropność! Zaciśnęłam mocniej powieki. Jednak rzeczywistość powoli i nieustępliwie wtłaczała się do mego umysłu: znajome dźwięki w rurach, wrzask dzieci za oknem. Obok w łóżku poruszyło się jakieś ciało. Rozpaczliwie usiłowałam wrócić do przerwanej wątku. Na nic. Otworzyłam z determinacją oczy i natknęłam się na to samo uprzykrzone wnętrze, które kiedyś było szczytem moich marzeń. Niewielka kawalerka w centrum miasta. Patrzyłam na stłoczone sprzęty, których przybywało, zakurzone firanki, wypłowiwały dywan. Pamiętam, z jakim zapałem rzuciłam się na to mieszkanie, jak je meblowałam za nędzną pensję i jak głupio cieszyłam się z każdego drobiazgu. Zachichotałam niedobrym śmiechem. Twarz na poduszce uniosła się i ze zdziwieniem zapytała: Oszalałaś? - Tak, oszalałam, ale nie w tej chwili. Postradałam rozum dużo wcześniej wychodząc za ciebie, kotku - odpowiedziałam mu w myślach. Zachciało mi się ogniska domowego.

Kiedy go poznałam, zresztą banalnie, bo na imieninach u koleżanki, wydawało się, że przyszedł czas, żebym i ja odegrała swoją wielką rolę. Czułam na sobie spojrzenia tysięcy widzów, słyszałam nieomal zachęcające oklaski. Ale z upływem kilku miesięcy już wiedziałam na pewno - ta rola mi nie leży. Coś jest nie tak. Gesty, które tysiąc razy widziałam na filmach, słowa, które powinny przy-

nieść zamierzony efekt, rozłaziły się jakoś, bezbarwne i puste. A mnie w końcu zaczęło ogarniać uczucie jakiejś strasznej beznadziejności i szalona chęć zejścia ze sceny. Zesłam, owszem. Z roli kochanki do roli małej żoneczki, kapłanki domowego ogniska. Od pierwszego poranka, kiedy zobaczyłam, jak po moim mieszkaniu snuje się zadomowiony, obcy facet, rozrzucając bez skrępowania różne części garderoby, od tego właśnie poranka poczułam wielką narastającą niechęć do takiego życia, które zresztą sama sobie dałam wcisnąć w rękę.

Najgorsze było to, że nic nie można było zmienić od razu, tak jak się zmienia kolor włosów lub niemodną część garderoby. A jeszcze gorsze było to, że nic nie zmieniłam. Codziennie rano oglądałam świt przez zakurzone firanki i robiłam sobie obietnice. Obok mnie poruszył się on. Znów zalała mnie fala beznadziei i smutku. Obok łóżka, w popielniczce, śmierzdziały niedopałki papierosów. Zadziwiająco, że na samym początku mnie to nie drażniło - pomyślałam ospale.

Gdyby jeszcze chodziło tylko o takie drobiazgi! Oprócz tego przyszło mi wlec ze sobą całą nieudaną egzystencję mojego męża. Wybujające, niczym nie uzasadnione ambicje, opowiadane do znudzenia wspomnienia z niegdysiejszej wspaniałej przeszłości, pozostającej zresztą w jaskrawej sprzeczności z rzeczywistością. Wszystkiemu winni byli jacyś oni i oczywiście ja. Jednym słowem to, co wzięłam za podcięte orle skrzydła, okazało się zwykłym nieudacznictwem. Jasno zdawałam sobie z tego sprawę, ale to nie poprawiło mi humoru. Chętnie zwałałam całą winę na los. - Tak widocznie miałam pisane, tak miało być - mamrotałam, pozbywając się poczucia winy. Brałam dodatkowe dyżury, żeby jak najmniej przebywać w domu. Tylko w rzadkich chwilach przyływu energii zaciskałam pięści, będąc tuż na granicy decyzji... Kończyło się kupieniem jakiejś kiecki, żeby sobie sprawić przyjemność. Celebując rytuał przymierzania, patrzyłam na tę obcą, zwykłą

kobietę z lustra. Ale już po chwili w lustro coraz nachalniej wciskała się reszta wnętrza - znajome zakurzone ściany, cała odstawiona na bok rzeczywistość przypominała o swoim istnieniu.

W sumie nie zrobiłam nic, żeby zmienić swoje życie.

*

Maj

Wyjątkowo upalny jest ten maj i powinno mnie to cieszyć gdyby nie fakt, że MPK strajkuje, a ja muszę codziennie przemierzać miasto z jednego końca na drugi, żeby dostać się do pracy. Ponieważ od dzisiaj mają jeździć jakieś autobusy zastępcze, postanawiam poczekać na przystanku. Słońce pali mnie w kark, po plecach spływają strużki potu. Po obu stronach chodnika morze ludzi.

Jezdnią szeroką falą jadą samochody. Na przystanku zebrał się spory tłum. Pomimo, że radio nadaje ciągle komunikaty o życzliwości prywatnych kierowców, od czterdziestu pięciu minut nikt się nie zatrzymał, żeby zabrać pasażerów. Widocznie nie mamy szczęścia. Jestem coraz bardziej wściekła. Spoglądam na zegarek. W końcu nadjeżdża wojskowa buda. Żołnierz opuszcza drabinkę. Kobiety wsiadając zadzierają wysoko spódnice i pokazują zbyt wcześnie poznaczone żyłakami nogi. Jednak rezygnuję i postanawiam iść piechotą.

W połowie drogi spotykam koleżankę - jest czerwona i wściekła. - No, powiedz - mówi zbyt głośno, nie bacząc na oglądających się na nas ludzi - czego oni chcą, zarabiają i tak więcej ode mnie, a ja muszę wlec się przez dwie godziny do pracy, przychodzę już wykończona, a potem muszę jeszcze stać kilka godzin przy stole operacyjnym! I nie ma prawa drgnąć mi ręka. Ciekawe, czy taki kierowca pomyślał o tym?! Tylko nam się wkłada w uszy, że nie

mamy prawa strajkować, bo to nieetyczne, a gdzie jest ich etyka?

Jestem trochę przerażona - nigdy nie widziałam jej w takim stanie, zawsze taka opanowana i spokojna. Usiłuję coś tam powiedzieć, że niby wszyscy myślimy podobnie, że może wreszcie się to skończy. W końcu żegnam ją i pędzę dalej. Docieram do przychodni po dwóch godzinach marszu zgrzana i wykończona. Pod drzwiami czekają pacjenci. Wypijam jednym tchem szklankę wody prosto z kranu i dopiero po chwili dociera do mnie, jaka była chlorowana i obrzydliwie ciepła. Przebierając się w fartuch, usiłuję nie myśleć o nagrzanym słońcem gabinecie. Przedtem były zasłony, ale przetarły się ze starości, a na nowe nie ma podobno pieniędzy

Trzecia. Robi się trochę luzu na korytarzu. Można usiąść w socjalnym i wyciągnąć obrzęknięte nogi. Patrzymy na siebie z pielęgniarką i nawet mówić nam się nie chce, takie jesteśmy zmęczone. Zbliża się siedemnasta. Zamykamy przychodnię. Jeszcze godzinny trucht przez miasto i jestem w pogotowiu. Mijam znajome twarze w dyspozytorni. - Mam na dzień dobry parę wezwań - mówi pani Jadzia, dyspozytorka - akurat dla pani, pani doktor. Moje zdziwienie każe jej kontynuować. - Pani jeszcze nie zdenerwowana, wypoczęta. Wzdycham ciężko. Spoglądam na kartę - dziecko gorączkuje od dwóch dni. Jasne. Jedziemy. To te nowe dzielnice na obrzeżach miasta, gdzie wszystkie domy są do siebie podobne jak dwie krople wody. Dojeżdżamy pod właściwy adres. Sanitariusz naciska raz i drugi dzwonek. W końcu słychać szuranie i otwiera nam stara kobieta, patrzy na nas podejrzliwie. Tłumaczymy o co chodzi. Wzrusza ramionami: ja tam nic nie wiem.

- Matka, idźcie do kuchni - słychać energiczny głos i ukazuje się właściciel. - No, nareszcie, godzinę już czekam - mówi niechętnie.

Mam ochotę powiedzieć, że nie tylko tę godzinę, ale całe dwa dni zupełnie niepotrzebnie czekał z tą temperaturą

u dziecka. Dawno należało pójść do przychodni. Ale mil-
cze. Zza drzwi, do których nas skierował, słychać jakieś
szamotanie. W końcu otwierają się i widać, że gospodyni
właśnie skończyła okrywać folią dywan. Na dworze spadł
deszcz i widocznie bała się, że zostawimy ślady. Przy-
znam, że nie wpadłabym na to. Badam siedzące w łóżecz-
ku dziecko - płuca czyste, gardło zaczerwienione, stan
podgorączkowy. Innych niepokojących objawów nie znaj-
duję. Pytam matkę, czemu nie poszła do poradni rejonowej.

- A wy od czego? - pyta szczerze zdziwiona.

Trudno. Jesteśmy już na schodach, kiedy wybiega go-
spodarz i potrząsa mi przed nosem wypisaną receptą. Nie
rozumiem, patrzę zdziwiona...

- Co sobie pani myśli, po zwykłą polopirynę taki świat
drogi będę jechał? Antybiotyk jakiś pani by wypisała, to
może...

Zupełnie mnie zatyka. Tłumaczę cierpliwie, że nie
trzeba, że to tylko infekcja i polopiryna w zupełności
wystarczy. Macha ręką.

- Tfu! Doktorka przyjechała. Odwracam się i szybko
wsiadam do karetki. Psiakrew! To mój ostatni dyżur. Tym
razem na pewno.

Zanim dojeżdżamy do pogotowia, dostajemy kolejne
wezwanie. Potem następne. Przestaję je liczyć. Gdzieś w
okolicy dziennika i filmu chwila oddechu. Nadchodzi cie-
pły, majowy wieczór. Przed północą zapadam w krótką
drzemkę, śnią mi się kilometry schodów. Podrywam się
nerwowo na głos dyspozytorki. Pierwsza w nocy. Obijając
się o ściany wąskiego korytarzyka, idę w stronę wyjścia.
Za mną człapie sanitariusz, przecierając zapuchnięte
oczy. Jedziemy do znanej restauracji. Podczas trwającego
tam przyjęcia doszło do bójki. Są ranni i pokaleczeni.
Równoległe z nami wezwano milicję. Kierowca opowiada
z ożywieniem, że jednym z gości na tym przyjęciu jest
Znany Sportowiec, którego on jest zagorzałym wielbicie-
lem. Mijamy ustawione przed lokalem sznury aut. Z bra-

ku miejsca wjeżdżamy na chodnik jak najbliżej wejścia. Portier pokazuje nam kierunek - rzeczywiście widok jest niesamowity, trzeba uważać, żeby nie potknąć się o pobite talerze i resztki jedzenia. Kelnerzy uwijają się po sali ratując, co się da. Na szczęście widać policyjne mundury. Uszkodzonych gości jest sporo, przeważnie płci męskiej. Rany niegroźne. Niektóre tylko obficie krwawią. Wołam do pomocy jeszcze jedną karetkę. Wśród poszkodowanych jest i Znany Sportowiec. Ma rozcięty łuk brwiowy. Poza tym jest pijany i agresywny. Usiłujemy sprowadzić go do karetki. Trochę to trwa, wreszcie możemy jechać. Owiewa mnie odór nie przetrawionego alkoholu oraz stek przekleństw, którymi raczy nas znana osobistość. Szczególnie ja nie przypadłam naszemu pasażerowi do gustu. Nie życzy sobie, żeby baba cokolwiek mu dyktowała, on sam wie, co ma robić itd. Słowo "baba" jest najłagodniejszym z określeń, jakich używa wobec mojej osoby. Spoglądam na kierowcę. - Pijany, to plecie - mówi, ale jest mu przykro, to widać.

Na chirurgii znajoma twarz kolegi, szara ze zmęczenia. Załatwiam formalności papierkowe i kiedy sanitariusz z kierowcą prowadzą sportowca do zabiegowego, przysiadam na krześle w poczekalni. Zza drzwi słyszeć szamotanię. - Niech się pan uspokoi, przecież muszę oczyścić ranę - to głos pielęgniarki. - Puść, ty kurwo - to już głos Znanego Sportowca. Wchodzi kierowca, jest czerwony jak burak.

Wracamy do stacji i w ubraniu rzucam się na łóżko. Jest trzecia. Zaczyna się rozjaśniać na dworze. Nie mogę zasnąć... Przed siódmą zaliczam jeszcze ostatni wyjazd. Tym razem czuję się naprawdę potrzebna. Pacjent z astmą ma atak duszności. Widzę, jak pod wpływem leków duszność ustępuje. Jak rozluźniają się napięte mięśnie twarzy, z oczu znika wyraz strachu, a pojawia się ulga. - W samą porę, pani doktor - wysapuje. - Co ja bym bez was zrobił?

Pamiętam mój pierwszy wyjazd do duszności. Byłam świeżo po studiach. Pomimo podania wszystkich koniecznych leków, które miałam ze sobą, atak nie mijał. Wezwałam R-kę do pomocy. Przyjechali po dwóch minutach, ale dla mnie te chwile z duszącym się, purpurowym na twarzy pacjentem, były jak wieczność. I jeszcze świadomość, że nie mogę mu pomóc. Przyjechał dr R., którego lubiłam i ceniłam za poważny i życzliwy stosunek do nas, początkujących. Już sam widok jego spokojnej i opanowanej twarzy przynosił ulgę. - Co pani podała? - zapytał natychmiast. Wymieniłam leki, rozkładając bezradnie ręce. - Nic więcej nie mogła pani zrobić. Zabieramy pacjenta - rzucił do sanitariuszy. A do mnie od progu: Będzie z pani dobra internistka. Te słowa osłodziły mi resztę dyżuru.

*

Czerwiec

Znad porannej kawy przy kuchennym stole lubiłam patrzeć przez okno na budę mojego psa. Zawsze wystawał z niej jakiś fragment mojego przyjaciela. Czasem ucho czy kawałek ogona, a często guzik czarnego, wilgotnego nosa. I to była pierwsza miła rzecz tego dnia. Oprócz kawy.

Jabłonie przekwitły szybko tego roku. Porywisty wiatr wyszarpywał z nich przedwcześnie zawieję białych płatków... Znowu padało w nocy. Na drodze widać lśniąca kałuże. Dopiero około południa udaje mi się zwalczyć zalegające moje ciało lenistwo. Porządkuję swój ulubiony pokój na poddaszu, podlewam kwiaty i jestem zadowolona, że udało się przewyciężyć siebie. Tymczasem na dole w kuchni rogrzewa się, pomrukując, piec. Powietrze nasycy się powoli zapachem palonego drewna. Zaczyna szumieć imbryk z wodą.

Obudziła się nagle, w środku jakiegoś snu, z silnym bólem ramienia. Leżała chwilę przyczajona licząc, że minie, odejdzie - tak, jak się pojawił - w czeluść nocy. Niestety, bolało tępo i nieustępliwie. - Więc już się zaczęło - pomyślała bez strachu i jakoś tak bezosobowo. Będzie musiała się przyzwyczać; już samo czekanie tak ją wyczerpało, że pojawienie się bólu przyjęła jako nieuchronną konieczność, a nawet z pewną ulgą, że oto już jest, że wszystko układa się według pewnych ustalonych reguł.

Ułożyła sobie scenariusz choroby, kolejność objawów, jakie miały po sobie następować i dało jej to mgliste i chwilowe poczucie opanowania sytuacji. Przynajmniej na jakiś czas. Dawala sobie margines...

Za oknem ledwo szarzało, zwyczajnie, jak co dnia. Targnął nią spazm żalu. Opanowała się szybko, starając się zająć myśli rzeczami i sprawami najzwyczajniejszymi, które oplątując ją mackami rzeczywistości, stawiały jednak w rzędzie ludzi żywych. Mimo wszystko. Poprawiła kołdrę i zachwyciła ją zwykłość tego ruchu: oto - pomyślała - poprawia kołdrę jak co noc, a zaraz będzie ranek i będzie musiała wstać, nakarmić psy. A potem dzień potoczy się dalej swoim trybem i ona nic już nie będzie miała do powiedzenia. Pozostanie jej jedynie podporządkować się jego rytuałowi. Tylko ten ból... tego się najwięcej bała, że ją w końcu pokona, że stanie się bezwolna, bezradna. To był właśnie ten margines.

Sięgnęła po tabletki i po szklanę wody, przy okazji wywracając budzik. - Psiakrew - zaklęta i wbrew sobie wybuchnęła śmiechem. Bo w końcu zdała sobie jasno sprawę, że tak naprawdę nie ma czego żałować. Położyła się na wznak i spojrzała z niechęcią na znajomą plamę na suficie. - Tego też nie będę musiała oglądać - powiedziała głośno.

Tabletki powoli zaczynały działać. Energiczniej poprawiła się na łóżku. - Przecież jeszcze nie umieram - pomyślała zapadając w sen.

*

- Stan chorych na oddziale - czterdziestu siedmiu, gorączkujących nie było. Chorzy pooperacyjni czują się dobrze. Nowo przyjętych - pięciu. Bez dostawek - kończę raport z dyżuru. Nareszcie! Teraz wszyscy pójdą na obchód, do którego już nie jestem zobowiązana - muszę zdążyć do poradni. Mam na to pół godziny. To nie jest zbyt wiele czasu na to, żeby wpaść po zakupy do supersamu i dostać się do przychodni położonej na drugim końcu miasta. Zbieram szybko swoje przybory toaletowe z umywalki, wrzucam byle jak do reklamówki, zmieniam pantofle. Jeszcze rzut oka na pokój - czy czegoś nie zostawiłam i wypadam na korytarz. W drzwiach wyjściowych zderzam się z koleżanką, która spóźniona pędzi na oddział. Wymieniamy pozdrowienia. - W jakim humorze szef? - pyta zdyszana. - W porządku - odpowiadam i mam nieczyste sumienie, bo akurat nie zwróciłam na ten szczegół uwagi. Oni tam, na oddziale, rządzą się swoimi prawami, mają własny świat, w którym nastrój szefa stanowi niebagatelny problem. Nigdy nie potrafiłam się do tego przystosować.

Robię niezbędne zakupy i na szczęście nie czekam długo na autobus, jest pusty o tej porze i wreszcie mam chwilę czasu dla siebie. Przemykam oczy. Pod czaszką kotłują się fragmenty rozmów, jakieś strzępki przemyśleń, których z braku czasu nie doprowadziłam do końca. Zrezygnowana otwieram oczy i postanawiam pogapić się bezmyślnie na mijane za oknami miasto. Jego szarość działa na mnie usypiająco. Podrywam się w pewnej chwili przestraszona, już minęliśmy wiadukt i na następnym wysiadam. Nieopodal przystanku znajomy budynek przy-

chodni. Zawsze mnie zdumiewa, że jeszcze nie pękł w szwach - oprócz poradni rejonowej mieści w sobie kilka poradni specjalistycznych, do których przychodzą ludzie z całego miasta. Nie wspomniałam jeszcze o pracowni RTG i laboratorium. Wąskie korytarze, wiecznie nabite ludźmi i gęstym, nie do przełknięcia, powietrzem. Z niejakim trudem przeciskam się między pacjentami i docieram do gabinetu zabiegowego, który - przedzielony parawanem na pół - stanowi jednocześnie nasz socjalny. Na szczęście na porannej zmianie jest moja ulubiona pielęgniarka Marynia. Witamy się. Mam uczucie, jakbym w ogóle stąd nie wychodziła od wczoraj. Marynia patrzy na mnie i bez słowa zabiera się za robienie kawy. - Czy aż tak źle wyglądam? - pytam żartobliwie. - Bywało lepiej - odpowiada szczerze. Padam na krzesło i dopiero teraz czuję, w jakiej jestem fatalnej formie. A przecież mam przed sobą jeszcze siedem godzin pracy. Parzę usta gorącą kawą. Moje koleżanki już przyjmują. Nagle drzwi w zabiegowym otwierają się gwałtownie, wchodzi mężczyzna. - Czy pod 107 ktoś wreszcie zacznie przyjmować? - pyta zirytowany. To mój gabinet. Jest dwadzieścia po ósmej. - Pani doktor już idzie - odpowiada spokojnie Maria dając mi stos kart. Pacjent zamyka drzwi w sposób, który pogłębia zarysowaną w futrynie szparę. Pielęgniarka podskakuje nerwowo. Idąc korytarzem słyszę uwagę, że kawkę należało wypić w domu, a tutaj przychodzi się do pracy. Przystaję, chcę wytłumaczyć, że ostatnie dwadzieścia cztery godziny spędziłam w szpitalu, ale rozmyślałam się.

Dochodzi dwunasta. Przyjęłam trzydziestu pięciu pacjentów. Przez okno wlewa się ciepłe powietrze i hałas. Łapię się na tym, że na recepcie zamiast nazwiska pacjenta piszę swoje własne. Powinnam zrobić chwilę przerwy - myślę i w tej samej chwili pielęgniarka przynosi kilkanaście nowych kart.

Jest druga, słońce opuszcza mój gabinet. Po wyjściu kolejnego pacjenta, o dziwo, nie rozlega się pukanie. Mogę

na chwilę wyjść. Dopiero teraz witam się z koleżankami. Opowiadam ciekawsze przypadki z dyżuru. Potem plotkujemy o zwykłych babskich sprawach. - Która mi pożyczycy do pierwszego, widziałam szalowe buty? - pytam z nadzieją. Wzruszają ramionami. - Przecież dopiero piętnasty, co wyście zrobili z pieniędzmi? - udaję oburzenie. - Przestań - mówi Ewka - w tym miesiącu na czynsz mi nie wystarczy. Szkoda. A taką miałam ochotę na te buty...

*

Koncert znanej artystki nie przyciągnął zbyt wielu słuchaczy. Może przyczyną była niewielka liczba afiszy rozlepionych na murach miasta, może bilety były za drogie, faktem jest, że występ początkowo zaprogramowany na dużą salę, przeniesiono do znacznie mniejszej. Nie usposobiło to pianistki życzliwie do zebranej garstki publiczności. Dała temu wyraz - przynajmniej ja odniosłam takie wrażenie - w trakcie koncertu, rzucając nieprzychylnie, rzec by można zimne i wrogie spojrzenia na usadowionego w pierwszym rzędzie reportera miejscowej gazety. Gdzieś jednak w połowie repertuaru, czy to porwana niezmienną pięknnością muzyki Chopina, czy ugłaskana śmiertelną ciszą widowni i szalonymi oklaskami po zakończeniu każdego utworu, złagodniała i udobruchała się. Posłała nawet w naszą stronę kilka uśmiechów schodząc ze sceny. Później, na niewielkim kameralnym spotkaniu, które z wypiekami na twarzy zorganizowała Maria, była uroczą, czarującą panią, otuloną szarym lisem.

*

Marzec

Przedświąteczne porządki zmęczyły mnie niesłycha-

nie. W pewnym momencie nawet wydawało się, że nie podołam, kiedy stanęłam na środku pokoju i ujrzałam wszystkie okna odsłonięte w pełni swojej poziomowej brzydoty i brudu. Stos poszarzałych finarek piętrzył się na środku podłogi, a odkurzacz odmówił posłuszeństwa. Ale powoli, powoli, wszystko uładziło się i dało namówić do współpracy. Wieczorem nieznośnie bolały mnie ramiona. Dzisiaj za to wczorajsze zmęczenie rekompensuję sobie widokiem lśniących okien i białych firanek. Nawet kwiaty, starannie umyte, rozsiadły się wygodniej w doniczkach.

*

Mały wyciągnął się wygodnie na trawie. Słońce grzało mu tylne łapy i grzbiet, głowę ułożył w cieniu - tak lubił najbardziej, ale nawet szykując się do drzemki nie spuszczał z oczu trzech najważniejszych punktów odniesienia: drzwi wejściowych, własnej miski i Pani, która właśnie przemierzała podwórze nerwowym krokiem, idąc od strony warzywnika i niosąc całe naręcze jakiejś rośliny. Mały orientował się w tych poczynaniach i wiedział, że przystępuje do gotowania obiadu. Przełknął nerwowo ślinę, jak zawsze, kiedy myślał o jedzeniu. Pozostałość z dzieciństwa. Pamiętał zimną, wilgotną piwnicę, w której przebywał przez kilka strasznych tygodni, kiedy Wielka Brudna Ręka oderwała go od bezpiecznego futra matki. Pamiętał dojmujące uczucie głodu, uporczywe burczenie w brzuchu, wilgoć i ciemność. Westchnął rozdzierająco na to wspomnienie, ale zaraz przytomnie wrócił do rzeczywistości. Wiodło mu się nie najgorzej. Sypiał w ciepłej budzie, może trochę za krótkiej (łapy często musiał wysuwać na zewnątrz), ale to i tak był luksus w porównaniu z tamtą piwnicą.

Słońce zajrzało mu w oczy, więc przesunął łeb, szukając cienia. Kontynuował dalej rozmyślenia: był już zupełnie

otępiały z zimna i głodu, kiedy wreszcie Pani zabrała go do siebie. Miał zresztą do niej pewną pretensję, że nastąpiło to tak późno. Tamten człowiek, cuchnący czymś nieprzyjemnym i kwaśnym, postawił go na chwilę na ziemi, aby przyszła właścicielka mogła go obejrzeć i Mały po raz pierwszy poczuł się zażenowany swoim wyglądem. Starał się stanąć prosto i wyglądać w miarę okazale, niemniej jednak zeszywniałe łapy i podkulony ogonek ze sfilcowaną sierścią nie pozwalały zaprezentować się z najlepszej strony. Prawdę mówiąc wyglądał jak kupka nieszczęścia. W niczym nie przypominał pulchnych szczeniaków, których tego dnia na targowisku było dużo. Zdawał sobie z tego sprawę, kiedy ten okropny człowiek, przyciskając go zbyt mocno ramieniem, przechadzał się pomiędzy stołami. Mały patrzył z zawiścią na ładne, wesołe szczeniaki, figlujące u boku matek, syte i bezpieczne. Nieświadome tego, co je czeka.

- Nie weźmie mnie - pomyślał z rozpaczą i zadrżał na samą myśl o powrocie do poprzedniego miejsca. Ale stał się cud - Pani pochyliła się i coś tam pieszczotliwie do niego mówiąc, podniosła do góry. Mały odetchnął z ulgą i ostrożnie, z nieufnością obwąchał jej rękę. Potem nastąpił jeden z lepszych okresów w jego życiu. Miał ciepłą, własną budę i pełną miseczkę, oraz nieustanną czułość nowej właścicielki. Na początku tylko, zaraz drugiego dnia, zachorował, ale był to skutek obżarstwa. Później, kiedy już zorientował się, że jedzenia mu nie zabraknie, wszystko wróciło do normy.

Mały poczuł nagle czyjąś obecność i otworzył oczy. To był Czarny. Usiadł naprzeciwko, ale zachowywał się spokojnie. Stosunki między nimi były dość napięte. Czarny zamieszkiwał tu od zawsze - tak się przynajmniej zdawało. Był to przysadzisty kundel z krótkimi, krzywymi łapami. Nie odznaczał się urodą i miał przykry charakter.

Kiedy Mały zobaczył go po raz pierwszy, ucieszył się i podbiegł natychmiast. Miał nadzieję, że jest to ktoś w

rodzaju jego matki i on zdoła się przytulić i ogrzać w jego futrze. Niestety. Czarny, widząc podbiegającego szczeniaka, warknął zgoła nieprzyjaźnie. Piesek zamarł bez ruchu przerażony, z uniesioną do góry przednią łapką. Nie spodziewał się takiej wrogości. Pani, która obserwowała całą scenę, powiedziała coś rozkazującym głosem i Czarny oddalił się. Widać było, że jest obrażony. Od tej pory ich stosunki nigdy nie były przyjacielskie. Czas płynął i Mały rósł, nabrał nawet tak przyjemnej dla oka pulchności, która charakteryzuje wiek szczenięcy. Był wesoły i zaczepny, ale dla Czarnego stał się utrapieniem i zmorą jego spokojnego dotąd żywota. Mało tego, że zajął w sercu Pani niepoślednie - żeby nie powiedzieć pierwsze - miejsce, co już samo w sobie było wystarczająco przykre, to jeszcze przerósł go o głowę, a jego zęby były takie ostre... Czarny nie był w stanie zrozumieć jego uprzywilejowanej pozycji. Owszem, dopóki przybędą (tak go w myślach nazywał) nie wyliżał się ze wszystkich swoich przypadłości i fatalnego wyglądu, można było poświęcić mu więcej uwagi. Ale teraz?! Kiedy był już taki wielki i gruby?

Pomijając fakt, że notorycznie zabierał mu kości, że wyjadał mu jedzenie z miski, to jeszcze nabrał paskudnego zwyczaju przebywania w jego budzie - jedynym azylu, jaki Czarnemu pozostał. To już było ponad jego siły. Któregoś dnia postanowił poskarżyć się Pani, ale i tu nie dane mu było załatwić sprawy do końca. Owszem, Pani wysłuchiwała wszystkiego z uwagą i już, już wyciągnęła rękę, żeby pocieszyć i pogłaskać, kiedy nagle - zupełnie nie wiadomo skąd - zmaterializował się Mały i z piskiem rzucił się między nich dwoje. Patrzył przy tym Pani w oczy z taką kokieterią, że Czarnym aż wstrząsnęło na tak wielką obłudę. Już dawno go rozszyfrował... Wycofał się z zapiekłym zalem w sercu. Nie był w stanie o niczym innym myśleć, a przecież nadchodziła wiosna i miał w zwyczaju wyrwać się na kilka dni poza ogrodzenie, wołany odwiecznym pragnieniem kontaktów z płcią przeciwną.

Ale teraz nie odważy się chyba... Kto wie, co mógłby zastać po powrocie?!

Mały leżał beztrąsko na słońcu. Co jakiś czas spoglądał z przyjemnością na swoje błyszczące, wyczesane przez Panią futro. Uwielbiał czesanie, ale poddawał się temu zabiegowi z pozorną niechęcią, dając odczuć właścicielce, że robi to tylko dla niej. Zauważył, że taka postawa bardziej się opłaca: otrzymywał pochwały i często jakieś przysmaki. Utrzymywało to go w stanie lekkiej pogardy dla łatwowierności Pani. Jego stosunek do wszystkich mieszkańców Domu był dosyć złożony: Pan pojawiał się rzadko, był mrukliwy i nietowarzyski. Mały machnął więc na niego łapą i nie zwracał uwagi. Pani karmiła go codziennie, więc pomimo jej wad, które zdążył już zauważyć, należało się jednak z nią liczyć. Czuł, że ma do niego słabość i wiele spraw można jej narzucić czy też w końcu przeprowadzić po swojemu. Działał powoli. I w miarę jak rósł, z trudem przyjmował jakiegokolwiek polecenia. Z Czarnym zupełnie się nie mógł porozumieć, ale też nie zwracał na niego uwagi. Wiedział z grubsza, co należy do jego obowiązków - miał to we krwi. Patrzył więc z pobłażliwym uśmiechem na Panią, która usiłowała mu wytłumaczyć, jak należy reagować na obcych, a także jak omijać kwietniki... Bezskutecznie próbowała oduczyć go kopania dużych jam. Pamiętał taki dzień, kiedy chciała zagrzebać jedną z nich - owoc jego kilkugodzinnej pracy. Mały widząc, co się święci, postawił ostrzegawczo łapę na narzędziu, którym Pani chciała zakopać jamę. Warknął przy tym nieprzyjemnie... i osiągnął zamierzony skutek. Poczł wtedy coś w rodzaju triumfu, krew zaczęła mu krążyć ze zdwojoną szybkością, czuł rozpierającą go siłę. Rozejrzał się dookoła władcym spojrzeniem, zatrzymując dłużej wzrok na Czarnym, który skulił się i zmałał. Już wiedział. Znalazł stado, które było mu posłuszne.

Zakład poprawczy był podobny do wszystkich budowli tego typu - duży, szary budynek z kratami w oknach. Odgródzony wysokim płotem od świata. Przy bramie budka wartownika. Plac, otaczający budynek, oznaczony niewielkimi plamami zieleni. Dzwonię do bramy i w okienku miga mi znajoma twarz. Wartownik wychodzi z portierni, trzyma cały pęk kluczy i jednym z nich otwiera furtkę. Ta sama procedura przy drzwiach wejściowych, zdążyłam się już przyzwyczać. Pierwsze piętro i długi korytarz prowadzący do pomieszczeń, gdzie znajdują się gabinety lekarskie i izba chorych. Przebieram się, kiedy wchodzi Basia - drobna, miła pielęgniarka. - Znowu babka ziemniaczana - mówi wydymając małe usta. Wzdycham, w każdą środę zmuszam się do tej babki, marząc o jakimś kotlecie. W tym czasie przychodzi piękna Teresa, która jest psychiatrą w zakładzie. Kiedyś była modelką. Wysoka, postawna, zgrabna. Lubimy ją z Basią ogromnie, chociaż jest starsza od nas o dziesięć lat. Tych kilka chwil, które spędzamy ze sobą, należą do przyjemniejszych momentów naszej pracy w zakładzie. Potem wszyscy zajmują się swoimi sprawami. Z Basią, która dźwiga ciężką torbę lekarską, idziemy na obchód. Pukamy kluczem w kratę i wychowawca otwiera nam drzwi. Z całej lawiny skarg należy wyluskać te istotne. Chłopcy lubią porozmawiać. Płotą czasem trzy po trzy tylko po to, żeby nas zatrzymać na oddziale. Początkowo denerwowało mnie to gadanie, te ich natarczywe spojrzenia wciskające się pod fartuch, za dekolt, oblepiające nogi. Później przyzwyczałam się i nie robiło to na mnie żadnego wrażenia. Oni też przywykli do mnie. Przestałam być nowością, sensacją w ich monotonnej egzystencji. Wkrótce też zaczęłam rozróżniać twarze, imiona. Z bezkształtnej masy zaczęły się wynurzać poszczególne osoby.

Po obchodzie wracałyśmy do swoich apartamentów. Spisywałam raport, zaglądałam do izby chorych. Badałam nowo przyjętych. Co chwila wpadał jeszcze ktoś ze swoimi problemami. Wsuwał się Jarek - brzydki, wysoki i pryszczaty. Jak zwykle zaczynał snuć prawdziwe czy też zmyślane opowieści o swoich nowych podbojach, jakich udało mu się dokonać na przepustce. Był homoseksualistą, z czym się nie krył i miał w zakładzie ciężki żywot. Przychodził Januszek - kilkunastoletni, wąły blondynek, o przeraźliwie błękitnych oczach - sama niewinność i wdzięk. Miał na swoim koncie kilkanaście włamań. Napychałyśmy go witaminami, bo był blady i miał sińce pod oczami. Chłopcy lubili do nas zaglądać głównie po to, żeby opowiedzieć o problemach, o których nie dało się mówić w grupie. Dręczyła nas w tamtym okresie plaga tatuaży, które robili sobie nieudolnie, powodując liczne zakażenia i paskudzące się później rany. Cierpliwie zmieniałyśmy opatrunki.

To był dziwny świat rządzący się swoimi prawami. Czasem okrutnymi, czasem zadziwiająco dorosłymi jak na tych chłopaków.

*

Stasia jest pulchną, niebrzydką dziewczyną. Jej okrągłe, brązowe oczy są zawsze trochę wystraszone. Ten strach leży w naturze Stasi. Na studiach wечно się bała, a to czy zdąży z zaliczeniem, a to czy zda końcowe egzaminy w terminie. Gdzieś około trzeciego roku, kiedy większość moich koleżanek zmieniła stan cywilny, Stasia znowuż wpadła w popłoch, że w tej kwestii może nie zdążyć na czas. Ale udało się. Zdzisław, zwany przez znajomych Misiem, był spokojnym chłopcem, przyszłym architektem... Nie byłam na ślubie, coś mi tam wypadło. Stasia weszła w okres szczęśliwego pożycia małżeńskiego. Ale

też niezupełnie. Zaczął ją teraz prześladować strach przed niepożądaną ciążą. Małżonkowie bowiem chwilowo mieszkali w akademiku, tyle że każde w innym. Tak się złożyło. Zanudzała więc dziewczyna całą grupę swoimi zwierzeniami, kiedy nerwowo przeglądając notatki czekałszy na ćwiczenia. - Ojej, wielkie rzeczy, no to urodzisz - bagatelizowała Jolka. - Pomożemy ci wychować - dorzucaliśmy beztrasko. Oczy Stasi okrąglały jeszcze bardziej.

Po studiach jakiś czas pracowałyśmy na tym samym oddziale. Moja koleżanka zaczynała dzień od zdobycia informacji o humorze szefa. Jeśli okazywało się, że akurat ma fatalny, rozpoczynała niemą pantomimę - podnosiła oczy do nieba, ręką przyciskała łomączące z nerwów serce i jak oszalała pędziła do półki z historiami chorób, żeby je przejrzeć i uzupełnić przed obchodem. Nasz ordynator miał zwyczaj oglądania wyników badań dodatkowych i biada, jeśli fruwały one luzem, zamiast być starannie wklejone. Nikt jednak nie wpadał w histeryczny popłoch z tego powodu. Podśmiewaliśmy się z biednej Stachy. Zwłaszcza moi koledzy, którzy lubili czasami płatać jej złośliwe figle. Co jakiś czas któryś z nich wchodził rano do pokoju lekarskiego i zawiadamiał z ubolewaniem, że szef jest w okropnym nastroju. Mrugali przy tym do mnie porozumiewawczo. Na obchodzie ordynator, który stawiał ją za wzór dokładności, prosił o dokumentację pacjenta i jakie było jego zdumienie, kiedy z historii choroby sypały się wetknięte byle jak wyniki badań. Z jakim wyrzutem patrzył na Staśkę... W pokoju lekarskim dziewczyna wybuchła płaczem, przysięgłaby, że wczoraj te wyniki wkleiła! Pewnie, że były to nieładne żarty, chociaż z drugiej strony ta jej gorliwość i wiecznie wystraszone spojrzenie działały nam na nerwy.

Moja koleżanka na szczęście miała dobre serce i po jakimś czasie zapominała o tym. Wszystko toczyło się dalej ustalonym trybem. To jej dobre serce było często wykorzystywane i większość z nas zwałała na nią bez

wyrzutu sumienia co bardziej uciążliwe obowiązki. Jedną z jej słabości była okresowa potrzeba "zablokowania kogoś w narożniku, bez możliwości ucieczki" - jak mawiał Tolo. Lubiła wtedy zwierzyć się ze swoich bolączek, a nawet upuścić kilka łez. Pozwalałyśmy jej na to wiedząc, że później będzie można ją w dwójnasób wykorzystać. Zdarzało się też, na szczęście rzadko, że Stasia miała dosyć. Oznajmiała to wszem i wobec. Miała dosyć nadprogramowych zajęć, którymi ją obarczano, a które "popępiała" z dobrego serca, licznych zastępstw na dyżurach, intryg i w ogóle wykorzystywania jej osoby. Chciała być kobietą światową i elegancką, mającą czas dla siebie i swojej rodziny - mówiła tocząc po nas wzrokiem. Kupowała wtedy zwykle parę ciuchów, imitujących najnowsze tendencje w światowej modzie, które niestety nie zawsze dobrze leżały na jej pulchnej sylwetce. Odwiedzała Filharmonię, zaliczała jakąś wystawę i uspokojona wracała do nas. Po tygodniu szaleństw Stasia gasła, rano znowu była zainteresowana humorami szefa i rzucała się na lekko zaniedbane historie chorób.

- Staśka, skończyłaś już to światowe życie? - pytał Tolo, nasz oddziałowy żartowniś - bo jeśli tak, to byłbym zainteresowany oddaniem dyżuru.

*

Listopad 1989

Wyjeżdżam na dziesięć dni. Trasa wycieczki prowadzi przez Niemcy, Belgię, Holandię i Luksemburg do Paryża. Po typowo swojskich perypetiach - kradzież walizek i wybicie szyby w autokarze - przekraczamy wreszcie granicę i około południa jesteśmy w Dreźnie. Bywałam tu już kilkakrotnie - kiedyś przed laty nawet cały miesiąc na praktyce studenckiej. Trochę zwiedzamy, później mamy

wolny czas i oczywiście idziemy na zakupy. Nie możemy z koleżanką odmówić sobie kupienia dobrych kosmetyków i przypraw, których u nas nie ma. Wieczorem spotykamy się przy autokarze. Nocny przejazd przez RFN. Rano zatrzymujemy się przy bezpłatnej toalecie, których jest sporo przy autostradzie. Wewnątrz nieskazitelna czystość, wielkie lustra, nikiel, kafelki. Dziewczyny chłapią się z rozkoszą. Poprawiamy makijaż i jeszcze przez chwilę obserwujemy, jak autostradą mkną wspaniałe samochody. Za przyciemnionymi szybami można się tylko domyślać właścicieli, pachnących dobrą wodą kolońską, jadących do swoich pięknych biur, domów, eleganckich kobiet. Podnoszę wzrok na nasz odrapany, wysłużony autokar i wzdycham cichutko.

W Luksemburgu czeka na nas Leo - nasz przewodnik. Zna biegle esperanto i jest częstym gościem w Polsce. Mamy zaledwie kilka godzin, a Leo chce pokazać nam jak najwięcej. Biegniemy więc prawie przez wąskie uliczki starej części miasta. Robię kilka zdjęć zamku i zabytkowych kamieniczek. I już zbliżamy się do nowoczesnego City. Super nowoczesne budynki wielu banków (głównego źródła dochodu Luksemburga - mówi Leo), ekskluzywne magazyny. Wystawy przyciągają jak magnes nasze babskie spojrzenia, ale przewodnik jest nieubłagany. Pędzimy dalej. Kątem oka obserwuję przechodniów. Panie - w cudownie skrojonych płaszczach z miękkiego flauszu, panowie (co drugi to poważny biznesmen - mówi Leo) też prezentują się wytwornie. Przystajemy na chwilkę w centrum na niewielkim placu, gdzie wszyscy podziwiają jakiś pomnik, ale mój wzrok przykuwa para przechodząca obok. Kobieta w wieku czterdziestu lat, świetnie uczesana, futro niedbale rozchylone miękko faluje wokół jej postaci, pod futrem prosta, czarna spódnica i biała bluzka. Na nogach czarne pantofelki na malutkim obcasie (te obcasy, dopiero wchodzące w modę, spędzały mi sen z powiek). Mężczyzna, który jej towarzyszył, mógł przyprowadzić o za-

wrót głowy. Przesunęli się obok mnie pozostawiając smugę zapachu drogich perfum.

Zapatrzyłam się na tę parę. - Chodź szybciej - trąciła mnie koleżanka. - Zobacz, jacy oni wytworni - wskazałam jej wzrokiem oddalającą się kobietę. Jej pantofelki beztroško postukiwały. - E tam - wzruszyła ramionami Halina - kupisz sobie takie same w Paryżu.

Po południu Leo okazał nam trochę serca i postanowił zawieźć do domu handlowego, położonego za miastem. Nazywał się swojsko - "Kaktus". Można tam było wymienić pieniądze, zrobić zakupy, zjeść obiad, a dzieci pozostawić pod opieką w specjalnym przedszkolu. Jest tyle pięknych rzeczy do kupienia, że naprawdę trudno się zdecydować - w końcu jednak rujnę moje finanse i kupuję piękną chustę z miękkiej wełny, w zgaszonych jesiennych kolorach. Do tego parę rękawiczek.

Przed dotarciem do naszej bazy noclegowej zatrzymujemy się na chwilę w położonym na spadzistych zboczach miasteczku Dinant. Jest czyste i piękne - wymuskane domki, ogródki pełne kwiatów. Nad wszystkim góruje zamek. Zapada zmierzch. W oknach domów i kawiarenkach zapalają się w światła. Z żalem wsiałam do autokaru. Bardzo późnym wieczorem mijamy Brukselę, żeby dojechać wreszcie do położonego czternaście kilometrów za stolicą Huizingen. Znajduje się tam Seminarium Katolickie, w którym będziemy nocować. Z całego świata przyjeżdża tu wiele grup, a można tu spać za darmo. Razem z nami jest grupa Niemców. Są jak zwykle hałaśliwi i pewni siebie, ale starają się być uprzejmi.

Dostajemy pokoje jedno i dwuosobowe. Wyposażenie pokoju jest skromne, prawie spartańskie - łóżko, stolik, krzesło. Podłoga w czarno-białe kafelki. Wszystko sterylne czyste. Rozpakowujemy rzeczy, myjemy ręce i schodzimy na dół do ogromnej jadalni, gdzie z własnych zapasów przygotowujemy kolację. Schronisko prowadzi miła starsza pani z córką, która podaje nam wrzątek na herbatę.

Robimy wielki stół bankietowy i kiedy wszystko jest gotowe, zapraszamy naszego przewodnika, który z przyjemnością częstuje się naszą polędwicą i szynką. A my, dla odmiany, musimy poczęstować się jego dietetycznymi sucharkami. Jesteśmy zmęczeni i senni. Już po północy. Jeszcze prysznic i jutro o piątej rano wyjazd. Czekają nas Waterloo, Bruksela, Ostenda i Brugia.

Rano, ponieważ zostawiamy bagaże, chcę zamknąć drzwi na klucz i stwierdzam ze zdziwieniem jego brak. W drzwiach nie ma nawet dziurki. Pytamy Leo. - To nie Polska - mówi nieco złośliwie. Okazuje się, że w Seminarium nie ma zwyczaju zamykania drzwi na klucz. I nigdy nikomu nic nie zginęło. Z westchnieniem wsuwamy z koleżanką swoje bagaże głębiej pod łóżka. Rzeczywiście, przez kilka dni naszego pobytu, a raczej nieobecności - bo wracaliśmy późną nocą, żeby już o piątej rano wyjechać - nie zginął najmniejszy drobiazg. Niesamowite uczucie!

Ostenda powitała nas zimnym wiatrem, który hulał po nabrzeżu, i wczesnym listopadowym zmierzchem. Z ulgą schroniliśmy się do przytulnych, jasno oświetlonych pasażerów handlowych. Byłam w tej chwili niesłychanie daleko od brudnego wnętrza karetki, pełnego jeszcze wyziewów po odwiezionym właśnie do Izby Wytrzeźwień pijaku. Byłam naprawdę daleko... Dziwna rzecz, że ten obraz przywłókł się za mną aż tutaj. - To już zboczenie zawodowe - podsumowała mnie Halina.

W Brukseli pewna Polka - zdolna esperantystka w daleko posuniętej ciąży, z psem na smyczy, który wabił się Espero - zaprowadziła nas rankiem na tamtejszy bazar. Po niewielkim placu krążyło kilkadziesiąt osób. Czysto, schludnie, brak swojskiego kolorytu i zapachu. Wszystko sterylnie podane, prawie przeżute. Nikt nikogo nie popychał, sprzedawcy wdzięczyli się nieprzyzwoicie. I znów prawie namacalnie poczułam smród naszej hali mięsnej, oczami duszy zobaczyłam tłumy barchanowych

gospoś, targujących się zajadle o kawał ochłapa. A dalej na placu twarze stałych bywalców podsuwających nachalnie pod nos palce z dziesiątkami złotych pierścionków, dłonie powiewające dziesiątkami łańcuszków. Przypomni mi się znajomy kundel, też stały bywalec okolic śmietników, ale urzędujący na bazarze od wczesnych godzin rannych. Brudny i dobroduszny. Noszący swoje luźne żółte futro jak niedbale zapięty płaszcz. Pomimo niechlujnego wyglądu był ogólnie lubiany i dokarmiany obficie. Stąd pewnie jego życzliwy stosunek do otaczającego świata. Zagadywany, odmachiwał grzecznościowo ogonem, prawie nie przerywając drzemki.

*

Bywa, że przebywając z dala od czegoś lub kogoś, hołubimy w swoim wnętrzu obraz daleki od oryginału. Psychika człowieka jest tak przewrotna... W miarę niewiedzenia tego kogoś lub czegoś tęsknimy coraz mocniej, popadamy w obsesję i w końcu oscylujemy na granicy stanu, który najprędzej możnaby porównać do głodu narkotycznego. Jeśli wydaje się nam, że po ujrzeniu obiektu naszych tęsknot będziemy już zupełnie i bez reszty szczęśliwi - to nie ma nic bardziej błędnego nad takie mniemanie.

Pamiętam, jak przebywając przez dłuższy okres w innym kraju, zachłystywałam się o niebo wyższym standardem życia, a moje babskie oczy upajały się widokiem pięknych rzeczy mogących kobietę uszczęśliwić na długo. Właśnie tam, na skutek owej przewrotności natury, początkowo prawie niedostrzegalnie, a później już zupełnie jawnie zaczęła mi doskwierać chęć jak najszybszego ujrzenia miejsc, w których obracałam się przed wyjazdem. Sąsiadującej z bazarem brudnej ulicy, przy której mieściła się przychodnia. Tęskniłam za przepelnionymi autobusa-

mi, za domem, który z powodu wiecznego braku funduszy nie odnawiany od wielu lat prezentował pełną zacieków i zadrapań twarz. Tęskniłam nawet do moich koleżanek, chociaż wiedziałam, że z bezinteresownej zawiści nie pozostawiły pewnie na mnie suchej nitki.

Los jest przewrotny do perfekcji... a może zresztą to nie los, a tylko stara prawda, że spełnione marzenie jest bezwartościowe i nie umiemy się nim cieszyć? Wróciłam... Nie warto nawet pisać, jak bardzo obraz noszony w duszy różnił się od tego tutaj. Nie muszę dodawać, że już w tydzień później doprowadzał mnie do pasji smród i pijacki bełkot dochodzący z targowicy, widocznej z okien mojego gabinetu. Warczałam na zaczepki handlarzy, którzy upodobali sobie schody naszej przychodni jako teren działania, proponując transakcje handlowe wszystkim wchodzącym i wychodzącym. Koleżanki po powitalnych uśmiechach powróciły do swoich intryg. A dom? Ten dom, o którym marzyłam i który - jak kiedyś mi się wydawało - miał być najpiękniejszą częścią powrotu... Cóż, wydał się taki zabiedzony i ubogi. Teraz nocami śniłam o eleganczkich tłumach na Placu Pigalle. I zdumiewało mnie, jak mogłam tęsknić za tym wszystkim, przecież smród jest tylko smrodem, brud - brudem, a arogancja i chamstwo?... Do czego tak mi się śpieszyło?

*

Mówiło się o niej ciotka Felicja. Przyjeżdżała w lipcu lub sierpniu na kilka dni i zwykle ten jej przyjazd był najbardziej wyczekiwany wydarzeniem w ciągu całych wakacji. Jej pojawienie było jak powiew wiatru w narbrzmiałe upałam lipcowe południe. Wszystko dookoła elektryzowało się i ożywało. Przyjeżdżała zwykle taksówką, skąd później szofer wynosił niezliczone bagaże. Ciotka wynurzała się z czeluści samochodu powoli - najpierw

stopy w białych pantoflach, potem ona sama, zwykle w lnianym kostiumie i kapeluszu. Zaraz rozglądała się wokół i zdejmowała go z głowy. Czarne włosy miała upięte w duży kok. Drobna oliwkowa twarz i ciemne oczy promieniały radością. - Boże! Jak tu u was pięknie! - wołała i od tego zachwytu robiło się radośniej na duszy. Podnosiłiśmy głowy dumni, że mogliśmy jej zaimponować. Była przecież w naszym pojęciu kobietą światową. A potem zaczynał się wielki taniec, wszystkie jego figury były tak ustawione, że kończyły się wokół jej fotela, krzesła czy miejsca, gdzie akurat się znajdowała. Nawet Mruczek - pospolite kocisko, zamieszkujące pod werandą - wychodził na zewnątrz. Wszystko od tego dnia wyglądało inaczej. W altanie, na stole przygotowanym do obiadu, pojawiały się kwiaty. - Felu, skąd się wzięły takie piękne kwiaty? - pytała Teresa. - No jakże Tereniu, przecież rosną za warzywnikiem - odpowiadała radośnie ciocia. Mruczek ocierał się miłośnie o jej nogi. - Tak tu pięknie - wzdychała marzycielsko. Po obiedzie szliśmy na spacer przez pola, aż do lasu, który ciemną ścianą odgradzał naszą posiadłość od miasta. - Czas na podwieczorek, dzieci - mówiła w pewnym momencie ciotka i zdecydowanie zawracała w stronę domu. W kuchni opasywała się starym fartuchem matki i zaczynała swoje misterium przygotowywania różnych cudeniek w szklanych pucharkach, które matka wyjmowała tylko na duże okazje. Łaziliśmy za nią po kuchni krok w krok. Pachniała podniecająco i egzotycznie zarazem. Zwłaszcza Jagoda wciągała ten zapach z lubością, przyrzekając sobie w duchu, że już na pewno tego wieczora zapyta ciocię, jakich perfum używa. Ta woń wywoływała w niej jakieś nieokreślone tęsknoty, powiew innego świata, ten tutaj pachniał tylko kapuśniakiem i gotowanymi ziemniakami. - Zaścianek - pomyślała z rozpaczą.

Następnego dnia pojechali do miasta. Jagoda skrecała się wewnętrznie ze wstydu, kiedy musiała przepychać się

do wolnego miejsca, pokonując nie tylko opór koszy napeczniałych od jaj wieszonych na targ, ale również stęchłego kwaśnego powietrza przesyconego potem. Ciotka ubrana w prostą, lnianą sukienkę tchnęła świeżością. Zwraçała też ogólną uwagę. Wreszcie z westchnieniem ulgi opadły na wolne siedzenia. Jagoda zapatrzyła się na profil Felicji, spostrzegła kilka siwych włosów nad uchem, które nieposłusznie wymykały się z nieskazitelnej całości. Dopiero teraz zobaczyła drobnutką siatkę zmarszczek wokół oka. Wszystko to sprowadzało jej ciotkę do rozmiarów normalnej ludzkiej istoty, która musi farbować włosy, walczy ze zmarszczkami, czyli również podlega jakimś prawom czasu. Do serca Jagody napłynęła fala ciepła, ale też i smutku, bo zdała sobie sprawę, że ciocia stanie się któregoś dnia zgrzybiałą staruszką. Poglaskała ją po rękę...

Jej rozmyślania przerwał nagle pisk. Podskoczyły obie. Siedzący za nimi mężczyzna uderzył właśnie po raz drugi małego pieska, który - jak się okazało - zmoczył mu spodnie. - Na targ go wiozę - rzucił w naszą stronę. Piesek patrzył na ciotkę popłakując. - Ile pan chce za to stworzenie? - zapytała patrząc na gospodarza ciemnymi oczami. - A ile tam panusia da - machnął ręką. Felicja wyjęła zwitek banknotów i podała nie patrząc. Jagoda szturchnęła ciotkę. - Ciociu, u Zawisłaków mają pieski ładniejsze niż ten - szepnęła. Ale było już za późno. Nabytek powędrował na kolana nowej właścicielki, gdzie posapując zabawnie, zwinął się do drzemki. Po wielu zmianach pozycji szczeniak ułożył się wreszcie wygodnie, zanurzając nos w zagięciu ciocinej ręki i Jagodzie ten widok przypomniiał "Damę z łasiczką".

Po powrocie matka załamała ręce. - Mój Boże, skąd żeście wzięły to straszdyło? - zawołała. - Ciocia kupiła w autobusie - powiedziała Jagoda. Postawiony na trawniku piesek rozglądał się ciekawie dookoła. Teresa zmiękła, zresztą dziwactwa Felicji nie budziły w niej niechęci, ale raczej skrywany podziw. Chodziły razem do tej samej

szkoły i już wtedy Felicja różniła się znacznie od swoich rówieśniczek i wyglądem, i czymś nieuchwytnym, czego nawet najbardziej wygadane nie potrafiły określić. "Księżniczka" - mówiły o niej z pogardliwym, podszytym zazdrością wzruszeniem ramion. Teresa westchnęła na wspomnienie tych dawnych dziewczynskich problemów, kłopotów, które wtedy miały wagę spraw ostatecznych. Potem ich drogi rozminęły się na długo, ona wyszła za mąż za kolegę z roku, a Felicja... och, losy Felicji okryte były niejasną mgłą tajemnicy. Nie wiadomo było, co się z nią właściwie działo, całe fragmenty czasu pomijała milczeniem. Później, zupełnie nieoczekiwanie wynurzyła się po dwudziestu prawie latach milczenia. I Teresa popadła, tak jak dawniej, w niewolę jej uroku. Przyjeżdżała regularnie każdego lata, a Teresie te odwiedziny potrzebne były jak woda w czasie suszy. Przez samą obecność przyjaciółki i jej egzystencja wydawała się być bardziej istotna i uzasadniona. Felicja po tych latach niewidzenia jawiła się inna - bardziej dojrzała, stonowana, przyciemniona jakaś w kolorycie. Obserwując ją Terenia zachodziła w głowę, jak można było przez tyle lat tak mało zmienić się fizycznie i było to jeszcze jedno źródło zachwytów nad Felicją. Przeniosła ona bowiem oprócz tej swojej nowej dojrzałości wiele cech, które się pamiętało z tamtych czasów - tamtej Felicji, która onieśmiała wszystkich chłopaków ze starszych klas; sposób poruszania piękną szyją, to nagłe spojrzenie spod rzęs, urywany śmiech. - Mój Boże! - wdychała Teresa wieczorem, patrząc do lustra. Szyja poprzecinana poprzecznymi bruzdami (a jeszcze rok temu chyba ich nie było), pogrubiła postać. Michał, jej mąż, chrapał na sąsiednim łóżku. Cieszyła się, że jemu jest chyba wszystko jedno jak wygląda. Była mu za to wdzięczna.

Przebywanie z Felicją stanowiło dla niej pożywkę na cały długi rok. Na miesiące jesienno-zimowe, kiedy nie działo się zupełnie nic i kiedy mogła sobie wspominać te

jej urocze dziwactwa, spaceru przy księżycu, wieczorne kąpiele w rzece. Niby machała na nie z lekceważeniem ręką, ale chętnie się poddawała tym pomysłom. Zwłaszcza, że od jakiegoś czasu znalazła niespodziewanie sojuszniczkę w swych zachwytach nad Felą - córkę Jagodę. Cielęcy wzrok wbity w niezwykłą ciotkę uświadomił Teresie, że jej latorośl uległa tej samej chorobie.

- Cóż będzie z tym psem? - zapytała przyjaciółkę w czasie deseru. Felicja była zakłopotana. - On jest śliczny, ale przy moim trybie życia będzie ciągle sam. Proszę, Tereniu, zostawcie go tutaj. Przyrzekam, że będę często go odwiedzała - powiedziała z uroczym uśmiechem. To oczywiście przesądziło sprawę. Zresztą Feli się nie odmawiało. Felek - bo tak go nazwano - został i czekał. Teresę czasami złościło, że ją, karmicielkę w końcu, traktuje jak chwilowe zastępstwo. Przyjmował tę jej opiekę jako coś, co mu się należy od życia, i czekał. To jego psie czekanie i tęsknota wyrażały się częstymi spojrzeniami na drogę, nasłuchiowaniem, częstymi zamyśleniami, wędrówkami do przystanku autobusowego (Teresa denerwowała się, że coś mu się stało, kiedy tak przepadał na całe godziny). Wracał wieczorem i kiedy strofowała go za swój niepokój, spotykała spojrzenie zupełnie nie psie, tylko wzrok kogoś boleśnie zawiedzionego. Nieoczekiwanie ulatywała jej złość i drapiąc go po zafrasowanym łebku, mówiła: niedługo pani wróci, niedługo...

Wreszcie któregoś dnia listonosz przynosił list w niebieskiej kopercie i Teresa wyłuskiwała go drżącymi z przejęcia rękami. Było niewiele. "Przyjeżdżam we wtorek. Jak Felek? Kocham Was." I podpis - "Felicja". - Jagoda, ciocia przyjeżdża! - krzyczała na całe podwórze i ożywczy prąd przebiegał jej ciałem. Sprzątały we dwie, czesały Felka, ustawiały meble i kwiaty. Pies, zdenerwowany, co i rusz wyrывał się na drogę. Nawet Michał przeczesywał włosy. Taksówka zajeżdżała w najgorszy upał południowych godzin i Teresa nie mogła wyjść z podziwu, że można

w taki skwar wyglądać tak świeżo. Chłodne policzki Felicy, jej perfumy. Jej zachwyty - jak tu pięknie! Wszystko to sprawiało, że ich świat, nieważny, prawie nieistniejący przez resztę roku, teraz dopiero wynurzał się na powierzchnię i nabierał życia.

*

Wchodzę do pokoju lekarskiego i witam się z Basią. Właśnie skończyła asystę do długiego zabiegu operacyjnego. Jest blada i zmęczona. Przegarnia ręką krótkie, skręcone włosy. Tych włosów zazdrościmy jej wszystkie. Są niesłychanie gęste, same się układają w loki i w dodatku mają piękny, kasztanowy kolor. Wielokrotnie namawiałam Basię, żeby przestała je ścinać. Już wyobrażałam sobie moją koleżankę w aureoli ciemnej gęstwiny, która stanowiłaby znakomite tło dla jej bladej, matowej cery. I kiedy już prawie, prawie byłam pewna swego, któregoś dnia Basia przychodziła do pracy z króciutko obciętą fryzurą...

- Nie mam czasu na włosy - machała do mnie od progu ręką. Pryskała wizja ciemnowłosej piękności. Blada twarz Baśki nad wypisami, zerkanie na zegarek, żeby jak najwięcej zdążyć przed obchodem.

Ogarnia mnie smutek. Nieuzasadniony żal za długimi lokami Barbary, które upadły na brudną podłogę u fryzjera.

*

Jest we mnie jakaś ogromna niecierpliwość, która nie pozwala na wypowiedzenie się do końca. Na przeżycie powoli i statecznie tego, co ma swoją nieuchronną kolejność rzeczy. Zawsze chciałam ją przeskoczyć, ominąć poszczególne fazy, których przecież ominąć się nie da, żeby rzecz sama w sobie nabrała właściwego sensu. Omijając

tę kolejność, pozbawiłam treści pewne wydarzenia i obdzierałam z logicznej całości połacie mojego życia. Zbyt frapował mnie efekt końcowy, który przecież - tak jak produkt przemysłowy - ma swoją wartość dopiero po kolejnych fazach obróbki.

*

Dzieciństwo spędziła Ewelina w błogiej nieświadomości istnienia. Nad wszystkim czuwały przecież demony, które powodowały, że po dniu przychodziła noc i że na śniadanie była owsianka. Stanowiło to jakiś porządek, w którego szczegóły Ewelina nie wchodziła, przyjmowała sprawy tego świata całą powierzchnią ciała nie przepuszczając ich przez sito analizy. Rzecz by można - smakowała go wyłącznie fizycznie. Oczywiście kodowała sobie w mózgu pewne odczucia związane z sytuacjami i osobami, które w nich uczestniczyły, ale czyniła to jakby podświadomie, odkładając je na potem, nie smakując ich, ani nie rozgryzając. Dawała się ponosić fali wydarzeń z uległością osoby nie mającej w świecie dorosłych nic do powiedzenia. Ten okres swego życia zapamiętała Ewelina jako pasmo mlecznych zup, ustawicznie zmieniających się nianiek, słów matki, która z niezadowoleniem mówiła - jaka ona jest dzika. Dziwiło ją to niepomiarownie, bowiem słowo "dzika" kojarzyło się jej z jakimś bliżej nieokreślonym stworzeniem brunatnego koloru, wydającym pomruki i koniecznie brudnym - czymś pomiędzy psem i starą wariatką, którą kiedyś pokazano jej, jak włóczyła się przy straganach na rynku.

Po latach, w pozbawione snu noce, usiłowała przywołać w wyobraźni tamtą małą dziewczynkę z całym orszakiem słów i gestów, którymi otaczali ją dorośli. Przywoływała dawno zapomniany zapach tamtej małej uliczki, starego, drewnianego domu, ciepłą woń złych humorów matki i

kojącego mamrotania niani, która usiłowała rozpalić pod kuchnią. Dochodziły do tego zapachy lekarstw i tranu, zniechęcającego płynu, który trzeba było od razu zagryzać mocno posolonym chlebem, żeby nie wymiotować jego rybiej tłustości. Rozgrzebując te wszystkie wspomnienia, wyciągała Ewelina na światło dzienne obraz małej, chudej i chorowitej dziewczynki. Nieładnej i pełnej lęków. Już wtedy niejasno sobie uświadamiała, że rodzice nie są do końca zadowoleni z jej wyglądu. Usłyszała kiedyś matkę mówiącą do swojej przyjaciółki: Nie wiem doprawdy, po kim ta mała odziedziczyła kompletny brak urody.

Życie Eweliny stanowczo nie ułożyło się tak, jak powinno. Biegło, niezależnie od głównej bohaterki, jakąś własną koleiną, denerwująco uzależnione od kaprysów i humorów innych, ich słów i spojrzeń. Zupełnie tak, jak gdyby kto inny - nie Ewelina - powołany był do ustalenia jego biegu.

Szkoła podstawowa i średnia ułożyły się w pasmo pracowitych dni, nowych książek i zeszytów w świeżych, lśniących okładkach, które pachniały niepokojąco. Nie pamiętała z tamtych czasów swego odbicia w lustrze. Tylko włosy. Może dlatego, że były przesadnie grube i wielkie, co sprawiało nieustanną męczarnię przy myciu i rozczesywaniu. Znosiła je jak przykry dodatek. Brzydka, chuda dziewczyna. Na przerwach siedziała pod ścianą, z książką w ręku. Inne dziewczyny spacerowały, trzymając się pod rękę i chichocząc. Czuła się wyłączona z ich wspólnoty. Któregoś dnia, po zajęciach z wychowania fizycznego, postanowiła poprawić roztrzepany warkocz. Szybko rozplotła go i przystąpiła do czesania. W klasie zaległa nagła cisza. Pomyślała, że oto pewnie wszedł nauczyciel i oblała się rumieńcem, przyłapaną na czymś tak wstydlivym. Ale to nie był wychowawca. Jej koleżanki po prostu oniemiały na widok fali rozpuszczonych, lśniących włosów, sięgających brzegu fartucha. - No, no, kto by pomy-

ślał - powiedziała Anka, klasowa piękność.

W domu Ewelina jeszcze raz rozplotła warkocz. Wykręcała się na wszystkie strony przed lustrem, ale nie mogła dojść, co wtedy w klasie wywołało takie wrażenie. Zrezygnowana, wróciła do zwykłego uczesania.

Mijające lata nie zdjęły z niej uczucia, że jest li tylko tworem wyobraźni tych, którzy ją otaczają. Oglądała czasem własne ręce, czubki stóp, ale było tak, jak gdyby wmuszała w siebie fakt istnienia, usiłując koniecznie wtłoczyć się w jakąś rzeczywistość, która pasowała na nią jak sukienka z młodszej siostry - tu się marszczyła, tam znowu była za ciasna.

- Nie do poprawki - mamrotała Ewelina, przewracając się w rozgrzanej i uwierającej ze wszystkich stron pościeli. - Wszędzie fałdy i zmarszczki - powiedziała głośno. Nie wiedziała, czy ma na myśli tamtą siebie, czy prześcieradło. Kiedy już jako tako ułożyła się w łóżku i otuliła kocem, okazało się, że zgubiła wątek, a właściwie nitkę, która łączyła tamtą chudość i brzydotę z późniejszą Eweliną. Tą, która po raz pierwszy zobaczyła swoje odbicie w lustrze.

Ale to było już kilka lat później, na studiach. Wyskoczyli hałaśliwą gromadą po wykładzie. W szatni zrobiło się tłoczno. I nagle zobaczyła idącą ku niej z tego tłumu rozgadanej młodzieży dziewczynę. Zauważyła bladą twarz pod ciemnymi włosami i wiśniowy kolor sukni. Kto to jest? - pomyślała zaskoczona. Dziewczyna szła ku niej krok za krokiem. - Uważaj, zaraz wejdiesz w lustro - zażartował ktoś z boku. Wracała do domu podśpiewując pod nosem, a w głowie miała obraz siebie idącej ku niej z lustra. - Więc tak wyglądam?! - było jej radośnie i lekko. Co za ulga, to odkrycie, że się już nie jest chudą i brzydką. Ale zaraz po powrocie trzeba było zabierać się do skryptów, w nieustannym strachu przed egzaminami. Zmagać się z wiecznym gderaniem matki o każde wyjście, o każdą chwilę zamyślenia.

Przesuwały się niepostrzeżenie lata. Obraz dziewczyny z lustra unosił Ewelinę bezpiecznie w gąbczastą materię Czasu. Rozglądała się ze zdziwieniem dookoła - jakże zmieniały się jej koleżanki, odkrywała nagle spróchniały mur domu, zwalone drzewo - czas oplatał mackami swoje ofiary i niszczył w potężnym uścisku. Znowu poruszyła się gniewnie w pościeli. Dlaczego nikt jej o tym nie powiedział? Mogła się przecież jakoś zabezpieczyć, coś przedsięwziąć. Tymczasem ona trwała, widząc tamtą z lustra. Wiśniową sukienkę zastąpiła potem piękna ciemnozielona, potem jeszcze inna... Ile pantofli, ile szali, niczego nie mogła jej odmówić.

Tylko widok jej rodziców, którzy zapadali się w sobie i umierali na wszelkie możliwe sposoby powodował, że czasami przestawała się uśmiechać. Chociaż w końcu oni byli już przeszłością, tą, której chętnie pozbyła się z pamięci - cierpkiego dzieciństwa, poczucia winy za brzydotę, złych humorów matki, smutku, który jej się nie należał.

Ewelina wzdrygnęła się przy kolejnym podmuchu wiatru.

*

Pamiętam z dzieciństwa małe sklepiki na peryferiach miasta. Zakurzona ulica i trzy drewniane schodki, po których wchodziło się do ciemnego wnętrza. Bure, zdeptytane linoleum. Pomieszczenie, wydzielone z części domu, było ciasne, ale pełne różnych aromatów. Za drewnianą ladą sklepiku, który pamiętam, rezydowała czarnowłosa pani. Wtedy w moich oczach wydawała się szczytem kobiecej urody. Za nią, na półkach, stały tłumnie kasze, mąki, ryż. W dwóch drewnianych beczkach wydzielaty specyficzną woń śledzie. Obok wielka kadź pełna białokremowej śmietany, po którą należało przyjść z własnym słoikiem. Landryny w dużym, szklanym naczyniu, lizaki. Wszystko znajome i bliskie. Znałam smak każdego cu-

kierka w szklanym słoju. Nie przeszkadzały i nie raziły szare nieestetyczne opakowania - były częścią rzeczywistości. Teraz, kiedy nowoczesne supersamy, których coraz więcej, zapchane są po sufity kolorowymi pudełkami z tajemniczą zawartością, kiedy panoszą się stosy pomarańcz, bananów, mleko z Holandii, pieczywo francuskie i wszystkie te cudeńka, do których dzieciom wychodzą wprost oczy, ja (co za przewrotność ludzkiej natury) z niejakim ciepłkiem w okolicy serca patrzę na wstydliwie wyzierające z lawiny kolorów opakowania z mąką wrocławską czy kaszą mazurską. Albo kiedy udaje mi się odnaleźć, przeglądając stoisko z różnymi słodkościami ze wszystkich stron świata, niewielkie celofanowe opakowanie pozlepianych i pokruszonych landryn o smaku mojego dzieciństwa.

Kiedyś nawet spotkałam panią z naszego sklepiku. Jaka mi się wydała poszarzała, malutka, siwa...

*

Lipiec

Znowu strajkuje MPK. To już nie jest zabawne. Na przystankach kłębią się rozwścieczeni ludzie, czekając na komunikację zastępczą. A ta jeździ z sobie wiadomą częstotliwością, ale raczej rzadko. Mniej więcej raz na godzinę ukazuje się wojskowa buda i żołnierze wciągają do środka objuczone zakupami kobiety i wymęczone do granic wytrzymałości staruszki. Reszta tłoczy się szeroką falą na chodnikach. Samochody osobowe nie zatrzymują się nawet na uporczywe machanie ręką. Dziś naliczyłam około pięćdziesięciu aut, których zawartość stanowił jedynie kierowca. Żaden nie zatrzymał się w ramach braterskiej pomocy. Nieopodal mnie stała ciężarna kobieta z dwójką dzieci. Cała trójka spocona i czerwona od upału.

Kiedy przystanek mijał kolejny elegancki samochód, zauważyłam, że za kierownicą siedzi ksiądz. Kobieta z wypiętym brzuchem i dzieciaki ustawicznie machające rączkami, były bardziej niż widoczne. Cóż, duchowny był pewnie zajęty sprawami wyższymi...

Jest coraz bardziej gorąco. Dochodzi dwunasta, już się spóźniłam do pracy. Zatrzymuje się jakiś samochód dostawczy. Zabiera kilka osób, w tym i mnie, ale tylko kilka przystanków, dobre i to. Brnę do następnego i czekam dalej. Mam ochotę kłać i płakać naprzemian.

Lipiec

Znowu godzinne oczekiwanie na komunikację zastępczą. Przyjeżdża załadowana po brzegi buda. Parę kobiet jednak usiłuje wdrapać się po drabince do ciasnego wnętrza. Jedna podciąga wysoko spódnicę ukazując blade, zwiędłe uda, poznaczone kalafiorowatą, siną masą żyłaków. Żal mi jej... Mam ochotę zostać sama na opustoszałym nagle przystanku.

*

Spikerka wdzięcznie przechyliła głowę w stronę młodego twórcy, kończąc jakąś kwestię. Kamera zatrzymała się na jego twarzy, później ukazała całą postać. Siedział w dość niedbałej pozycji, opierając kostkę prawej nogi na lewym kolanie. Stopa tejże nogi, widoczna w kamerze, odziana była w przydeptany but, noszący potocznie nazwę mokasynu. Nad skarpetą nieokreślonego koloru widoczne były zawinięte dzinsy. Nieco wyżej ukazywał się rozciągnięty sweter i czerwona twarz o kwadratowych szczękach. Mimo młodego wieku - początek łysiny. Gapiłam się w ekran, zerkając od czasu do czasu na Ewę. - Cholera - zaklęła zapalając papierosa - wiedziałam, że zrobi mi na

złość. Spójrz, jak się głupek ubrał do telewizji. W całym mieście będą plotkować, jaką to nieodpowiednią ma biedaczek żonę. Twórca właśnie opowiadał, co go zainspirowało do napisania sztuki i jak ją ocenia z dystansu lat. Była to bowiem młodzieńcza praca. Od jej napisania dzieliło go około dziesięciu lat. Teraz kamera ukazywała twarz reżysera; coś tam mówił, ale nie słuchałam, przypomniałam sobie dzień, kiedy przed kilkunastu laty Ewa przyszła po raz pierwszy do pokoju socjalnego dużej przychodni miejskiej, gdzie miała podjąć pracę jako pracownik socjalny. Było to tego dnia jedyne w miarę ogrzane pomieszczenie, gdzie można było chwilę posiedzieć bez szczękania zębami. Na dworze panował okropny ziąb. Na dźwięk otwieranych drzwi podniosłam głowę i ujrzałam dziewczynę w rozpiętym kozuchu, wysokich butach i czarnych spodniach. Ciemne włosy niedbale opadały po obu stronach twarzy - za mocno umalowanej, jak na mój gust. Zbyt nowoczesna i pewnie z tupetem - sklasyfikowałam niechętnie... To pewnie ta nowa.

Nowa dużo paliła i miała zniszczone, chociaż ładne w kształcie dłonie. Ostro ruszyła do roboty. Dostała na początek kilka paskudnie zaniedbanych środowisk. Widywałam ją rzadko, wpadała na chwilę, wypisywała jakieś papiery, wydzwaniała do różnych instytucji, wyklócała się o zapomogi dla swoich podopiecznych. Któregoś ranka, jak zwykle spóźniona, wbiegła do pokoju dźwigając jakiś worek. - To zabawki mojej córki - powiedziała widząc mój pytający wzrok - dla tych spod piątki na Wzgórzach. Znałam to środowisko - dzieci było tam co niemiara. Rodzice jacyś niezaradni, on w ogóle bez pracy, ona z dużym defektem narządu ruchu. - Te zabawki na pewno przydadzą się - pomyślałam. Poprzedniczka Ewy opowiadała mi często o tej rodzinie. Wszelkie zapomogi czy świadczenia w postaci dodatkowych przydziałów węgla wsiąkały tam jak w studnię bez dna. Próbowano kilkakrotnie załatwić pracę ojcu, ale - o dziwo - nie każda mu

odpowiadała. Kiedy w końcu zagrożono, że nie dostanie żadnej zapomogi, jeśli sam nie okaże dobrej woli, podjął zajęcie, nawet nieźle płatne, żeby porzucić je po kilku miesiącach. Podobno wolał być "przy dzieciach". Tak powiedział później na usprawiedliwienie. - Każdy by wolał - wzdychała socjalna. - Ale skąd ja im wezmę pieniądze na święta? Ręce mi opadają! Pani doktor, co ja mam z nimi zrobić? - pyta mnie.

Ewa zaczęła od przyniesienia dzieciom zabawek. Ciekawa byłam jej dalszego postępowania. Poznałam ją w tym czasie lepiej. Pod oparami dymu z papierosów, którym się stale otaczała, pod zbyt grubym makijażem, odkryłam nieprzebrane zasoby nieśmiałości, wdzięku, a przede wszystkim niemodnego i zapomnianego odruchu - zainteresowania drugim człowiekiem. Jej wygląd zewnętrzny, który stwarzał pozory dziewczyny nowoczesnej, nie poddającej się sentymentom, pozostawał w sprzeczności z zupełnie inną Ewą. Szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Miała ukończoną filologię polską i marzenia... Czytałam później kilka jej utworów. To były naprawdę dobre rzeczy. Miała niewątpliwie zdolności w tym kierunku. Po dyplomie wyszła za męża za kolegę z roku. Wydawał się być spokojny i zrównoważony. Jedną z jego zalet był fakt, że kochał się w Ewie od początku studiów i łąził za nią krok w krok jak wierny pies. Obiecywał po ślubie nosić ją na rękach. To ostatnie przyrzeczenie skończyło się z chwilą przeniesienia jej przez próg akademika, gdzie otrzymali mieszkanie z tej racji, że Krzysztof rozpoczął pracę na uniwersytecie. Trzeba przyznać, że był pracowity. Dużo publikował i zapowiadał się na niezłego prozaika. Ewa zajęła się domem i córką. Dusila się dosłownie i w przenośni w dwóch mikroskopijnych pokojach, zagraconych nadmierną ilością sprzętów. Kaszki, pieluchy, gary i Krzysztof. Nieporadny, misiowaty, zaczynający już łysieć. Zdawałoby się dobroduszny olbrzym, który nie potrafił zrobić najprostszych zakupów. Ale za to wściekle awanturował się o

wszystko: wieczny bałagan w domu, nie ugotowany na czas obiad, dziecko płaczące się pod nogami. I jeszcze brak warunków do pracy twórczej. Jego pracy, która była najważniejsza. W końcu Ewa nie wytrzymała, zmusiły ją do tego również warunki finansowe. Postanowiła podjąć jakiegokolwiek zajęcie. Trafiła do nas. Teraz siedzieliśmy obok siebie, gapiąc się na wystudiowany uśmiech spikerki i szczerą, dobroduszną twarz Krzysztofa - wschodzącej gwiazdy pióra. Twórcy, o którym się mówiło w tym roku najwięcej. Ewa paliła nerwowo drugiego papierosa. Reżyser roztkliwiał się właśnie nad urokami pracy z jej mężem. Nad jego autentycznym zainteresowaniem drugim człowiekiem (znów w kamerze twarz Krzysia, z lekko zażenowanym tymi pochwałami uśmiechem).

- Człowieka trzeba kochać - mówi na zakończenie, patrząc do kamery. Koniec. Rozpoczyna się sztuka.

- Mamo - pyta siedząca z nami córka Ewy - mammo, czy ty też jesteś człowiekiem?

*

Dorota nie była skora do wielkich uniesień. Spokój ceniła sobie ponad wszystko. Może dlatego, że ustawicznie żyła w atmosferze Wiecznego Zmartwienia. Mieszkały razem z matką w niewielkim domu z ogrodem. I już w nim piętrzyły się całe stosy problemów. Każdy krzak, każde drzewo miały przypisaną sobie jakąś troskę. Nie wspominając o warzywniku, który omotany biadoleniem matki, że w tym roku już na pewno nic z tego nie będzie, obrastał jakoś w marchew i pietruszkę. I to Dorotę cieszyło najbardziej. Że jednak mimo wszystko...

Dom, w którym mieszkały przez większą część jesieni i zimą, stanowił osobny temat do zamartwiania się. Każda rzecz, jeśli akurat nie była popsuta i spełniała rolę, jaka była jej przypisana, mogła przecież ulec jakiejś nieznaney

chorobie. Jak daleko sięgała Dorota pamięcią, w tym domu panował zawsze cierpki posmak zmartwienia. Matka od rana troskała się o coś, co może nastąpić wieczorem; o późne powroty ojca do domu, o brak czasu, o spadającą na dworze temperaturę.

Dorota najczęściej chroniła się w małym zakamarku za szafą, gdzie nie dosięgała jej duszna atmosfera Wiecznego Zmartwienia. Budowała sobie pogodny świat z wycinanek i szmacianych pajacyków. Najchętniej milczała. Matka czasem z niedowierzaniem zaglądała za szafę. - To dziecko nie odezwało się dzisiaj ani razu - mówiła do męża. - Może jest nienormalne? Z pasją zaczynała ubolewać nad nowym problemem. Dorota wychodziła zza szafy i dotykała jej fartucha. - Mamo - mówiła - nie martw się, ja jestem normalna.

Czasem marzyła sobie po cichu, że już od rana, no, powiedzmy od następnego tygodnia, wszystko ułoży się inaczej, lepiej. Ale kiedy przychodził termin tej zmiany, widziała znowu poirytowaną, zmartwioną twarz matki. I wszystko w jej wnętrzu nagle osuwało się, zmęczone wiecznym oczekiwaniem. - Mamo - pytała - czy tobie nigdy nie jest dobrze? Najcięższe chwile przeżywała jednak podczas chorób. - Znowu ma temperaturę - mówiła matka udreńczonym głosem. I dopiero po tych słowach, jak po ostatecznym wyroku, zaczynało się chorowanie. Trzeba było położyć się w sypialni na dużym łóżku rodziców. Drzwi do kuchni pozostawały otwarte, a lampa kuchenna razila niemiłosiernie i tak już umęczone gorączką oczy. Musiała mieć wysoką temperaturę, bo postać matki, jej kroki i trzask talerzy dochodziły do niej jak zza ściany. Właściwie było jej zupełnie dobrze, ciepło, maki podpływały łagodnie przenosząc ją na pogranicze jawy i snu. Tylko to uczucie winy, że znowu zmartwiła matkę... A potem, łykając pokornie gorące mleko z miodem, modliła się do swego anioła stróża, którego sobie wyobrażała jako wielkiego, białego ptaka: spraw,

żeby ta wstrętna temperatura spadła. Czasem przyjeżdżał Doktor. Pamiętała dotyk jego zimnej słuchawki. Potem długo mył ręce nie patrząc na nią. - Jest anemiczna - mówił do matki.

Rano rodzice wychodzili do pracy i Dorota zostawała sama w pustym mieszkaniu. Razem z nimi odpływało poczucie winy i zaczynała się czuć prawie dobrze. Karmiła pozostawioną na talerzyku kaszą swoją brudną, szmacianą lalkę, dziwiąc się, że tak mało je i wszystko wypluwa na koldrę. Czas mijał chyłkiem i niepostrzeżenie szybko. Do rzeczywistości przywoływał ją zgrzyt klucza w zamku i zimny nos termometru, który matka gestem nie znoszącym sprzeciwu wsuwała jej pod pachę.

*

Lipiec

Duży Pies jest chory, wymiotuje, ma smutne oczy. Przychodzi mi do głowy, że to może angina. Spróbowałam go badać i pod zuchwą namacałam zamiast węzłów chłonnych jakieś duże, kalafiorowate twory. Zbyt wiele takich przypadków widziałam wśród ludzi, żeby teraz nie domyślać się najgorszego. Brat wezwał weterynarza, który właściwie potwierdził moją diagnozę. Dodatkowo wysłuchał jakieś szmery w płucach i stwierdził podwyższoną temperaturę. Wypisał antybiotyk, który mu podaję co sześć godzin w kawałeczkach kiełbasy. Ale wiem, że się nawzajem oszukujemy. On łyka cierpliwie, żeby mi zrobić przyjemność. W oczach ma już wypisany wyrok.

Obojętnie, w jakiej pozycji leży przed swoją budą, stara się mieć zwróconą głowę w naszą stronę, jak gdyby chciał napatrzeć się na nas i zatrzymać w sobie ten obraz - całość rodziny skupionej w altanie.

W kilka dni później

Nie ma już Dużego Psa. To była białaczka. Pochowaliśmy go w końcu ogrodu, pod topolą.

Sierpień

Zupełnie niepostrzeżenie weszłam w ten miesiąc. Nawet nie zauważyłam, przygnębiona kłopotami z psem, że dni są coraz krótsze i o dziewiątej wieczorem robi się ciemno. Wczoraj, kiedy szłam przez miasto, powiał nagle wiatr i uderzył mnie w twarz niepokojącym zapachem wędnących liści. Coś mi to przypominało. Ach, tak. Tak się zaczyna jesień. I nagle piękny, złocisto-rudy kostium, który właśnie sobie kupiłam, zaciążył mi w rękę jak kamień.

... w nocy

Noc strasznej ulewy, kiedy myślałam, że wielkie, spadające krople wgniotą w ziemię dom. Oczywiście odżyły stare zacieki koło komina w pokoju u mnie i u mamy. I niezmiennie postanowienie, że coś z tym trzeba zrobić... Duszna, niedobra noc, lepkie powietrze klei się do ciała. Znowu ten koszmarne sen, że ktoś mnie ściga. Ukrywam się w piwnicy, która jest niska i nie mam w niej czym oddychać. Co za ulga, kiedy wreszcie nadchodzi świt. Wszystko wydaje się być mniej straszne.

*

Bywały dni, kiedy widywałam Gośkę codziennie. Przychodziła do mnie wieczorem i siadywałyśmy w kuchni na podłodze tamtego mieszkania, które w moim życiu było epizodem pozbawionym jutra. Prowadziłyśmy w tamtej kuchni niekończące się rozmowy, głównie mające na celu

podniesienie nas w swoich własnych oczach, nadanie naszej egzystencji jakiegokolwiek sensu. Komentowałyśmy do znużenia wydarzenia, osoby, które w nich uczestniczyły... To oczywiście nigdy do niczego nie prowadziło. Nie wyciągałyśmy z tego żadnych nauk czy wniosków, które mogłyby być konstruktywne. Przypominało to momentami widok psa, kręcącego się za własnym ogonem. Tkwiłyśmy od lat w kręgu tych samych osób i ich problemów. Ale głównie własnych niemożności wyjścia poza ten fatalny krąg. I tylko dziecko Gośki, które rosło i zmieniało się, było dowodem, że czas płynie. Nie działo się nic takiego, co usprawiedliwiłoby naszą obecność. Coś nam umykało, czegoś szukałyśmy...

Wieczorami niezmiennie siadywałyśmy obok siebie. Niedaleko - w zasięgu wzroku - poniewierały się tubki farb, oparty o ścianę stał wiecznie niedokończony i nieudany obraz. Bałyśmy się spojrzeć sobie w oczy i powiedzieć, że to naprawdę nie ma sensu.

*

Donald już poprzedniego wieczora nie czuł się dobrze, bolały go mięśnie i miał dreszcze. Składał to jednak na karb przemęczenia - miał za sobą kilka wyczerpujących wypraw w nieznanne dzielnice miasta. W nocy poczuł się jeszcze gorzej, kręciło mu się w głowie, a kiedy wstał z pościeli, ugięły się pod nim łapy. Miauknął przestraszony, powinien chyba poszukać Pani. Przypomniawszy sobie jednak, że wczoraj nie był wobec niej grzeczny - po pierwsze kaprysił przy kolacji i to raczej z głupoty niż ze złej woli - usprawiedliwił się w myślach. Po drugie nabrudził w holu. Po trzecie - umyślnie udał, że nie słyszy, kiedy Pani go wołała. Ale to wyłącznie wina imienia. Nie miałby nic przeciwko nawet tak pospolitemu jak Mruczek. Ale Donald?! Widział błysk ironii w oczach innych kotów, kiedy onegdaj Pani wołała go na podwieczorek. Przeciągnął się. Ale zamiast rozkoszne-

go uczucia, które towarzyszyło powyższej czynności zawsze, teraz poczuł tylko nieznośny ból. Łapy miał drętwie i jakieś nieswoje. Postanowił jednak doczekać rana, przez chwilę wiercił się na pościeli, zanim znalazł dogodną pozycję. Dotknął jeszcze łapką nosa. Był ciepły. Pewnie mam temperaturę - pomyślał i zapadł w pełen majaków, gorączkowy sen.

Ranek nie przyniósł poprawy. Pani potrzasała nim dobrą chwilę, zanim otworzył oczy, podsunęła mu pod pyszczek miseczkę z ciepłym mlekiem, ale kiedy nie chciał jeść, zaniepokoiła się wyraźnie. - Donaldzie, jesteś chory - orzekła i Donald w tej samej chwili poczuł się prawie umierający, wiedział bowiem, co teraz nastąpi. I rzeczywiście, nie pomylił się. Pani wyjęła z szafy sporych rozmiarów wiklinowy koszyk, na dno którego położyła różowy kocyk. - Różowy! - zatrząsał się z obrzydzenia kot. Następnie zniknęła na górze, chcąc zapewne się przebrać. Trwało to całe wieki, ale kiedy wreszcie znów się pojawiła, spojrzał z uznaniem. Jej twarz, zwłaszcza okolice oczu, przypominały mu mgliście pyszczek pewnej kotki, którą znał dawno temu, a której imienia ani rusz nie mógł sobie przypomnieć. Myślał o tym chwilę, dopóki nie został dość gwałtownie ułożony w koszyku. Miauknął urażony, przecież można trochę uważać! Pani spojrzała przeprasząco. Westchnął. Znał przyczynę jej roztargnienia i kociego wyglądu: była nią osoba weterynarza. Pani miała do niego wyraźną słabość - zachowywała się w jego obecności tak, że Donald czuł się zażenowany. Czasami odnosił wrażenie, że właścicielka cieszy się z jego chorób, bo to daje jej możliwość częstszego widywania tego indywiduum. Tak odczucie przecież cisnęła go do koszyka, nie bacząc jaki jest cierpiący. Znowu westchnął...

Lecznica była tuż, tuż. Już z daleka poznawał wstrętny zapach środków dezynfekcyjnych, które przyprawiały go o torsje. Chociaż musiał bezstronnie przyznać, że mogły na to mieć wpływ te tłuste odpadki, którymi raczył się obficie

wczoraj na tyłach restauracji. W poczekalni siedziało już kilku pacjentów. Ogarnął wzrokiem całe towarzystwo. Na szczęście nie było żadnego psa, tylko dwa koty i jakieś ptactwo w klatce (ślina napłynęła mu do pyszczka). Oczywiście jego wejście zrobiło jak zwykle spore wrażenie, ale był do tego przyzwyczajony.

Pani usiadła i poprawiając nerwowo włosy założyła nogę na nogę. Donald nie lubił tej pozy - uniemożliwiła zajęcie miejsca na kolanach. Zrezygnowany ułożył obolałe ciało w koszyku i stęknął. Pani pochyliła się natychmiast. - Cicho złotko, jeszcze chwileczkę - szepnęła i ułożyła wymalowane usta w serduszko. Ale kot już nie słuchał. Zasnął zmęczony wrażeniami.

Obudził się dopiero w gabinecie lekarskim. Rozmowa, którą słyszał, musiała toczyć się od dłuższego czasu, uniósł głowę znad koszyka i wyteżył słuch. - Po cóż trzymać takiego starego kocura? - mówił weterynarz wwiercając się w Panią spojrzeniem. - Znajdziemy coś młodszego, ładniejszego - kontynuował głosem lepkim i ociekającym słodyczą. Donald wzdrygnął się z obrzydzenia. - No więc, jak będzie? - biały kitel robił się natarczywy. - Pozwolę sobie któregoś wieczoru przynieść pani ślicznego małego kociaka - teraz głos przeszedł w szept - a tego tutaj... Donald nie usłyszał, ale i tak miał dosyć. Pociemniało mu w oczach z wściekłości i żalu. Miauknął rozzwierając, wyskoczył z koszyka i w paru susach znalazł się na kolanach swojej właścicielki. Przytulił się do niej, a serce waliło mu jak oszalałe. - Donaldzie! - krzyknęła przestraszona, a on drżąc cały patrzył na nią tak smutno i wymownie, że wreszcie pojęła... Przycisnęła go do siebie mocno, o wiele za mocno i zawołała głośno - Biedaku, myślałeś, że mogłabym cię zostawić?! Jak mu serce bije, biedny kociak. Rozczulona włożyła go z powrotem do koszyka. Donald westchnął z ulgą i nawet bez specjalnego wstrętu zagrzebał się w różowy kocyk. Indywiduum w białym kitlu zbliżyło się niebezpiecznie. - A te proszki, dwa razy dziennie. Za kilka

dni powinien być zdrowy jak ryba - jego głos był już normalny, bez tej lepkiej słodyczy. Wręczył Pani jakąś torebeczkę i wyciągnął rękę do koszyka. - Dobry kotek, ładny kotek - wycodził uprzejmie. Donald zjeżył się cały, pazury poruszyły się nerwowo. - Psy ci leczyć konowale, a nie koty - pomyślał i mruknął gniewnie, rzucając mu pełne nienawiści spojrzenie. - Strasznie nerwowy ten kotek - rzucił jeszcze weterynarz na odchodne. Pani zamknęła drzwi, może trochę zbyt gwałtownie. Widać i ją ubodła ta uwaga. - No jak ci, malutki, jeszcze drżysz? - troskliwie otuliła go kocem. Rzeczywiście, pomimo iż niebezpieczeństwo minęło, cały dygotał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak naprawdę niewiele brakowało, żeby został za tymi drzwiami na zawsze. Gdyby nie ta komedia z przytulaniem i patrzeniem w oczy, mógłby źle skończyć... Jego miejsce zająłby inny - ładniejszy, młodszy. Był coraz bardziej rozżalony - tyle lat znoszenia kaprysów Pani i tego głupiego imienia. Nie było mu lekko! Czuł, że jego świat, bezpieczny i syty, nagle rozpadł się na kawałki. Bo przecież kto wie, czy za jakiś czas, kiedy już będzie stary, pani nie zapuka do białych drzwi?...

Wiedział, że nadszedł czas podjęcia decyzji. Zbliżali się do domu i kot zaczął niespokojnie kręcić się w koszyku. W wyobraźni ujrzał zaplecze restauracji pełne brudnych śmietników i skrzywił się z niesmakiem. Potem jednak przyszła mu na myśl ta kotka, której imienia nie mógł sobie przypomnieć... Wyskoczył na chodnik. - Donaldzie! - krzyknęła Pani. Ale on oddalał się już dużymi susami i w chwilę potem zniknął za rogiem.

*

Dzień wstawał z trudnością, otrząsał się z obrzydzeniem z lepkiej, nocnej mgły. Zofia patrzyła przez okno na te zmagania, walcząc z sennością. Wyrzucała z siebie

resztki niemiłych wrażeń sennych, równie przykrych, jak wdzierająca się na ich miejsce rzeczywistość. Złe jest zaczynać dzień od takich uczuć - to wiedziała na pewno.

W wystygłej kuchni uderzał w nozdrza, jak codzień, zapach wczorajszego tłuszczu, jedzenia i czegoś tam jeszcze, równie przykrego, przetrawionego na swój sposób przez noc. Potem płomyk gazu, kawa, jej aromat - jedyne atrybuty dnia nie budzące sprzeciwu. Z pokoju sąsiadującego z kuchnią dały się słyszeć te same jak co ranka odgłosy. Znała je na pamięć: szuranie kapciami, zgrzyt łóżka. Skrzyknięte drzwi i do pomieszczenia wszedł stary, pomarszczony człowiek. Pojękując i garbiąc się podszedł do stołu. - Co ci jest? - zapytała i wiedziała z góry, co jej odpowie. - Wszystko mnie boli, gardło, serce, kości, wszystko - mówił niemiłym, kłótliwym głosem. - To może nie pij na czczo takiej mocnej kawy - powiedziała widząc, jak wysypuje do szklanki dwie czubate łyżeczki czarnego proszku. - I tak niewiele mi zostało - zaskrzypiał. Wyjęła leki z apteczki i położyła przed nim na stole. - Może położysz się po śniadaniu? - zapytała z nadzieją, że to coś zmieni. Wiadomo było zresztą, że postąpi na przekór jej poleceniom. - Jeszcze się należą - usłyszała w odpowiedzi.

Czasami nie mogła opanować fali zniecierpliwienia, które sobie potem wyrzucała. Przecież potrafiła wykrzesać z siebie więcej dobrej woli w stosunku do swoich pacjentów. Nie mogła pojąć przewrotności tego zjawiska.

*

- Doskonale wyglądasz - powiedział mój kolega, który po kilkunastoletniej nieobecności powrócił do kraju. Uśmiechnęłam się do siebie, nie widzieliśmy się od piętnastu lat - policzyłam szybko - następnym razem już nie usłyszę od niego takiego komplementu. Spotkanie miało

się ku końcowi, jeszcze tylko obietnice, że się zdzwonimy, że napiszemy... jak to zwykle. Rzeczywistość nie pozostawiała czasu na sentymentalne podróże w przeszłość, a przecież tyle rzeczy jeszcze chciałabym o nim wiedzieć. Niesamowite przygody, o których tylko zdążył nam napomknąć, pobudziły moją wyobraźnię. Roilo się w nich od pachnących egzotyką krajobrazów i nazw: Gujana, Samoa, Australia. Do domu dotarłam o północy. Następnego dnia obudziłam się z bólem głowy - całą noc śniłam o jakiejś wyspie na końcu świata, tubylcy pokrzykując tańczyli przy ognisku. Pamiętam prawie namacalnie ciepły i miękki piasek plaży, palmy i pluskanie fal. Z trudem wydostałam się na powierzchnię dnia. Powitała mnie znajoma plama na suficie. - W tym miesiącu znów nie stać cię na tapetę - powiedziałam głośno, ale bez zwykłej niechęci. Tasmania, Polinezja - kotłowało się pod czaszką, kiedy szłam do pracy omijając wyrwy w chodniku. Później, wieczorem, sięgałam po mapy i atlasy, żeby odbyć swoje własne podróże. Moja babska wyobraźnia dopisywała do nich niejako na marginesie cały wątek fabularny.

Dni toczyły się szybko, nie widziałam mego kolegi ani razu, ale dziwnie mi to nie przeszkadzało. Tego popołudnia miałam przenieść się do Gujany, kiedy zadzwonił telefon. Zanim usłyszałam głos w słuchawce, wiedziałam, kto dzwoni. Zaproponował spotkanie w jedynej kawiarni w mieście. Gorączkowo przymierzałam ciuchy przed lustrem, a czas włókł się niemiłosiernie...

Siedział naprzeciwko, wygodnie rozparty w fotelu, krzywiąc wargi w uśmiechu, a może uśmieszku. Obserwował mnie. - Co robiłaś przez te piętnaście lat? - zapytał nagle lekkim tonem, jakby chodziło o wybór wina. Skuliłam się w sobie. Moje kilkanaście lat patrzyło z wyrzutem - mdłe, długie pasmo rzuconych w niepamięć dni. Zaczęłam coś tam bąkać, ale mój rozmówca zmienił temat. Poraziła mnie prawda, że nie interesuje go ani jeden dzień mojego życia. Rozejrzałam się naprędce po tym swoim

życiorysie, nudnym i zakurczonym, pokrytym szarym pyłem przejeżdżających ciężarówek, powleczonej nudą niedzielnych popołudni małego miasteczka. Wysiadujące resztki swoich dni staruszki... - Jesteś daleko stąd - zażartował mój rozmówca. Uśmiechnęłam się wdzięcznie. - Opowiesz tak zajmująco, że prawie jestem tam z tobą - wdzięczyłam się dalej. - To kiedy wyruszamy? - zapytał rozbawiony. - Pozwolisz, że uporządkuję kilka spraw - starałam się utrzymać lekki ton rozmowy. - Opowiedz mi o Gujanie - podrzuciłam mu temat.

Moje myśli nadal zaprzętało pytanie o piętnaście lat mojego życia. Znow ujrzałam pokój ze stosami książek po tysiącokrotnie przeczytanych, stare pianino, na którym nikt nie grał. Czas przepływał tylko za oknami. - Jak mogłam zmarnować tyle dni? - myślałam ze zdziwieniem. - A co mogłaś innego zrobić - zarechotała bezzębna starucha z obrazu Goyi - zawsze wszystkiego się bałaś, tu masz przynajmniej poczucie bezpieczeństwa, no, na razie - dodała złośliwie. - Idź do diabła - wrzasnęłam do niej - nie wiesz głupia, że każdy ma swoje pięć minut w życiu? W odpowiedzi uśmiechnęła się jadownicie i dodała, że pięć minut mija szybko. Ale już jej nie słuchałam... - Co z tobą? - dobiegło z oddali. - Właśnie pytam, czy napijesz się jeszcze wina? - zapytał z wyraźnym wyrzutem. Bębnił palcami po stole - dyskretnie zerkając na zegarek. - Wybacz, tyle mam do załatwienia - rzucił przepraszająco. Wyszliśmy na ulicę i wyjątkowo dzisiaj poraziła mnie jej brzydota. - Muszę iść, ale oczywiście będziemy w kontakcie - powiedział bawiąc się pasemkiem moich włosów.

W niedzielne, nudne popołudnie spotkałam Marię. Plotłyśmy głupstwa o znajomych. Kluczyłam długo, żeby wreszcie zapytać o naszego kolegę. - Jak to, nie wiesz, że wyjechał? - spytała zdziwiona. Gdzieś na dnie jej zdziwienia czułam całe pokłady złośliwej satysfakcji. - Właściwie nigdy go nie lubiłam - powiedziałam lekko. Wraciałam zakurzoną ulicą, mijając uwieszone na płótkach sąsiadki. - Tych pięć minut minęło rzeczywiście bardzo szybko - pomyślałam.

Haneczka umarła nagle. Jak to się mówi - z marszu. Na pogrzebie było niewiele osób; przez ostatnie kilkanaście lat Haneczka nie utrzymywała z nikim bliższych kontaktów, nikogo do siebie nie zapraszała, do nikogo nie chodziła. Rozumiałyśmy jej sytuację domową, współczuliśmy i czasem któraś proponowała pomoc. Nawet kiedyś Marylka - najmłodsza z naszego zespołu - usiłowała zastąpić Haneczkę przy ojcu, kiedy ta miała dyżur. Następnego dnia powiedziała, że więcej tam nie pójdzie. Starszy pan, po wylewie, który zresztą pozostawił niewielki ślad, poruszał się po mieszkaniu bez wielkiego wysiłku, był jednak apodyktyczny, zrzędlawy i nudny, a poza tym ponad miarę złośliwy. I właśnie ta jego ostatnia cecha, a nie co innego, wykończyło Marylkę zupełnie. Ojciec Haneczki całe życie dbał o swoje zdrowie, zasłuchany we własny organizm, popadał w panikę przy najmniejszym odchyleniu. Często przesiadywał w poradni, czasem nawet po wizycie u lekarza pozostawał na korytarzu wśród innych chorych, gdzie znajdował słuchaczy. Wylew był zaskoczeniem dla obojga, zwłaszcza dla Haneczki. Zmęczona, przepracowana, czuła sto tysięcy różnych dolegliwości, których nie miała czasu leczyć, sądziła więc, że to ona raczej... Nie spodziewała się też, że ojciec, zamieszkujący prawie przychodnię, przeoczy jakiś objaw. Ona sama mierzyła mu ciśnienie kilka razy w tygodniu.

Wtedy zaczął się dla niej najcięższy okres, kilka razy dziennie dźwigała ojca z łóżka na fotel, zmieniała pościel, poprawiała poduszki, gotowała zupki, przecierała jarzyny, podawała basen. Czasami chwytaly ją silne bóle w okolicy wątroby, ale nie miała czasu się nad tym zastanowić. Po prostu brała kolejną tabletkę. - Pewnie się podźwignęłam - mówiła lekceważąco. Po pracy pędziła na złamanie karku do domu. Od kiedy stan ojca poprawił się

na tyle, że mógł chodzić po mieszkaniu, czekały tam na nią różne niespodzianki. Poprzewracane przedmioty, potłuczone naczynia. - Tato - pytała zrozpaczona - po co ruszałeś naczynia, przecież masz wszystko przygotowane w lodówce? Czasami popadała w całkowite przygnębienie porządkując od nowa mieszkanie, układając wszystko na swoje miejsce. Zdumiewało, do jakich zakamarków potrafił dotrzeć, jak dawno zapomniane rzeczy powyciągać. Wieczorem padała zmęczona na krzesło, żeby za chwilę poderwać się i zacząć gotowanie na następny dzień.

Pamiętam, jak Haneczka zaprosiła nas kiedyś na kawę. Podczas rozmowy zauważyliśmy, że drzemie... Po chwili z pokoju zawołał ojciec. Pobiegła Marylka. Udając, że jej w ogóle nie widzi, nadal gromkim głosem wołał córkę. Chciał, żeby mu włączyła telewizor. - Przecież ja mogę to zrobić - wyjąkała Marynia - Haneczka jest taka zmęczona. - Taki już jej los - powiedział starszy pan, po czym trzasnął rozszłoszczony drzwiami.

Minął rok od tamtego wydarzenia. Popychałyśmy przed sobą kolejne kłopoty, wypijałyśmy codzienną kawę licząc, że z każdym łykiem wstąpi w nas odrobina energii i pozwoli we względnie dobrej formie dotrzeć do końca pracy. Hanka wpadała spóźniona, blada, bez makijażu. - Wybaczcie - mówiła zdyszana od progu. Wybaczaliśmy. Nakładała przed lustrem pomadkę, przyglądała się sobie krytycznie i zrezygnowana machała ręką. Trzeba przyznać, że z dnia na dzień była coraz bardziej przeźroczysta. - Jak twoje bóle brzucha? - pytałyśmy czasem. - Idź do lekarza - prosiłyśmy, widząc jak bierze trzecią tabletkę. - Nie mam dzisiaj czasu - mówiła zwykle - wiesz co by było, gdybym na czas nie wróciła po pracy do domu. Ojciec poprzestawiałby chyba wszystko w domu. - To silny staruszek - wyrwało się Marylce, ale umilkła szybko, skarcona naszym spojrzeniem.

Przed świętami Haneczka wzięła kilka dni wolnego, co u nikogo nie wzbudziło zdziwienia. I tyleśmy ją widziały.

Wprowadzenie odpłatności za leki utrudniło nam niesłuchanie życie. Ktoś genialnie skomponował spis, zawierający chemiczne, a nie handlowe nazwy leków. Zmusza to nas często do szukania w innych źródłach. Później należy wypisać każdy lek na osobnej receptce. Płyną minuty, wydłuża się czas przyjmowania pacjenta. Gęstnieje tłum na korytarzu. - Nie można by szybciej? - pyta zniecierpliwiony pacjent, kiedy po raz kolejny wertuję spis. Do licha! Tego leku nie ma ani w preparatach podstawowych, ani w uzupełniających, musi być chyba płatny na sto procent. Idę do koleżanki, która przyjmuje w sąsiednim gabinecie, sprawdzamy jeszcze raz. Upewniam się, że na sto procent. Teraz pacjent jest zdenerwowany, zapewniam więc, że nie powinien drogo zapłacić. - Dla pani to może nie jest dużo, ale dla mnie jest, proszę - to mój ostatni odcinek renty, jak mam przeżyć z tego do końca miesiąca i jeszcze czynsz zapłacić? Szukam zatem czegoś tańszego. Upływają minuty. Nagle drzwi otwierają się gwałtownie. - Ile można czekać? Pogaduszki sobie urządzacie! - prawie krzyczy jakaś kobieta. Wypisuję wreszcie leki. - Następny proszę! Wchodzi cały tłumek, kłócąc się w drzwiach o pierwszeństwo. Nie interweniuje, niech to załatwią między sobą, żeby nie było, że kogoś faworyzuję. Zresztą nie mam siły. Na przyszłość postanawiam zrobić sobie ściągę, żeby nie miotać się po spisach.

Około dwunastej robię przerwę. - Chcesz coś zobaczyć? - pyta koleżanka. Schodzimy obie na parter. W holu jakies zgromadzenie. Początkowo nie bardzo rozumiem o co chodzi. - Tam, na lewo - mówi Ewa. Rzeczywiście, pod ścianą stoi staruszek, a wokół niego kłębią się ludzie - wśród nich kilku z moich niedawnych pacjentów, w rękę nie zrealizowane recepty. Znachor wygląda niechlujnie: długa, siwa broda, włosy w strąkach, poplamiony płaszcz. Okro-

pność! Właśnie zabiera się do uzdrawiania jakiejś kobiecin. Dotyka jej głowy, brzucha i coś tam mamrocze pod nosem. Nie słyszymy, bo stoimy za daleko. Po skończonej "kuracji" kobieta wciska mu coś do ręki, domyślam się, że pieniądze. - Jak sądzisz, ile pobiera od głowy? - uśmiecha się Ewa. Na końcu kolejki stoi moja pacjentka, ta, która awanturowała się, że za wolno przyjmuje. Tutaj stoi spokojnie. W pewnym momencie podchwytuje mój wzrok i spuszcza oczy... - Przydałaby się codziennie taka konkurencja, miałybyśmy mniej pracy - mówi marzycielsko moja koleżanka.

Trzynasta, można zejść do sklepiku w piwnicy po zakupy. Rozmieniam ostatnie 100 tysięcy, a przecież dopiero piętnasty. Zastanawiam się, od kogo pożyczyć. Ale pewnie i tak skończy się na pani Michalinie, mojej sąsiadce. Michasia "trzyma kiosk" z warzywami. Z jej córką przyjaźniłam się w ogólniaku. - Wpierw to sobie mówiłam - nie dojem, nie dośpię, a dzieciśka wykształcę - rozpoczyna monologować pani Michalina - ale teraz to nie wiem, czy warto było. Patrzy na mnie z powątpiewaniem. - Niby doktorka jesteś, ale taka jakaś mizerna i co to za jedzenie w tej szpitalnej kuchni! Do cna wychudniesz. A i nie dośpisz pewnie. Co warte takie życie? Przytakuję, że w istocie ma rację. Ale myślami jestem gdzie indziej. - Ot, przyjdź do mnie do kiosku, postoisz na świeżym powietrzu, nie umęczysz się, a na swoje wyjdiesz. To jak, umowa stoi? - pyta i wie, że nic z tego nie będzie.

*

Jeszcze raz wróciła pamięcią do dnia, kiedy dowiedziała się o tej strasznej rzeczy. Lekarka miała zmartwione oczy i długo z nią rozmawiała. Na początku przyszło jej do głowy, że to pomyłka, na pewno pomyłka i przez chwilę słuchała tej miłej pani doktor z uprzejmą miną, tak jak

się słucha opowieści nieszkodliwego wariata. A potem nagle poczuła, że zapada w jakąś obcą, okropną rzeczywistość, która od dziś miała być jej udziałem. Skuliła się w sobie, spokorniała. I teraz zapragnęła pozostać jak najdłużej w zasięgu życzliwych słów, gdyż czuła, jak powoli ogarniają ją zimne macki strachu. Trzeba było jednak kiedyś wyjść. Stała potem na przystanku czekając na autobus, który nie nadjeżdżał. Otaczał ją coraz większy tłum ludzi. Złapała się na tym, że jest pełna wrogich uczuć wobec tej ludzkiej masy. Wykluwały się one gdzieś poza nią, prawie bez jej świadomego udziału, pewnie jako wyraz buntu przeciwko temu, co ją spotkało. To było dziwne i niepokojące. - W końcu nie są winni, że choroba wybrała właśnie mnie, ale jednocześnie żywię do nich niechęć - myślała - jakie to typowe, jakie książkowe. Skrzywiła się z niesmakiem. Nadjechał autobus. Wyjątkowo nikt jej nie popychał i nawet znalazła wolne miejsce przy oknie. Siedzący naprzeciwko mężczyzna przyglądał się jej badawczo. Odruchowo chciała poprawić włosy, ale nagłe poczucie niedorzeczności tego gestu kazało jej zatrzymać rękę w połowie czynności. Opuściła ją na kolana. Może zbyt gwałtownie. - Przepraszam, czy pani źle się czuje? - zapytał ten z naprzeciwka. - Proszę dać mi spokój - odpowiedziała opryskliwie, natychmiast tego żałując. Miała zamiar nawet bąknąć jakieś przeprosiny, ale mężczyzna już wysiadł. Było jej trochę głupio. - Jestem chora - burknęła w duchu na swoje usprawiedliwie. I świadomość nieszczęścia zwała się na nią od nowa.

*

Lipiec, Saint Lambert Du Lattay. Francja.

Wczorajszy pechowy dzień, powikłany dodatkową awarią autokaru, dobiegł wreszcie końca. O trzeciej nad

ranem, nieprzytomne ze zmęczenia, usiłujemy rozbić namiot na campingu. Śledzie nie chcą wchodzić w ziemię, która wydaje się być twarda i nieprzychylna naszym poczynaniom. - Francja nie chce nas przyjąć - żałuję. Halina patrzy na mnie ze złością. Biedulka i tak jest dzielna. Od kilku godzin boli ją brzuch, bierzemy pod uwagę wszystkie możliwości, łącznie z zapaleniem wyrostka robaczkowego. Na razie jedynym lekarstwem będzie kilka godzin snu. Wszystkie leki zostały głęboko w bagażach.

Budzę się około dziewiątej. Cały obóz jeszcze śpi, wynoszę z namiotu koc i układam się pod francuskim niebem. Cudownie. Z dali słychać dzwon z pobliskiego kościołka, jest niedziela. Spoglądam w tamtą stronę. Jak na dłoni widać małe miasteczko, wszystkie domki w kolorze białym, o szczelnie pozamykanych okiennicach. Wyglądają jak twarze z zamkniętymi oczami, wystawione do słońca. O dziesiątej wyjeżdżamy do Angres. Po południu, nieludzko zmęczeni, bierzemy jeszcze udział w degustacji win. Odbывают się tutaj wielkie regionalne targi, połączone ze sprzedażą promocyjną różnych gatunków, produkowanych na tym terenie. Odbывает się wielki festyn z mnóstwem imprez. Wstępują w nas nowe siły. Sprzedawcy nalewają wskazany gatunek do wysmukłych kieliszków, a wino jest wyjmowane z lodówek. Mój Boże! Jak ono smakuje. Zwłaszcza, że popołudnie jest upalne. Zimny, aromatyczny płyn usuwa wszelkie zmęczenie. Halina natychmiast kupuje butelkę doskonałego w smaku Cabernet d'Anjou. Ja, jak zwykle, nie mogę się zdecydować od razu. Degustujemy dalej... Humor poprawia się z minuty na minutę. Halinę nawet brzuch przestaje boleć.

Na podium występuje właśnie jakiś szkocki zespół ludowy. Przychodzi mi do głowy, że jednak mężczyźni korzystniej wyglądają w spodniach.

Jak okiem sięgnąć - mrowie ludzi, wszyscy lekko podnieceni, nie wiem, czy bardziej festynem, czy degustacją. Oglądamy jeszcze rozliczne stragany z ludową twórczo-

ścią i wracamy do win. Decyduję się jednak na Cabernet d'Anjou, ale ani miłego sprzedawcy, ani stoisk nie możemy odnaleźć. Zapadły się jak pod ziemię. Halina unosi triumfalnie swoją butelkę. Kompletnie wyczerpani wracamy na camping. Po chłodnym prysznicu wyciągam się pod namiotem. Jutro Paryż!

Lipiec, Angers. Francja.

Jest nieznośnie gorąco. Postanawiamy pojechać na plażę miejską w Angers. Woda jest tak ciepła, że nie przynosi ulgi. Mimo to pozostajemy w niej tak długo, jak się da. Potem lokujemy się na trawie pod drzewami. Obok mnie rozsiadła się grupka młodych Francuzek. Spoglądamy na nie ukradkiem: czarne, jednoczęściowe kostiumy, blade, nie opalone ciała (opalenizna już przestaje być modna). Zwłaszcza jedna z dziewcząt rzuca się w oczy. Ma ciemne, gładko szesane za uszy włosy, bladą, matową twarz nie tkniętą makijażem. Jest piękna i naturalna.

*

Kiedy oglądam się wstecz, wydarzenia, im bliżej linii horyzontu, piętrzą się i kumulują. Ale przecież wiadomo, że bywały dni, ba nawet całe kwartały życia, uspięne i jakieś nieistotne. Budzące teraz niesmak i poczucie straconego czasu. Co się wtedy robiło i myślało? Z jakimi ludźmi było? I jakie nieprzyjazne zegary liczyły mi wtedy czas...

*

Stary umierał długo, co chwila zapadając w sen-nie sen. Przed oczami pojawiały mu się sceny dawno minione, jakieś urywki rozmów, fragmenty twarzy, ale nie potrafił

powiązać tego w logiczną całość i to go najwięcej męczyło. Potem nagle wracał do rzeczywistości i widział pochylone nad sobą twarze dzieci, przygarbioną, zapłakaną żonę siedzącą na taborecie. Pojawił się ktoś w białym fartuchu i poczuł lekkie ukłucie. Chciał krzyknąć, żeby mu dali spokój, żeby zostawili, poruszył nawet ustami, ale zdołał z nich wypchnąć jedynie westchnienie. Dał więc spokój. Znowu zanurzył się w półsen.

Tymczasem w sąsiednich pokojach wszczął się ruch. Przywieziono z miasta wędliny i alkohol. Stypa miała być jak się patrzy. Taki był zwyczaj. Córka pożyczyła obrusy u sąsiadów, zmieniła w oknach firanki i wysprzątała mieszkanie. Stara bowiem przez ostatnie pół roku nie miała głowy do takich rzeczy. Przychodzili znajomi gospodarze, aż dziw, że tyle przychodziło. Przedtem Antoni żył raczej samotnie, odgradzony od świata swoją głuchotą. Ale teraz było tłoczno. Co chwila ktoś pukał do drzwi. Oczami pytał od progu siedzącą pod piecem córkę - czy to już? - Proszę wejść - odpowiadała i otwierała drzwi do sypialni, gdzie na łóżku, wśród paradnych poduszek, leżał stary. Gość przystawał nieśmiało. - Boże - myślał - co się z tym starym porobiło, taki wysuszony i malutki. A głośno, z udawaną wesołością, wykrzykiwał: Cóż to Antoni, wstydu doprawdy nie macie, wiosna za pasem, a wy słabujecie? Stary nie odpowiadał. Nawet nie otwierał oczu. Może nie mógł, a może nie chciał. Córka ciężko wzdychała pod piecem.

Mijały dni, minał nawet tydzień. Posypało ostatnim śniegiem tej zimy. Zasypało obojście. Córka musiała pójść do pracy - skończył się jej urlop. Tylko nielitościwe pielęgniarki z Ośrodka Zdrowia przyjeżdżały dwa razy dziennie i kłuły wychudzone ciało Antoniego. Szukały zapadniętych w bezkrwistym ciele żył. - Zostawcie go w spokoju, dajcie mu umrzeć - prosiła stara. - Babciu, co też wy mówicie, trzeba ratować - obruszała się ładna pielęgniarczka. Kręciła się jeszcze chwilę i wyjeżdżała do innych chorych. Robiło się cicho i straszno. Stara kulila się przy

piecu. Bała się nadchodzących ciemności. Ale w końcu śmierć okazała Antoniemu serce. Zabrała go w nocy, cichutko. A potem potoczyło się już wszystko utartym trybem. Zapłakały sąsiadki, westchnęli sąsiedzi. Stary leżał w trumnie zasypany kwiatami. Na cmentarzu przemówił ksiądz. I zdumiał wszystkich. Powiedział bowiem, że gdyby miał jeszcze raz przeżyć życie, to chciałby je przeżyć właśnie tak, jak Antoni. Bo cichy żywot Antoniego był godny i piękny. - I uczciwy - dodał księżulo i potoczył wzrokiem po obecnych. - Powiadam, uczciwy, co się dzisiaj rzadko zdarza. I umarłeś Antoni, jak na żołnierza przystało. Cicho i bez jęków. Niewielu znałem takich ludzi jak ty. Żegnaj, Antoni - ksiądz zakończył, zwracając się w stronę trumny i po jego rumianej twarzy stoczyła się łza. Wielka jak groch. Widoczna nawet dla tych, którzy stali dalej. Zdumieli się wszyscy po raz drugi i poczuli się tak, jak gdyby przyszli na pogrzeb zupełnie nieznanego im osoby.

*

Talar był psem nieładnym. Pozbawionym nawet owego szczególnego wdzięku, jaki posiadają czasem brzydkie, nierasowe kundle. Nie potrafił również być przymilny i rzadko okazywał w widoczny sposób swoje uczucia. Była to po części wina Hanuli, jego właścicielki. W jaki sposób los zetknął ich razem - trudno powiedzieć, a zresztą było to tak dawno, że żadne z nich o tym nie pamiętało. Hanula mieszkała w wynajętym pokoju. Gospodarzami małego drewnianego domku, w którym owo pomieszczenie wynajmowała, byli Pan i Pańcia. Tak przynajmniej Talar o nich myślał. Nie przepadał za ich towarzysztwem i nie żywił do nich cieplejszych uczuć. Zwłaszcza do Pana, który był mrukliwy i często wypędzał go z przytulnej sieni, stosując przy tym niebolesne, ale upokarzające trzepnięcie po ogonie. Pańcia natomiast była towarzyska i często zaczęła

go w przejściu, coś tam pogadując. Z modulacji głosu Talar wyczuwał, że jest mu przychylna. Zatrzymywał się więc na chwilę, ale tylko na tyle, ile wymagało dobre wychowanie i patrzył jej z uwagą w oczy. - Dobry piesek - kończyła zwykle swą tyradę Pańcia i Talar ruszał dalej. Przeważnie chodził na długie spacery po sąsiednich ulicach, starał się przy tym nie mieszać w bójki, bo nie przepadał za rękoczynami, poza tym nie uznawał przemocy. Z Hanulą wypracowali sobie przez lata układ o wzajemnej tolerancji, żadne nie wchodziło drugiemu w drogę. Spotykali się dopiero wieczorem, jedli razem kolację i szli spać. Jedzenie było przeważnie z puszek, Hanula była za stara na gotowanie i zbyt leniwa, a Talar przyzwyczał się i nie grymasił. Zresztą wiedział, że na nic innego nie może liczyć. I żyli sobie spokojnie, jeśli nie liczyć drobnych, zupełnie nieistotnych sprzeczek. Zdarzały się co prawda i grubsze awantury, ot, chociażby jak ta w maju, kiedy nie wrócił na noc do domu przez kilka dni. Hanula długo się dąsała, ale w końcu sprawa przyschła i wszystko wróciło do normy. Przyczyną tej awantury była niejaka Rudzia. Ostatniej wiosny Talar zapłonął do niej krótkim, acz gwałtownym uczuciem. Było to dosyć dziwne, bo przecież ani przedtem, ani potem nie zwracał na nią uwagi. Mieszkała kilka domów dalej i była chuda, rudą suką, dość głośną i zaczepną. Nie miała zbyt dobrego powodzenia w tej okolicy. Sam się dziwił, co go właściwie opętało... Zresztą - było, minęło. Dni uciekały podobne do siebie jak czarne pchły, które sobie w wolnych chwilach wyszukiwał w futerku.

Nadszedł czas, że Hanula zaniemogła. Stała się mniej ruchliwa, osowiała, nie wychodziła z domu, potrafiła całymi godzinami siedzieć albo leżeć bez ruchu. Przechodziła pora śniadania, obiadu, Talar patrzył wyczekująco, połykając ślinę i posapywał niezadowolony. Jednak pewnego dnia jego cierpliwość uległa wyczerpaniu. Od dłuższego czasu czuł nieprzyjemną pustkę w brzuchu, a wczoro-

raj nawet zdarzył mu się zawrót głowy, który spowodował, że zaskoczony przysiadł na drewnianej podłodze w sieni. Tak go zastała Pańcia. Coś tam do niego mówiła, ale był zbyt oszołomiony i słaby, żeby słuchać. - Dobry piesek - zakończyła jak zwykle. Następnie otworzyła energicznie drzwi do mieszkania Hanuli. Postanowiła ją odwiedzić i zanieść coś gorącego do jedzenia; wiedziała, że jej lokatorka od kilku dni niedomaga. Po kilkunastu minutach, kiedy pies nadal siedział w sieni, wyszła i kiwnęła na niego ręką. Powlókł się za nią. Otworzyła drzwi do swego mieszkania i Talar ponownie doznał zawrotu głowy - uderzyła go w nos cała gama zapachów tak intensywnych, tak smakowitych... Tymczasem Pańcia postawiła przed nim pełną miseczkę. Pomimo dojmującego głodu starał się jeść powoli i z godnością. Zwłaszcza, że miał towarzystwo, które baczenie go obserwowało. Trzy pary błyszczących, kocich oczu patrzyło uważnie na każdy kęs. - A sio! - krzyknęła Pańcia - dajcie mu spokojnie zjeść. I Talar przytaknął jej w duchu. Jadł i jadł, czuł jak brzuch mu pęcznieje, ale w misce nie ubywało. Wreszcie zrozumiał, że więcej nie da rady i odsunął się na bok. Usiadł w pobliżu i pracowicie oblizywał pyszczek, kiedy od trójki siedzących kotów oderwała się mała postać i zaczęła zbliżać się niebezpiecznie w stronę miski. Talar zjeżył się nieprzyjemnie i warknął cicho. Kociak stanął i obejrzał się pytająco na matkę, która obserwowała psa. Ośmielony przysunął się bliżej, nie dlatego, że był głodny. Interesowało go, co też dano obcemu przybyszowi. Podszedł zupełnie bliźutko, nachylił nad zawartością naczynia, parsknął z niesmakiem, a później ot, tak z głupoty pacnął łapą w brzeg miski, która zachybotwała niebezpiecznie. Tego już Talar nie mógł znieść. Jednym susem znalazł się w pobliżu kociaka i zawarczał, wkładając w to całą swoją złość. Mały odskoczył, przysiadł zabawnie i tra-

ktując całe zdarzenie jako zachętę do zabawy, podszedł znowu bardzo blisko. Talar poczuł zapach mleka i rozgrzane futerko. Kot patrzył mu zaczepnie w oczy. - Smarkacz - pomyślał pies i wycofał się.

W parę dni później Hanula umarła. Drzwi do jej mieszkania zamknięto, a posłanie psa przeniesiono do sieni.

Któregoś wieczoru, w parę dni po pogrzebie, wynikła kwestia: co zrobić z Talarem? Pańcia miała dobre serce, machnęła ręką, bo kto weźmie takie brzydactwo? Niech już zostanie. - Tylko niech nie płacze się po domu - zakończył dyskusję Pan. - Ma pilnować podwórka. W tym zdaniu mieściło się zarzewie nieporozumień. Pies zdecydowanie wolał przebywać w kuchni, a już zupełnie nie mógł zrozumieć, co znaczy pilnowanie podwórza. Do tej pory do domu wchodzili i wychodzili różni ludzie i Talar uważał, że mają ku temu pełne prawo. Ignorował ich, albo przyglądał się, w zależności od nastroju; byli mu obojętni. Co więc miało oznaczać to pilnowanie? Sam wyznawał zasadę - żyj i pozwól żyć innym. Żadnej przemocy. Zresztą nie wyobrażał sobie, że będzie cały dzień siedział i uważał na obcych. Jednak Pan wyraźnie tego od niego oczekiwał. Cóż, Talar mimo wszystko miał swój rozum i nie zakładał, że będą go tolerować dla jego urody i wdzięku, których to walorów nie posiadał. Zdawał sobie sprawę z własnego wyglądu, no i przecież nie był już najmłodszy. Wiedział, że należy wszystko przemyśleć i podjąć jakąś decyzję. Stanowczo zbyt wiele zważyło się na jego głowę ostatnio. Postanowił pozostać w sieni, gdzie przez małe okno wpadało trochę słońca i właśnie w tej słonecznej plamie, jaśniejącej na podłodze, ułożył się wygodnie. Aż zamruczał - tak rozkosznie grzało. Sam nie zauważył, kiedy przyszedł sen.

Obudziło go nieprzyjemne uczucie, że coś dzieje się z jego lewym uchem. Otworzył oczy, ale zanim zobaczył, już poczuł mleczny zapach kociaka, który był wyraźnie

zajęty wyżej wymienionym kawałkiem jego ciała. Ucho było spore i przykryte miękkim futerkiem, coś w rodzaju przyjemnej kołderki. Kot był zachwycony. Brał je delikatnie w ząbki i podrzucał, a kiedy opadało, padał razem z nim zaśmiewając się przy tym do rozpu-ku. Talar leżał cicho, gdyż igraszki te nie były mu przykre. Dopiero kiedy rozbawiony malec zatopił zbyt mocno zęby, odsunął go zdecydowanie łapą. - Dostyc tego, przynajmniej na dzisiaj - pomyślał i wyszedł na ganek. Podjęcie decyzji postanowił odłożyć na jutro, nie lubił się do niczego zmuszać. Drewniana podłoga ganku była ciepła od słońca i przyjemnie grzała poduszczeni łap. Ogarnął wzrokiem podwórze. - Phi, co tu jest do pilnowania - parsknął pogardliwie. Usiadł i postanowił popilnować przez chwilę. Ot tak, na próbę. Ale szybko się znudził. Wyszedł więc na ulicę zrobić zwykłą rundkę. Po kilku jednak minutach zauważył, że jego myśli nie są takie beztroskie jak dawniej, kiedy udawał się na przechadzkę. O nie. Tym razem czuł wyraźnie, że jakaś jego częśćka została na tym nieszczęsnym podwórku. Może jednak powinien wrócić? Zastanawiał się, czy zamknął bramkę, a co będzie, jeśli kociak wyskoczy na ulicę? W wyobraźni dojrzał nadjeżdżający autobus, pisk opon i rozjechane ciało małego na szosie. Aż przeszył go dreszcz, takie to na nim zrobiło wrażenie. Nagle zawrócił i co sił w łapach pobiegł do domu. Odetchnął, kiedy zobaczył, że furtka jest zamknięta. Pchnął ją energicznie i wpadł na podwórko, ale tu też było wszystko w porządku. Kociak wygrzewał się na ciepłej podłodze werandy. Ujrawszy Talara miauknął wesoło. Pies przysiadł obok niego i odetchnął, serce biło mu jak oszalałe po tych emocjach. Dopiero teraz poczuł, jaki jest zmęczony, nawet nie miał ochoty dokończyć spaceru. Objął wzrokiem podwórze. - Pora odpocząć - pomyślał i zamknął oczy.

Dostałam zawiadomienie o śmierci Profesora. Był bardziej stary niż myślałam. Przypominam sobie w myślach jego piękną, szlachetną w rysunku głowę. Obserwowałam go, kiedy nalewał mi kawę, a ja usiłowałam nieudolnie po niemiecku streścić moją rzeczywistość, często niezrozumiałą dla niego. Potem mówił on i było mi z tym lepiej, bo więcej rozumiałam w tym języku niż potrafiłam wypowiedzieć. Nagle rozplakał się nad zdjęciem mojej matki. I to był mój pierwszy wieczór z Profesorem. Były potem kolejne, które zwykle spędzaliśmy w kawiarence Frau Trudi. Piliśmy czasem szampana i on uśmiechał się łagodnie patrząc na mnie, a ja wiedziałam, że widzi nie mnie, tylko moją matkę. Cofał się o całe dziesięciolecia, nagle mamrotał jej imię i nieśmiało, prawie ukradkiem, głaskał mnie po rękę. Bawiło mnie to i wzruszało. Po trosze czułam się też niezręcznie, ponieważ z sąsiedniego stolika zerkało ku nam dwóch przystojnych, młodych ludzi. - Pewnie myślą, że jestem kochanką Profesora - dumałam smętnie. Wznieśliśmy kolejny toast szampanem, tym razem za pomyślność mojego kraju, w którym kotłowało się po raz kolejny. Starszy pan wygłosił ten toast dość głośno, jak gdyby chcąc uzyskać aplauz szerszej widowni - rzeczywiście kilka osób uśmiechnęło się do mnie zachęcająco wznosząc kieliszki. Zaczerwieniłam się nieznacznie. Wtedy podeszli do nas ci dwaj przystojni mężczyźni z sąsiedniego stolika, coś tam szybko zaszwargotali i uścisnęli dłoń mojego rozmówcy. Okazało się, że byli studentami Profesora przed laty i że cieszą się ze spotkania, tym bardziej, że ich ulubiony wykładowca siedzi w towarzystwie tak uroczej osoby i to w dodatku z Polski, którą obaj są zainteresowani. Jeden z nich pisze nawet doktorat na ten temat - tu wyrzucił z siebie ogromnie długie i skomplikowane zdanie, którego nawet nie usiłowałam zrozumieć.

Byłam zmęczona codzienną bieganiną po Wiedniu, szampan rozleniwił mnie, a po głowie snuły się bezładne myśli - przypominałam sobie widok tamtejszego sklepu mięsnego. Dosłownie jęknęłam na wspomnienie ogromnych płatów polędwicy - pachnących i różowych. Postanowiłam natychmiast kupić jutro taki wielki płat. Połknęłam nerwowo ślinę. Panowie dyskutowali zawzięcie. Co by było, gdyby wiedzieli, o czym myślę? Poczułam nagle, że to wszystko jest jakieś niewspółmierne i nie przylegające do siebie, jak nieudana układanka. Ich problemy były takie odległe od moich. Spojrzałam z nagłą niechęcią na starannie wygolone, pachnące wodą kolońską policzki. Nieskazitelnie białe koszule. Nawet starość Profesora była estetyczna...

Ponure zamyślenie szczelnie otoczyło mnie ze wszystkich stron. Znałam jego smak - przechodziło w długotrwałą depresję. Wychyliłam resztkę szampana. Ten bardziej przystojny blondyn spojrzał na mnie z zainteresowaniem. - Herr Profesor, ich bin mude¹ - powiedziałam zdecydowanie. Starszy pan zerwał się z krzesła. Wyszliśmy na pustą ulicę, ci dwaj poszli gdzieś w swoją stronę. Byłam z tego zadowolona, nie miałam ochoty rozmawiać. Profesor szedł milcząc i tylko wzdychał od czasu do czasu, spoglądając na mnie z ukosa. Wiedziałam, o czym myśli i on wiedział, że ja wiem. Nie potrzebowaliśmy słów. Przypomniałam sobie tamto zdjęcie, które przysłał (byliśmy już oboje z bratem na świecie). Przedstawiało pokój, widocznie jego gabinet, cały obwieszony powiększonymi zdjęciami mojej matki. U dołu zdjęcia napisał słowa piosenki, która wtedy była modna i którą wtedy się śpiewało. Zanuciłam nagle na wiedeńskiej ulicy przedwojenny szlagier. Starszy pan zatrzymał się gwałtownie i rozjaśnił w uśmiechu. - Nie

1 Panie profesorze, jestem zmęczona.

zapomniałaś? - zapytał cicho. Nie wiedziałam, czy mówi do mnie, czy do mojej matki. Postanowiłam taktownie milczeć. To był mój drugi wieczór z Profesorem.

Potem było ich jeszcze kilka. Staralam się wypełnić je tym, co lubił - graniem Chopina, rozmowami o naszym domu i opowieściami o niej - bo tego oczekiwał najbardziej. Wspominałam różne zabawne wydarzenia z dzieciństwa, brak niemieckich słówek nadrabiałam gestem i mimiką. Frau Amelia - siostra Profesora - zaśmiewała się do łez. Okazało się, że ona też uwielbia psy, że ona też miała młodszego brata. Po policzkach Profesora pociekły łzy... byłam taka podobna do matki. Nie lubiłam, kiedy płakał. - Niech pan przestanie - powtarzałam gorączkowo. Bałam się o jego ciśnienie. Amelia wczoraj wyjawiała mi, że od kilku dni ma podwyższone.

- Zostań tutaj - powiedział nagle - ja już niedługo pożyję. Zaprzeczyłam: och nie, pożyje pan jeszcze długo, świetnie pan się trzyma Profesorze, może jeszcze odwiedzi pan Polskę, mama by się ucieszyła... plotłam, ale wiedziałam, że nie słucha. - Zostań - powtórzył - wiem, co się u was dzieje, możesz mieszkać tutaj, albo w mieszkaniu Ameli, miejsca jest dosyć. Starszy pan nerwowo dolał sobie kawy. Nie odpowiedziałam, nie chciałam robić mu przykrości. Moi znajomi zabijali się, żeby wyjechać na roboty do Austrii - mnie oferowano mieszkanie i utrzymanie tylko za obecność, wspomnienie niespełnionej miłości.

Ale i tak wiedziałam, że nie zostanę. Z góry o tym wiedziałam. To nie wchodziło w rachubę. Moje rozmyślenia dotyczyły raczej ironii losu, który oferował niewłaściwe propozycje niewłaściwym osobom. Wyobrażałam sobie, co powiedzą moi znajomi, ich miny, wymowny gest stukania się w czoło.

Ona zawsze była stuknięta - rozgorączkuje się Elka, ginekolog, z trudem wiążąca koniec z końcem przy trójce dzieci. Raz tylko udało się jej zaczepić na winobranie we Francji. Chociaż spali po kilkanaście osób w szopie, nie

mogła sobie tej eskapady nachwalić. Zaraz po powrocie Ela kupiła nowe meble i po dwie pary butów dzieciom. Na zapas. Jej mąż, naukowiec, którego szczerze nie lubiłam, po jej wyjeździe nie oszczędzał grosza. Co rusz wydawał huczne kolacje, a następnie zapalał namiętnością do mojej przyjaciółki Marii, nawet nudził mnie przez dwa popołudnia, żeby zorganizować jakieś spotkanie. Oburzyłam się nie na żarty i od tamtej pory ledwie mi się kłania. Biedna Ela, oczywiście nic jej nie powiedziałam. Zresztą tak była uszczęśliwiona meblami, że przez dłuższy czas i tak by to do niej nie dotarło. Przypominałam sobie innych, dla których taki wyjazd byłby jak gwiazdka z nieba... Rzeczywiście los nie wie, co robi. Spojrzałam na Profesora, uśmiechnęłam się. Więcej nie poruszaliśmy tego tematu.

W nocy przyśnił mi się mój przyjaciel Pies. Nie posiadał imienia. Zamieszkiwał przydrożną szopę, równie niczyją jak on. Przyodziany w brudno-żółte futro leżał przy drodze i wygrzewał się na słońcu. To było jego główne zajęcie. Zimą znikał gdzieś, zapadał się w jakieś nieznanne rejony miasta, żeby wrócić z nadejściem wiosny i zająć swoje miejsce obok krzaku dzikiego bzu, w zakolu drogi. Tam gdzie słońce grzało najmocniej.

A następnego dnia poszliśmy z Profesorem do parku, pod pomnik Straussa. Wokół leniwie przechadzały się starsze panie, niektóre z pieskami na smyczy. Kilka z psów miało starannie spiętą nad czołem grzywkę kolorową spinką. Ich lalkowate mordeczki nie miały w sobie tej typowo psiej rzewności spojrzenia.

- Mam w Polsce takiego przyjaciela Psa - powiedziałam do Profesora.

- Jak mu na imię? - zapytał.

- On nie ma imienia, nikt go nie zna, bo nikt go nie potrzebuje.

Starszy pan był mocno zasapany. Usiedliśmy na ławeczce.

- No i cóż twój przyjaciel pies, czym się zajmuje? -

zapytał jakoś lekceważąco.

- Właściwie to on nic nie robi, po prostu leży na słońcu - wyjąkałam.

- Leży i co?... - zirytował się Profesor.

Wzruszyłam ramionami, jak miałam mu to wytłumaczyć? Dla mnie każdy powrót Psa był zapowiedzią następnej wiosny i wiadomo było, że zaraz zazieleni się za szopą bez, a na piaszczystej drodze zalśni pierwsze kałuże wiosennego deszczu. Czy starszy pan widział takie błotniste, na wpół wiejskie drogi?

- Cóż więc z tym psem... Ach tak, to twój przyjaciel. Dobrze... - pogłaskała mnie po głowie - myślę, że to szczęśliwy pies. Tam pod Wilnem też był taki. Duży, żółty kundel, podobny do twego. Pijany wartownik zastrzelił go z nudów. Twoja matka mówiła, że błądził szukając swego pana, którego Rosjanie wywieźli. Profesor umilkł.

Siedzieliśmy obok siebie. Nasze myśli dzieliły ogromne przestrzenie czasu.

*

Całe życie Ireny układało się zwyczajnie i po prostu. Bez żadnych wzlotów i upadków. Sama Irka też nie reprezentowała sobą nic nadzwyczajnego, ale wiedziała o tym i nawet była z siebie - takiej właśnie - zadowolona. Urody nie miała, do tego ubierała się w sposób zupełnie nie rzucający się w oczy. Swego czasu nawet usiłowałyśmy ją namówić na noszenie czegoś bardziej ekstrawaganckiego, ale po paru próbach przekonałam się, że to nie ma sensu. W nowych rzeczach wyglądała równie bezbarwnie, jak i wszystkich innych. Wydawać by się mogło, że czego by nie dotknęła, stawało się szare, myszowate, nijakie. - No widzisz - ucieszyła się, kiedy powiedziałam, że zaprzestaję wszelkich prób ubrania jej po swojemu. Zupełnie jakby odniosła triumf. Wzru-

szyla ramionami. Okazało się jednak, że Irena ma własną, nie pozbawioną pewnej logiki teorię na temat nijakości.

- Widzisz - mówiła - jeśli jesteś przeciętnikiem, kochana, to los obejdzie się z tobą łaskawie. On, czyli tenże los, interesuje się jednostkami rzucającymi się w oczy. Głównie takim daje zadania trudne i skomplikowane. A tacy jak ja - wzruszyła ramionami - przechodzą przez życie poniekąd nijako, ale spokojnie, bez większych wstrząsów.

- Nie wywołuj wilka z lasu - kontrowałam jej wywody.

- Spójrz chociażby na Helenę - nadawała jednak dalej - najpiękniejsza dziewczyna na roku, najlepiej ubrana, a przy tym, trzeba przyznać, niegłupia, co rzadko idzie w parze. Wygrywa kilka konkursów piękności, to nic, że lokalnych, ale zawsze. Średnia ocen: cztery i pół. Zakochuje się w facecie, który robi podobno duże pieniądze, rezygnuje dla niego z kariery modelki. A ten padalec za jakieś machlojki wędruje za kratki. I to na kilka lat. No i co powiesz?

Irena triumfalnie potoczyła wzrokiem po kawiarnianych stolikach, jakby tam oczekiwała potwierdzenia swoich teorii.

- Co jej zostaje? Pamiętaj nie zwracać na siebie uwagi losu. Im wyżej lecisz, tym boleśniej spadasz - zakończyła znaną maksymą. - W każdym razie lot naszej pięknej Heli ku gwiazdom już się skończył.

Irena zamyśliła się ponuro i zamieszała cukier w filiżance. Nie trafiała do mnie ze swoimi wywodami.

- Nic nie wynika z twoich teorii, nawet tobie może przytrafić się nieszczęście, chociaż, jak mówisz, los takimi interesuje się rzadko - powiedziałam.

- Może i nie wynika, ale ja po prostu czuję się bezpiecznie, moja nijakość jest jak parasol. To moje prywatne PZU.

Zaśmiałam się.

- Śmieję się, śmieję - odburknęła moja koleżanka.

Nie byłam skłonna przyznać jej racji. Niemniej jednak, kiedy analizuję, jak potoczyły się losy naszej paczki, myślę, że może coś w tym jest. Kiedy reszta znajomych dziewczyn miotała się przez długi czas z kolejnymi perypetiami sercowymi i rozwodami, to Irena spokojnie i bez wstrząsów wyszła za mąż za zupełnie przystojnego inżyniera. - Gdzie ona go dopadła? - gorączkowała się Baśka, która była z nas wszystkich najstarsza i w zrozumiwały sposób najbardziej zdenerwowana tą sprawą. - Spotkali się po niedzielnej mszy - ironizowała Waleria, największa wśród nas ekscentryczka. Wesele odbyło się jak trzeba, z zachowaniem wszystkich miejscowych zwyczajów. Matka Irki popłakiwała, że traci córkę, ale widać było, że nie-szczerze, że jest zadowolona. Potem przyszły na świat dzieci. Ciąża i poród normalnie, bez dolegliwości, bez cesarskich cięć, dzieci chowały się znakomicie. Nie tak, jak u Basi - bezmleczne i bezglutenowe i nie tak, jak u Walerii - koszmarnie dolegliwości przez całą ciążę i powikłania po porodzie. Mąż Ireny był człowiekiem spokojnym i zrównoważonym. Małżeństwo było dobre i zapowiadało się trwale.

Kiedyś spotkałyśmy się wszystkie na kawie, co było rzadkim wydarzeniem, gdyż uwikłane w problemy rzadko miałyśmy na to czas. Jedna przez drugą zwierzałyśmy się z nieudanego życia, dzieci, męża. - No i co, nie mówiłam, los nie czepia się takich jak ja - mrugnęła porozumiewawczo do mnie Irena. - Nie wywołuj wilka z lasu - powiedziałam jak kiedyś, ale z mniejszym przekonaniem.

I nagle wybuchła bomba. Irena ma raka. Gorączkowo wyszukiwałam w kalendarzu numer Walerii i przez głowę bezwładnie przepływały mi zdania, że nic, kompletnie nic nie jest w stanie nas uchronić przed złem. Cała filozofia nijakości bierze w łeb.

Pamiętam pierwsze odwiedziny w szpitalu onkologicznym, którego sam widok przyprawił nas o długotrwałe

przygnębienie. Z trudem przerwałyśmy monolog Baśki nad marnością losów ludzkich i bezsenssem wszelkich poczynań. Bo oto zjawiała się Irenka... - Cześć dziewczyny - rzuciła wesoło. Zamurowało nas. Irka w kolorowym szlafroku, starannie uczesana. Spodziewałyśmy się czego innego. Potem nasz wzrok powędrował za dziwną butelką, którą trzymała w ręce, a od której jakieś przewody szły do jej piersi, a właściwie tego, co po niej zostało. Widząc nasz wzrok machnęła ręką, ach to, jeszcze parę dni i po bólu. Czują się dobrze, nie licząc pierwszego dnia po zabiegu. Za kilka dni idzie do domu. No, są oczywiście problemy, bo jeszcze boli, bo ręka jakaś drętwa, wlewy też będzie musiała zaliczyć i pewnie po nich będzie się fatalnie czuła, lekarze uprzedzali. Włosy też się przerzedzą. Ale ona nawet w tym miejscu pełna była wiary, że los potraktuje ją łagodnie. - Zobaczycie dziewczyny, że za kilka miesięcy wrócę do pracy. W naszych oczach było tyle zwątpienia, że Irena wybuchnęła śmiechem.

Faktem jest, że wróciła do pracy tak, jak obiecała. Pod swetrem rysowały się dwie symetryczne wypukłości. - Udana ta proteza, co? - mrugnęła do mnie okiem.

- Irena - nie wytrzymałam - jak mogłaś zachować tyle optymizmu, przecież to w końcu rak, już sama nazwa przyprawia mnie o dreszcz piekielnego strachu...

- Myślisz, że mnie nie przyprawiała? - zapytała i zrobiło mi się głupio. - Oczywiście przepłakałam parę nocy, ale w końcu byłam pewna, wiesz ta moja teoria, z której tak się śmiałaś, no ta, że los nie zawraca sobie głowy takimi przeciętniakami jak ja. Czuję, że mi się uda. Trochę mnie mdliło po wlewach, ale nawet specjalnie dużo włosów nie straciłam - przejechała ręką po swoich mysich kosmykach. Rzeczywiście, były takie jak zawsze. - Widzisz - dorzuciła - grunt to się nie wyróżniać, założę się, że gdybym miała takie fantastyczne włosy jak ty, byłabym teraz łysa jak kolano. Los jest złośliwy.

Z przerażeniem dotknęłam końca mojego warkocza.

*

Zmierzch. Stoję odwrócona plecami do katedry Sacre Coeur. W dole u moich stóp leży Paryż, rozświetlony już teraz tysiącem świateł. Ciężko pnać się po krętych uliczkach Montmartru podjeżdżają coraz to nowe autokary, wypływając hałaśliwe grupy turystów - eleganckie, krótkonogie Japonki, niedbałych Amerykanów, poruszających miarowo szczękami. Stoję przy kamiennej balustradzie, otoczona swoją własną ciszą. Później błędzimy śladami Toulouse-Lautreca. Z otwartych drzwi malutkich kafejek bucha muzyka. Zaglądamy do kilku galerii. Nic już nie zostało z tamtej atmosfery Montmartru. Zbyt tu hałaśliwie...

Schodzimy niezliczonymi schodami w dół, w kierunku Placu Pigalle z legendarnym Mulin Rouge. Jego czerwone skrzydła widać z daleka. Robi się coraz zimniej. Po Pigalle hula wiatr.

Pamiętam Paryż w lipcu. Całe przedpołudnie spędziłam w ogrodach Wersalu. A później spod Łuku Triumfalnego spojrzenie na Champs Elysee - rzeka samochodów, po obu stronach wytworne magazyny, znane z filmów nazwy hoteli. Otwierałam szeroko oczy i chłonełam wszystkimi zmysłami te zapachy, odgłosy. Tętno Paryża.

Zawsze jednak najpiękniejszym wspomnieniem z podróży były powroty. Miasta, ludzie, architektura - zacieśniały się z czasem w pamięci. Ciągle jednak dokładnie pamiętałam każdy mój powrót. Pamiętam to uczucie euforii prawie, że dom stoi na tym samym miejscu. Cała radość z wyprawy koncentrowała się najsilniej na jego progu. Po latach odkryłam prawdę - moją własną, na mój użytek - że powtarzalność pewnych zjawisk daje nam największe poczucie bezpieczeństwa.

Październik

Deszcz i błoto. Zamyślam się nad notatkami. W dniach, kiedy nie ma szefa, ulatnia się zbytnia nerwowość i pośpiech. Można po obchodzie spokojnie usiąść i uzupełnić dokumentację.

Pracowałam wiele lat na różnych oddziałach i w poradniach, minęło wiele czasu, zanim przestałam bać się pacjenta i jego chorób, szefa i jego humorów. Wypracowałam własny styl odnoszenia się do siebie i swoich podopiecznych, a nawet przyzwyczyłam się do wiecznego zmęczenia i pośpiechu. Głupia więc wydaje mi się myśl, która uparcie zalega drugą lub trzecią płaszczyznę świadomości, że gdzieś za jakimś zakrętem zacznę nowe, inne życie. Prawdziwe...

I nagle zimnym dreszczem przeszywa mnie zgroza prawdy, z której codziennie nie chcę sobie zdawać sprawy - innego życia nie będzie. Pozostaje ten sam numer autobusu, przetarte linoleum w poczekalni starego szpitala, dzień po dniu, dyżur za dyżurem. Niecierpliwe wyczekiwanie na dzień wypłaty, długi do oddania... - Ciesz się, że pracujesz - mówi bezrobotna koleżanka. Cieszę się.

POSŁOWIE

Proza Anny Gniewkowskiej jest rodzajem dziennika, nie traktowanego jednak rygorystycznie. Główną postacią, jak zawsze w tego rodzaju zapiskach, jest autorka notująca swoje doświadczenia, przeżycia, spotkania z ludźmi. Nietrudno wyciągnąć stąd wniosek, że od jej usytuowania w świecie w znacznej mierze zależy atrakcyjność podobnej prozy. Nie kreacja artystyczna bowiem wysuwa się tu na plan pierwszy, lecz właśnie zapis rzeczywistości. Z tym że - dodajmy koniecznie - nie jest to zapis reporterski, ale proza osoby wrażliwej, skłonnej do refleksji i uogólnienia. Autorka jest lekarką, podejmującą ponadto dyżury w pogotowiu, stąd w naturalny sposób styka się z prawdziwą galerią postaci z różnorodnych środowisk. Na kartach prozy Anny Gniewkowskiej przewijają się różnorodne postacie z przychodni, szpitali (a wiadomo - szpital jak świat, jest w nim wszystko), opuszczeni przez bliskich staruszkowie, dla których przyjazd lekarki jest świętem i nadzieją, ludzie z marginesu, z samego dna społecznego, ale i osoby z high life'u, odgrażające się, że interweniuje lekarka popamięta, kim oni są.

Ta żywa materia życia przeplatana jest prozą bardziej refleksyjną, zadumą nad życiem, sensem wierności wyznawanym zasadom, wreszcie zwierzeniami stricte poetyckimi, które od liryki odróżnia jedynie forma zapisu. Ponadto autorka wzbogaca swoje zapiski małymi opowiadaniem, będącymi zazwyczaj portretami osób w jakiś sposób wyróżniających się z otoczenia.

Wszystko to sprawia, że prozę Anny Gniewkowskiej czyta się z dużym zainteresowaniem.

Waldemar Smaszcz

Artysta w swojej złożoności i niepowtarzalności tworzy dzieło, które jest wyrazem życia. W przypadku Ani Gniewkowskiej - jej życie to już znakomite dzieło, którego ona sama jest dobrym reżyserem. Nie ma w nim rzeczy nieważnych, a tym bardziej nieważnych ludzi. Z każdego dnia Ania potrafi stworzyć osobną sztukę o interesującej akcji i ciekawej obsadzie. I co dziwniejsze, to nie ona szuka tematów, one - tak po prostu - pojawiają się same. Myślę, że wynika to z cech osobowości Ani. Ma ona w sobie jakąś niezwykłą szlachetność, która powoduje, że jej bliskość przenosi nas w nieco inny, łagodniejszy wymiar.

Jej życiowym credo jest zgoda na siebie. Jeśli jednak coś już w sobie niszczy, to konsekwentnie i po to, aby osiągnąć wyższy stopień doskonałości. Dążenie do wewnętrznej harmonii to recepta, którą doktor Gniewkowska proponuje także swoim "trudnym" pacjentom.

W wolnych chwilach, których nie ma wiele, sięga po pióro, pióro lub siada przy pianinie, przywołując w ten sposób spokój i poczucie bezpieczeństwa. W gąszczu swych zainteresowań i codziennych spraw zawsze znajduje czas dla tych, którzy jej potrzebują.

Ta subtelna i delikatna kobieta we właściwy dla siebie sposób potrafi zmusić nas do działania, które da nam poczucie wartości i umie być bezwzględna w swoich wymaganiach.

Dziękujemy Ci za to, Aniu!

Maria Chętnicka



ka

Gniewkowska
Szamy